95

(17)

CZY ZNAŁEM JEJ DUSZĘ?...

(IRY...) STABLEWSKA.

CZY ZNAŁEM JEJ DUSZĘ?...

POZNAŃ.
NAKŁADEM I CZCIONKAMI „PRACY“ SP. Z OGR. P.
1912.

Przy Telefonie.

I.

A więc jadę!! Niech się dzieje, co chce; trudno dłużej sprzeciwiać się woli tak szanownej damy, jak ciotka Izabela, ordynatowa Bromicka.

A więc jadę!... Z wąsem podkręconym w górę, z najeżoną czupryną, z sercem drżącem niby listek osiny, jadę do ataku.

Czeka mnie znaczna kampania. Trzy fortece do zdobycia!... To jest, fortecę mam zdobyć tylko jednę, ale przejść przez krzyżowy ogień krytycznych spojrzeń, uśmiechów, sądów aż trzech kuzynek!

Nie znam tych kuzynek. Mieszkają w Królestwie, niedaleko Olkusza, i choć nie pierwszy raz zjechały w Poznańskie, bo tu ciotka ma główną siedzibę, Bromice, ma to być pierwsze spotkanie ze mną, ułożone przez wspólną naszą Ciotkę Dobrodziejkę, panią rozległych włości i kapitałów, ulokowanych w banku XZ.

Brrrr!... jak mnie czegoś strach, jak nie swojo!... Ciotka pisze:

„Macieju, bądź rozsądny! Przyjedź i zobacz. Przecież spotkanie i zapoznanie jeszcze do niczego Cię nie obowiązuje. Moje pupilki są młode, ładne, majętne, wcale nie szablonowo tuzinkowe panny, ale każda z nich odmienna i w swoim rodzaju bardzo indywidualna.

Posyłam ci fotografie dwóch starszych, Stefy i Mity. Trzeciej nie mam pod ręką, zresztą najmniej dla ciebie stosowna, wolałabym, abyś wybrał jedną z brzega. Stefa, c'est une belle femme, w całem znaczeniu tego słowa, czynna, energiczna, żądna nauki i wiedzy, potrafi reprezentować żonę Macieja Staniewskiego i być wzorową panią domu.

Mita, une charmeuse, śliczna, wesoła — więcej uczuciowa i towarzyska, ale mniej głęboka od siostry. Toujours très — entourée en société — je crains, qu' on ne l' enlève d' un jour à l'autre.

Julcia to jeszcze dzieciak, niezgrabny, dziki, niewyrobiony, lecz pewną jestem, że się pod mojem okiem prędko ułoży i ładnie rozwinie.

Zresztą, mon chéri, sam zobaczysz, osądzisz i wybierzesz. — Ponieważ panny Montogołowskie są sukcesorkami ś. p. mego męża, a ty moim spadkobiercą, chciałabym, połączywszy losy twoje z jedną z pupilek, oddać wam jeszcze za życia klucz Bromicki, popatrzeć na wasze szczęście i na rozwój dotąd nieświetnie prowadzonego gospodarstwa w Bromicach.

Au revoir donc chéri. — Oczekuję Cię w przyszłą środę w Poznaniu, Wierzbowa nr. 8, w pensyonacie mej kochanej Helenki, gdzie spędzę dziesięć dni i dokąd Ciebie, jako mego gościa, zapraszam."

Ach! jak mnie czegoś strach, jak nie swojo!... Bo już mi 30-stka wybiła i trzeba na seryo pomyśleć o żonie. Jestem, jak słusznie ciotka w innym liście zaznacza, porządnym chłopcem, kocham ziemię, żyzną rolę moich pól i wszystko mi drogie i miłe, co się tyczy Jaczewa.

Lubię piękno w naturze i w kobiecie, ale ta ostatnia onieśmiela mnie. Flirtować zgoła nie potrafię i dwa, czy trzy razy w życiu, w chwili, gdy brać chciałem za dobrą monetę półsłówka i kokieteryjne spojrzenia pewnej sąsiadki, zostałem oblany zimną wodą.

Z panienkami jeszcze mniej potrafię się obchodzić.

Czegoś pragną, za czemś dążą i gonią — co dawniej nie wchodziło w program wspólnego życia. Nowe bałamutne hasła wygnały z rodzinnego gniazdka poezyę, a ja choć gospodarz z zawodu, poza podwórzem i polem chciałbym cichy mój domek otoczyć atmosferą idealną szlachetnych aspiracyi, pogodnych uśmiechów, poufnych gawęd.

Chciałbym mieć dużo słońca, dużo kwiatów... tkwią we mnie resztki niczem nieuleczalnego romantyzmu.

Gdy myślę o żonie — staje zawsze przedemną wysmukła, jasnowłosa postać, cicha, przytulna, bardzo swojska, bardzo słodka i ufna...

Przypuszczam, że jest umysłowo wykształconą, że się interesuje tem, co się w koło niej dzieje —

i wszelka kultura jej nie obojętna, ale na razie nie o to ją pytam. — Chciałbym, aby była duszą mej duszy, zajmowała się dolą maluczkich, serdecznie, lecz po cichu, bez wyraźnej cechy femino-fobizmu, bez meetingów, zjazdów i sprzeczek. A w stosunku do mnie chciałbym

qu'elle dise souvent, je n'ose,
Et ne répète jamais, je veux.

Wiem, że to trąci myszką, staroświecczyzną, że trzeba mieć znaczną dozę odwagi, aby w obecnej chwili wygłosić zdanie, krzyczące takim anachronizmem! To też, broń Boże, nie mówię o tem nikomu, nie zdradzam się z mego złego gustu, tylko cichutko tulę w głębi duszy podobny obraz i szukam wymarzonej dzieweczki... Dziś, z okazyi wyjazdu do Poznania, rozmyślań na temat żony, wyrwały mi się te słowa, za które niezawodnie spadłby na mnie grad pocisków, gdyby je podsłuchała która z nadobnych czytelniczek.

Mniejsza o ogół kobiet, ale czy się zgodzą z memi zapatrywaniami dziewice z nad Prądnika? Czy jedna z nich będzie choć w przybliżeniu podobną do tej, która coraz częściej „na promykach gwiazdy schodzi i do mej samotni zagląda?“

Między marzeniem a rzeczywistością leży przepaść, wiem o tem dobrze, a jednak po raz dwudziesty borę do ręki fotografie kuzynek, wpatruję się w ich podobizny, hypnotyzuję je z taką siłą, iż niepodobno, abym nie odkrył w nich tego, co w wyborze kwiatów nami kieruje, tego, co przyciąga biezwiednym urokiem, co wnosi w życie trochę ciepła, trochę światła, trochę poezyi.

Jestto coś bardzo pięknego, a nazywa się siłą uczucia.

Napróżno pytam, fotografie nic mi nie mówią. Starsza patrzy na mnie dumnie, z miną magnatki, która ma skarby do rozdania głodnym, lecz woli je zatrzymać dla siebie, — druga, z wdziękiem kobiety, która wie, że jest ładną, ponętną i lubi być podziwianą, ale żadna nie szepce: „weź mnie, naucz mnie cudnej pieśni życia.“

Więc z westchnieniem rzucam te martwe okazy na biurko i gniewny, monologuję.

O głupi Manilko pocóż się dręczyć naprzód, jutro o tej porze ujrzysz trzy Gracye, a potem: — si leur ramage ressemble à leur plumage — qui vivra — verra!

— — — — — — — — — — — —

Gdybym był zabobonny, nie powinienem dziś jechać na rendez-vous do Poznania. Wśród sennych wizyi ukazała mi się ciotka Bromicka, nie jako wróżka, ale — jakby to powiedzieć oględnie — coś niby czarownica. Staliśmy na stopiach, prowadzących do piwnicy i ona koniecznie chciała mnie tam wepchnąć... Broniłem się z zapałem słonecznikowca, któremu ta „camera obscura“, bez promyka światła, wydała się żywym grobem.

Sklep atoli nie był samotny, włóczyły się po nim jakieś widma, mary i przywoływały mnie, zawodząc żałośnie. W chwili, gdy już — już uledz miałem przemożnej dłoni ciotki i runąć do lochu, czyjaś drobna rączka przyszła mi z pomocą i znajomy, dźwięczny głosik szepnął: „Uciekaj!“

Zbudziłem się. — Pot spływał mi z czoła.

Cóż za niemiły sen! W dodatku na dworze dżdżysto, posępnie, smutno.

Wstaję wściekły na ciotkę, że mnie zniewoliła do wyjazdu z domu, na siebie, że ustąpiłem, na starego Stanisława, że patrzy na mnie z podełba filuternie, jak gdyby się domyślał, iż jadę w konkury.

Ha! cóż robić! pojechać — to jeszcze nie oświadczyć się. Będę się grubo namyślał, zanim powiem: „tak.“ Będę się jak lew bronił. Ach! Tylko, że pani ciotka ma żelazną wolę, herkulesową siłę, w obec której skapitulowałby odważniejszy odemnie rycerz.

Czuję dotąd kleszcze, wpijające się w moje ramiona i dziś rano naprawdę zdawało mi się, że po tych nocnych zapasach mam sińce. — Bycza kobieta.

— — — — — — — — — — — —

Całą drogę towarzyszył mi zły humor. — Ale bo też dziwne to i nieznośne razem — wszyscy patrzą na mnie, jak gdyby wiedzieli, że się „coś święci.“

Jerzy Mostkowski, spotkany na dworcu, ciągle mnie zaczepiał:

Manilko! co się z tobą dzieje! — wyglądasz, jak prowensalski trubadur, strojący gitarę dla kochanki. Czy w Poznaniu czeka cię jaka Aldona i ty zamierzasz wyciągnąć nutę Paganiniego?

A żona Jerzego pogroziła mi palcem i śmiejąc się, zawyrokowała dwuznacznie:

Przyjdzie kreska na Matyska!

Okropne jest to nasze Poznańskie. Człowiek się nie może poruszyć, by nie zwrócić na siebie

uwagi kochanych krewnych, najmilszych sąsiadów. Po prostu, nigdy nie wychodzi z ich opieki. Co to będzie, gdy przejdę dwa razy przez plac Wilhelmowski z ciotką Bromicką pod rękę, w towarzystwie pań Montogołowskich!...

Była trzecia godzina, kiedym wjeżdżał do miasta. Deszcz przestał padać, wyjaśniło się, brał przymrozek.

I we mnie wstąpiła jakaś tężyzna. Poznań po długiej, niczem nie zamąconej ciszy wiejskiej — zdawał mi się ożywiony, wesoły. W przelocie ujrzałem znajome twarze, brała ochota witać, ściskać, rzucać się w objęcia.

Trochę niebezpieczne sentymenta — w obec kuzynek. A może właśnie wziąć je obcesowo? bo

„Któż zgadnie, co na dnie jest tam,
U tych dam — dam — dam — dam!“

— — — — — — — — — — — —

Zajechałem. Wychylam się przez okno, patrzę; właśnie przed drzwiami pensyonatu stoi jego właścicielka, wracająca ze sprawunków, przyjaciółka moich sióstr, panna Helena M. i uśmiecha się do mnie przyjaźnie.

Obok niej, młodziutkie, jasne dziewczę, tak jasne jak poranek majowy, myślące oczy zwraca w moją stronę.

Czyżby to była jedna z kuzynek? — pomyślałem. — W takim razie — ta trzecia — najmłodsza.

Serce moje uderzyło raźniej, jak gdyby ktoś delikatnie potrącił o jego struny, a od tego złotowłosego dziewczęcia padał złoty promyk na duszę.

Wyskoczyłem z dorożki i z wyciągniętą dłonią biegłem ku pannie Helenie — a w tem bęc, pośliznąłem się na świeżo przymarzłym deszczu i runąłem na ziemię.

— Święty Hubercie! ratuj! — westchnąłem, i chciałem się z elegancyą podnieść, ale ani sposób. W nodze coś pstrzyknęło — śmiech mnie pusty porywał.

A p. Helena z troskliwością pytała:

Co panu się stało? Czy pan bardzo się potłukł? Ach! jak mi przykro, bo to właściwie z naszej winy... Czy pan może wstać? proszę się na mnie oprzeć, pójdziemy razem. — Córuś, podaj panu rękę z drugiej strony.

Próbuję wstać, dałbym pół życia, aby moją osobą nie robić ambarasu, uniknąć widowiska i iść choćby na koniec świata, pod opieką dwóch aniołów, ale żadną miarą nie mogę postawić na ziemię nogi, która wściekle boli.

Robi się gwarno koło mnie. — Jacyś ludzie podnoszą mnie z ziemi i pod rozkazami p. Heleny windują do góry. — Zęby zaciskam, by z bólu nie syknąć; przymykam na chwilę oczy, a gdy je otwieram — widzę zwróconą ku mnie, pełną gorącego współczucia, sympatyczną twarz kuzynki, przytem dwie drobne rączki podtrzymują moje ramię.

Ach! czyż to nie cudna rzecz — wywichnąć nogę!

W tej chwili gotów jestem błogosławić ból, przykry wypadek, a zwłaszcza ciotkę Bromicką za to, że mnie powołała do Poznania i z pośród pupilek pozwoliła wybrać najmilszą.

Bo wiem, że moją będzie ta trzecia, ta — albo żadna.

Szczęśliwie, z pomocą służby i opiekuńczych duchów, dostałem się do pokoju, przeznaczonego dla mnie — ale trzeba mi było przybrać zaraz horyzontalną pozycyę na szezlongu. Panna Helena, jak najlepsza siostra, ułożyła mi poduszki pod głowę, a widząc, że mi się słabo robi, skinęła na młodszą towarzyszkę, dając jej jakieś polecenie. W parę minut potem anioł nr. 2 ukazał się z kieliszkiem węgrzyna i podał mi go najnaturalniej w świecie. — Wkrótce też zjawiła się majestatyczna ciotka Bromicka; kazała przywołać doktora i oglądając mnie przez długie face á-main — łajała:

— Jakże można, Macieju, być tak nieostrożnym — wobec ślizgawicy wyskakiwać z powozu jak akrobata. Je suis désolée, mon chéri, car nous n'avons pas beaucoup de temps à perdre passe pour aujourd' hui — les deux ainées sont absentes — mais demain — Seras — tu remis jusqu' à demain?

— Il faut l'esperer — droga Ciociu, pragnąłbym wyzdrowieć jak najprędzej lecz cóż robić — moja dobra wola nie wystarcza.

— I zanim się pokażesz kuzynkom, — mówiła pani Bromicka, nie spuszczając ze mnie lornetki — il faut te civilisez, te faire beau. Każda panienka na to wrażliwa. — Masz za długie włosy, nos mocno opalony i wąs zanadto opadający. Dziś tak dużych wąsów nie noszą — prawda? Julci byłoby to obojętne, Stefa i Mita zaraz by zauważyły i skrytykowały.

— A może właśnie Julcia jest najsympatyczniejszą z kuzynek i dla mnie stosowną, — podjąłem skwapliwie, myśląc o jasnej twarzyczce, ujrzanej przed chwilą.

— E, skądże Julcia — pisałam ci przecież — une gamine — sans maintien, niewypolerowana.

— Mais avec un coeur d' or peut-être! — wykrzyknąłem w obronie Julci, ale ciocia mi przerwała:

— Tylko teraz leż spokojnie i wypełniaj sumiennie przepisy lekarza, abyś mógł jak najprędzej wydobrzeć... Dzisiejsze pokolenie panien nie lubi chorych, nie rozczula ich bladość młodzieńca. — On ne verse plus de larmes, on ne connaît plus de pitié — la bonté est démodée

— Nie prawda, rzekłem do siebie, — wszakże przed chwilą właśnie widziałem dwie kobiety, nachylone nademną, pełne serdecznego współczucia.

I zwracając się do pani Bromickiej:

— Niech ciocia będzie ostrożną, bo jeśli zdradza uczucia pupilek, to obraz taki odstraszyć może cały batalion konkurentów. W kobiecie zachwyca nas właśnie dobroć, czułość serca.

— C'est vieux jeu, mon cher ami, dziś potrzeba nam rozumnych, energicznych kobiet.

— Rozum, energia i dobroć, mogą iść w parze — odparłem — mam je tu przed sobą — i śmiejąc się, pocałowałem dłoń ciotki.

— A szkaradny pochlebco! — zawołała i zwiędłą jej twarz zabarwił lekki rumieniec, — ale to dobry znak, że się chcesz wkraść w moje łaski.

— O, prawda, ciociu, bo w każdym razie będę potrzebował Twej opieki i proszę o pobłażliwość.

— A, otóż i pan doktór. Zostawiam panów samych. Tylko się prędko wylecz, Macieju, Au revoir, chéri.

— — — — — — — — — — — —

Jestem skazany przez parę dni na kwarantannę pokojową i bezczynne leżenie na szezlongu. Noga nie złamana, ale przy fatalnym skoku coś się nadwyrężyło — i przy najlżejszem poruszeniu mocno dokucza. Od dziesięciu lat nie leżałem w łóżku, dziwno mi, że właśnie tu, w tej arcyważnej dla mnie chwili, spotkał mnie ten nieprzewidziany wypadek. Nauczyła mnie matka, że nic się nie dzieje bez woli Boga i że On wszystko przeprowadza z celem, więc powtarzam za nią: „Fiat voluntas tua“ i czekam, co będzie dalej. Zresztą skarżyć się nie mogę; los ze mną obchodzi się łaskawie. Jestem pielęgnowany, psuty, otoczony opieką iście siostrzaną. W każdej dnia chwili i wszędzie znać czujne oko, porządek i dobroczynną rękę panny Heleny. Co chwilę pytają, czy mi czego nie potrzeba — a ciotka przysyła różne smakołyki — ku wzmocnieniu ciała i francuskie pisma dla podtrzymania ducha. Mój stary Stanisław nie umiałby mnie doglądać tak cicho a dyskretnie, jak tutejsza pierwsza panna z fraucymeru, Marynia, zawsze uśmiechnięta i dla gości uprzejma.

Odwiedzają mnie przyjaciele: Jaś, Gucio i kochany doktorek.

Mam „Świat“, „Dzienniki“, „Przegląd“, „Pracę“. Czegoż więcej do szczęścia potrzeba?

Przytem mam tu jedną pyszną rozrywkę. Dla kogoś prawdziwie chorego, cierpiącego na nerwy, może nie byłoby to pożądane, ale w mojem położe-

niu jestto ogromna zabawa, źródło ciekawych spostrzeżeń i różnorodnych wrażeń.

Tuż koło mego szezlongu, za ścianą wątłą i suchotniczą, ścianą pruską — wiecie, co to znaczy — jest telefon!

Telefon!... O, gdybym był poetą, napisałbym hymn na cześć tego aparatu. Dał mi cudowną sposobność, nie zrobiwszy kroku poza pokój, poznać zalety i właściwości tych niepochwytnych istot, które się mienią tysiącem barw tęczy, które oczom obcych ludzi okazują tylko to, co pokazać zechcą, świetlane blaski, słodkie uśmiechy — a resztę — szare cienie zachowują dla swoich najbliższych. Kochany telefon! — pierwszego dnia — z grzeczności dla mnie, nie odezwał się ani razu.

Ale nazajutrz w południe:

Dzin, dzin, dzin, dzin — kogoś proszą do telefonu.

Słyszę na korytarzu przyspieszone kroki. Chód jest pewny, krótki, energiczny. Ktoś zbliża się i mówi:

— Tutaj pensyonat panny Morozowskiej. Kto tam jest!

— — — — —

— Ludwik? Dobrze.

Głos jest stanowczy, dźwięczny, o zimnym, metalowym dźwięku.

Słowa płyną jasno i dobitnie.

— Nie masz potrzeby tu przyjeżdżać, Ludwiku, chwilowo jesteś zupełnie zbyteczny. Lepiej pilnuj gospodarstwa.

Co, zrozumiałeś?

— — — — — ?

— Nie, ja nie chcę.

— — — — —

O kogo? o Wolańską? nie potrzebuję pytać ciotki. Wiesz jak jest miękką, gotowaby ją zatrzymać. Baba zasłużyła na terminatkę i finis. Wyrzuć ją bez namysłu. Wolę jej już nie zastać w Bromicach. Nie cierpię scen, płaczów, komedyi, harmidru dzieciaków. Proszę, abyś się zastosował do mego życzenia.

— — — — — ?

— Czy widziałyśmy Adamów? Tak. Ona wciąż piszczy, narzeka. W pokoju duszno, nieporządnie. Uciekłyśmy coprędzej.

— — — — —

— Owszem, do składki chcę należeć, ale drugi raz odwiedzać twej miłej ciotki nie myślę. Jula może zanieść jałmużnę. Ludwiku, słuchaj:

W moim pokoju każ odmalować posadzkę, wytrzepać meble, dobrze przewietrzyć i napalić. Tylko jeżeli Kasia co stłucze, powiedz, że wytrącę ze zasług. Ona wie, że ja nie żartuję.

— — — — —

— Nie, nic więcej, bądź zdrów.

— — — — — — — — — — — —

To Stefa, pomyślałem. Ciepło w pokoju, jasno, przyjemnie, a mnie coś jak dreszcze po kościach przelatują. Brr... brr... brr... — Ojej, ten głos, ten głos! Zimny, cierpki, świszczący... A ja tak wrażliwy na dźwięk kobiecej mowy — tak namiętnie lubiący wszelką harmonię i muzykę głosu. A ten ton krótki, ostry, rozkazujący — brrr... brrr... brrr...

Boże! i tę niewiastę chciała mi ciotka dać za dozgonną towarzyszkę życia, wraz z Bromickiem wianem. O nie, dziękuję, merci — Chérie.

Mija jakaś godzina ciszy i znów „dzin, dzin, dzin“, — telefon się odzywa.

Słychać otwieranie pokojów, szepty, nawoływania.

Panna Helena mówi:

— Proproś, Maryniu, pannę Emilię.

Po chwili ktoś biegnie, lekko, w lansadach, chwaszcząc jedwabiami i nuci kabaretową piosnkę:

Całować, to nie grzech,
Skrupuły Twoje, śmiech —
Bo całus nieba dar,
W nim cały życia czar.

— — — — — — — — — — — —

— „Gabryś? czy to ty jesteś? — Dzień dobry, aniołku. My od kilku dni bawimy w Poznaniu; bardzo nam tu dobrze — kuchnia doskonała, tylko święte nudy. Jeunehomików nie ma na lekarstwo. Ha, ha, ha!“

— Jaki sympatyczny głos! — szczególniej pociągający śmiech, który się sypie w kaskadach, dziwnie melodyjnych.

— — — — — ?

— „Czy dużo załatwiłam sprawunków? Dotąd nie wiele, ale kupiłam śliczną bluzkę, nie drogą, za 85 marek, z bardzo głęboko wyciętym ajourkiem — jak jak lubię. Lecz nie mam się dla kogo ubrać. Wiesz ten, hm... dotąd niewidzialny.“

— — — — —

— A! byłaś w Mielnie! tańczyłaś do 5-tej z rana! Szczęśliwa! Cóż flircik z mecenasem udał się? — Nie? toś gapka. Trzeba było korzystać z nieobecności

Xantypy. Szkoda, że mnie nie było na twojem miejscu.

— — — — —

— Co? grzech? — Dziwię się, że cię te morały alarmują — au XX siècle, wszystko nam wolno. — On prend son bien où on le trouve, et on donne carte blanche au mari.

— — — — —

— Gorszę cię? nie udawaj niewiniątka, — przypominam ci Edzia!

— — — — —

— Co czytam? W nocy „Króla Andrzeja“ i „Rewolucyę“ Tetmajera, za dnia w salonie „Les âmes celtes“ Monlaur. Znasz? Nudziarz bajeczny, tylko jedna scena w więzieniu ładna, ale czy rozumiesz, że bohater, żegnając na zawsze ukochaną, nawet jej nie pocałował. Chciałabym widzieć Edzia! — ha! ha! ha!

— — — — — ?

Przyjedziemy. — Dwóch to zamało. Zaproś też mecenasa, ale bez Xantypy.

— — — — — ?

— O, nie obawiaj się o mnie. Potrafię się przeistoczyć — uczeszę się jak grzeczna Frania, włożę kapelusz katolicki i bluzkę bez ażurka. — Adieu, mon ange — przyjedziemy na pewno.

— — — — — — — — — — — —

Telefon umilkł. Motyl frunął napowrót do swego pokoju, a ja siedzę i nie mogę się otrząsnąć z wrażenia. Więc taką jest druga panna Montogołowska! Ooo! bardzo niebezpieczny ptaszek. — Manilko! miej się na baczności! To coś z rodzaju

„puchu marnego", ujmujący wdzięk, czar niewinnej zalotności — a wewnątrz — duchowa pustka. Straszne.

Taki motyl, taka pani domu w cichem, poważnem Jaczewie, jako następczyni po mamie i dawnych rodzinnych matronach, obywatelkach, słynących wysokim tonem dusz i purytańskiemi zasadami. O zgrozo!!!

Naprawdę mam żal do ciotki Bromickiej. Czy ona świadomie i z rozmysłem chciała mnie tak opatrzyć, czy jest ślepą i głuchą, czy też udaje, że nie widzi i nie słyszy, co się w koło niej dzieje? Kto wie, jaki obrót byłaby wzięła ta sprawa moich konkurów, gdyby nie przypadek z nogą, i... sąsiedztwo telefonu. Wprawdzie podsłuchiwać rzecz niełądna, ale cóż mam robić? — Jestem uwięziony na szezlongu, tuż przy aparacie, a z małym wyjątkiem, wszyscy tak krzyczą — w tę biedną, niewinną tubę, iż choćbym nie chciał, słyszeć muszę ładne kwiatki panieńskich rozmów i dziewiczych aspiracyi. Rozgrzesza mnie pewność, iż telefonowi nikt sekretów nie powierza, a nie moja wina, jeśli czasem zdradzi, skompromituje aniołów z nad Prądnika.

Zmierzchać poczyna — szare cienie spływają i krążą dokoła. Mnie jakoś głupio na duszy. Czuję wyraźny niesmak, a równocześnie dźwięczy mi w uszach perlisty śmiech kuzynki. Przeczuwam, że w tej młodszej pannie Montogołowskiej są światłocienia. Coś z moich sennych marzeń — z królestwa bajki. Wydaje mi się pięknym kwiatem, którego deszcz przybił do ziemi i błotem obryzgał, albo przechodzień upuścił w jakimś podrzędnym tynglu. — Szkoda jej!

Szczęściem zostaje jeszcze Julcia! — Pocieszam się tą myślą i czepiam się jej z desperacką siłą. Nie wiem atoli, czemu — w tej chwili miła twarzyczka kuzynki, spotkanej na wstępie, ginie w pomroce niezadowolenia. Jestem mniej skłonny do zachwytów. Coś mi szepce: kto wie, jaką jest w gruncie ta trzecia? Czy, żyjąc w podobnem milieu, może mieć wyższy lot ducha i choćby w bladym zarysie pojęcie o kulturze uczuć i serca?

Wpływ otoczenia, to ogromny czynnik, działający dodatnio lub ujemnie w rozwoju kobiecej psyche. Zapewne i Julcia...

— — — — — — — — — — — —

A! jakież licho zesłało mnie do Poznania! Byłem szczęśliwy, spokojny, potrzeba mi było lecieć na wezwanie ciotki. — I, zamiast użyć przyjemności miasta, leżę uwięziony na szezlongu, zajmując się analizą wychowania tegoczesnych panien, jak jaki zrzęda-pedagog.

Po obiedzie wpadli do mnie Jaś i Gucio, ogromnie zadowoleni z zapoznania się z pp. Montogołowskiemi, które dziś jeść raczyły wspólnie. Gucio co chwilę prostował swą wysoką postać, poprawiał biały kołnierz, jak gdyby go nagle uciskał i powtarzał:

— Ładne panny, bardzo ładne i dystyngowane panny! Podobają mi się, bardzo mi się podobają.

A Jaś biegał po wązkim pokoju, raz po raz potrącając meble, — przystawał i dowcipkował:

— Daję słowo, gdybym nie miał żony, zakochałbym się na śmierć w twej kuzynce. Sapristi, jakie oczy!...

— O której mówisz, są przecież trzy?

— Trzy? Pokazały nam się tylko dwie. — Mnie oczarowała przy stole sąsiadka p. Mita. Cukierek, wówię ci — śliczny uśmiech, ząbki jak perły...

— Ja wolę brunetkę, — odezwał się Gucio, — bajeczna kobieta, taka kobieta, jaką się rzadko spotyka, — bardzo mi się podoba.

— Szkoda, — westchnąłem, — że nie widzieliście tej trzeciej, bo mnie właśnie interesuje najmłodsza; ale jeżeli tobie podoba się Stefa, próbuj, Gustawie. Służę ci za dziewosłęba. Opowiem ciotce, jaki z ciebie wzorowy młodzieniec: oszczędny, bogaty -- nie hołdujący damom pik ni trèfle, nie szukający sukcesów w królestwie Melpomeny.

Gucio zarumienił się po uszy, bąkając jakieś niewyraźne słowa, a Jaś zawołał z powagą:

— Zastanów się, Gucio. Ostatnia chwila wybiła dla ciebie tak samo, jak i dla Manilka. Starzejecie się, moje chłopcy, — maluczko, a żony nie dostaniecie; człowiek zaś bez połowicy, to niedokończony poemat.

— Łatwo mówić, gdy się ma taką żonę, jak ty — mruknął Gucio.

— Zróbmy zamianę — weź moją Adę, a ja poflirtuję z p. Mitą.

— Ba! wiesz dobrze, że twoja pani nie przystanie na podobną zamianę.

Po ładnej twarzy Jasia, przywiązanego szczerze do miłej i pełnej wdzięku żony, przemknął wyraz zadowolenia.

— To już twoja rzecz Adę przekonać i zbałamucić! — I na samą tę myśl wybuchnął wesołym śmiechem.

— Eh! dajcie pokój dowcipom i cudzym żonom — rzekłem. — Lecz, Gucio, bądź rozsądny i rozważ seryo moję propozycyę.

Gucio już brał za kapelusz, chcąc ukryć nową falę rumieńców.

Jaś zawołał, wychodząc za nim:

— Zapóźno! mój kochany. Nasz Gucinek po uszy zakochany w 17-letniej pannie Isi.

— Isi? Któżto jest?

— Isia, to jest mądra główka, fiołek, pszczółka, ogólna faworytka, wszystko, co chcesz.

I poszli.

A ja znów zapadłem w zadumę. Oplątały mnie marzenia — niby siecią pajęczą i nie mogłem się pozbyć tych moralnych, a natrętnych fils de vierge...

Ktoś nad moją głową grał Szumana. Rozkołysały mnie do reszty dyskretne dźwięki, myśl powędrowała z ciasnych murów pokoju w szeroką, błękitną dal! Usta bezwiednie powtarzały: „fiołek, faworytka, pszczółka“.

...Bezczynność gotowa jeszcze zrobić ze mnie poetę. Zresztą wszyscy o tem wiedzą, że:

Wielu jest poetami, może pierwsi z chóru,
Co nigdy natchnień swoich nie zwierzyli pióru.

Kto wie — czy i ja — — — —
Dzin, dzin, dzin, dzin —
Masz tobie! — Telefon dzwoni...
Bieganie — wołanie.

— Julciu! Julciu! — słyszę ciocię Bromicką. — Idź, zastąp Stefę, to z pewnością Mania Krzymińska chce z jedną z was rozmawiać.

Julcia!! trzecia kuzynka się odezwie — doskonale!

Zamieniam się cały w słuch, a wraz ze mną cichy pokoik zdaje się wstrzymywać oddech, aby lepiej podchwycić każde słowo.

Drzwi zatrzaśnięto z hałasem, ktoś głośno, ciężko stąpa, przywodząc na pamięć niedźwiadka, wypuszczonego z klatki.

— — — — — — — — — — — —

— Tutaj! pensyonat panny Mrozowskiej. To ja jestem — Jula Montogołowska! — huknęło w telefonie, aż mi zatętniło w głowie i tym razem nie z dyskrecyi, lecz mimowolnym ruchem ręki zasłoniłem uszy.

— No, Andziu, co chcesz? czy to ty jesteś?

— — — — —

— Aha! dobrze, zaraz powiem ciotce.

— — — — —?

— Nie, nie ma jej w domu — przed minutą wyszła do krawcowej.

— — — — —?

— Ja? kiepsko. Wiesz przecie, że nie cierpię żadnego mieściska — ciągle mi przymawiają, że mam włosy potargane, ciągle muszę myć ręce, czyścić suknię, — okropność!...

— — — — —?

— O! obiady tu dobre — nawet lody dają często. A u was co? Mieliście dużo owocu? A Ala ma już źrebaka?

— — — — —?

— Hę? jak stoi sprawa? A bo ja co wiem. Mnie takich rzeczy nie powiedzą. Spytaj się Mity,

ona ci wszystko wyśpiewa — cały dzień nic nie robi, to i lubi gadać przez telefon, a u nas jeszcze tej maszyny nie ma we dworze.

Tu głos tubalny nieco się zniżył:

— Andziu, słyszysz dobrze? Stefa bo coraz gorsza, wciąż marudzi i marudzi. Już przetrzymać nie podobna. Chciałabym, aby ją ten wziął... Wiesz ten, co tu ma być, nawet tu mieszka, ale się dotąd nie pokazał. Coś w nodze mu się stało, albo sobie dodaje dla szyku. Mita się trzęsie, aby go zobaczyć... ja tam nie ciekawa — choć ciocia mówi, że ładny, fajn chłopak i bardzo bogaty. Oj! to się Stefa będzie miała z pyszna!

— — — — —?

— Nie, nie — ani razu. Adju ci.

Brrrr. Klaps. Telefon zamknięty.

Oniemiałem! Ręce mi opadły bezwładne!

Nie wiedziałem zrazu, czy się mam cieszyć, czy płakać.. Ale wesołość wzięła górę... i począłem się śmiać, sam do siebie, jak student, jak żak szkolny, do rozpuku.

Ach! to wyborne! kapitalne! Jeszcze na żadnej komedyi w teatrze tyle się nie uśmiałem i nie ubawiłem. Więc to jest „ta trzecia“. Ta przezemnie wyidealizowana Julcia — prosta, ordynarna Jula, która gminne słowa i spostrzeżenia trąbi przez telefon do przyjaciółki.

— Une gamine — jak cedziła ciotka Bromicka — encore sans maintien, ale nie wątpię, że się pod mojem okiem wyrobi.

Bardzo proszę — byle nie pod mojem.

Manilko! toś wpadł; Teraz trzeba myśleć

o odwrocie, bez obrazy majestatu Bromickiego wykombinować mądrze, jak urządzić fugę!...

Ojej! będzie trudna sprawa. Bo jakże wytłumaczyć ciotce, choćby pod osłoną najpiękniejszego kwiatka, że wyjeżdżam — że nietylko nie zamierzam starać się o względy żadnej z jej pupilek, ale nawet nie pragnę widzieć pięknych panien.

Wystarczyło mi — słyszeć je.

Jedna jest zimna — bez serca, druga bez etyki i moralnych podstaw, trzecia bez wychowania.

To chyba dosyć.

— — — — — — — — — — — —

Wieczorem przyszła mnie odwiedzić ciotka. Ponieważ nie umiem przemawiać misternymi frazesami i łatwo zapominam Talleyranda przestrogi: „que la parole est faite, pour cacher la pensée", więc po krótkiej wymianie zdań odgadły przeczulone nerwy pani ordynatowej, iż straszny cień rozczarowania padł na moje serce.

Zerwała się burza.

Ciotkę żywo podrażniły nie tyle moje sarkastyczne słowa, zaprawione gryzącą ironią, ile brak zapału do zawiązania znajomości z kuzynkami.

Nastąpił krach. Kto nie był na Wezuwiuszu, nie może mieć pojęcia, jak wygląda taki wybuch. Zdawało mi się, iż spadną na mnie razy.

Z dystyngowanych ust ciotki popłynęły słowa:

— Osioł, gałgan, dureń — idyota. Nie spodziewaj się sukcesyi po mnie.

Dostało się też najniewinniejszej w świecie pannie Helenie, służbie pensyonatu — a najwięcej doktorkowi.

— Cet imbécile nie zna się, przeciąga chorobę, z małego boba robi piramidę egipską.

Gdy wyczerpał się cały arsenał pocisków, biedne ciotczysko rozpłakało się.

Uspokajałem ją jak mogłem, ale w niewieścich oczach fenomenalnie dużo płynu zmieścić się może i gdy raz się otworzą łzawe śluzy, biją z tamtąd istne fontanny!

Ciotka, zerwawszy się po chwili, podeszła do lustra, a widząc oczy nabrzękłe i nos zaczerwieniony, jęknęła:

— Patrz, jak ja wyglądam, jak nieboskie stworzenie, a wszystkiemu ty jesteś winien — bo nic tak nie boli, jak czarna niewdzięczność tych, którym pragniemy wyświadczyć dobrodziejstwo.

Wzywałem Boga na świadka moich najszczerszych intencyi, oświadczyłem ciotce, że do grobowej deski zachowam w sercu wdzięczność dla niej, i potrochu poczęła się uspokajać.

Wyjęła z kieszeni jakiś cienki papierek, przetarła nim twarz i nieco więcej zadowolona z ponownego przeglądu w zwierciadle, wyszła z pokoju.

Noc miałem niedobrą. Wzburzenie udzieliło się i nodze, która naprawdę dokuczała. — Głos Juli brzęczał mi w uszach, urągał obrazkowi, wypieszczonemu w sennych marzeniach. W sercu mojem wzbierały fale zniechęcenia i złości przeciw kobietom i systemowi wychowania dzisiajszych panien, które, jak mądrze powiedział pewien autor, zabija w nich cechę poezyi, osłabia uczuciowość, a rozbudza nerwy i namiętności.

Nagle zamajaczyła przedemną twarzyczka panienki, ujrzanej w chwili przybycia.

Poruszyłem się niespokojnie. — Czyli to być może, aby to ciche, jasne, pogodę ducha zdradzające dziewczę, a trywialna Julcia, były jedną i tą samą osobą.

Czyli to być może? Nie — nie — nie!

Więc kto ona? kto ona?

Nie mogłem doczekać ranka, by wyświetlić tę zagadkę.

O siódmej zadzwoniłem i gdy się zjawiła Marynia z smaczną, ranną kawą, wziąłem ją na spytki.

— Wiem, że tu pokojowe nie mają czasu do gawędki, bo w pensyonacie rygor, ład i dużo do roboty, ale dla chorego biedaka są przecież wyjątki.

— Panno Maryniu — spytałem chytrze, — czy prócz ordynatowej Bromickiej i pań Montogołowskich nie macie obecnie nikogo w pensyonacie?

— O jest jeszcze: ks. kanonik Z., pan hr. Koński i starsza pani z Złoczowa.

— To mniej więcej wszystkie pokoje zajęte?

— O tak wszyskie.

— Ale tego... O co ja się chciałem spytać? Ta pani, która towarzyszyła pannie Mrozowskiej, gdym zajechał, co to za jedna?

— Pani? Ach! to nasza panienka, panna Isia Baczyńska z Raszew. Już tu u nas bawi od pół roku.

— Tak? i co ona tu robi?

— Och, czego ona nie robi. — Święty Boże! cały dzień, od rana do nocy, w nauce. To idzie do szkoły, gdzie uczą prać i gotować i sto innych

rzeczy — to do św. Józefa opatrywać rany dzieciom, potem do doktora zakrapiać chorym oczy, potem wieczorem na jakieś mądre wykłady wychodzą z naszą panią, bo to krewne są i bardzo się kochają.

— Więc to krewne są i bardzo się kochają, powiada panna Marynia?

— O tak — odparła, mrużąc filuternie okiem — nasza pani mówi, że ten, kto weźmie pannę Isię, będzie miał skarb.

Skarb! proszę, i jabym nie pogardził skarbem.

Rewelacye Maryni dały mi dużo do namysłu — ale po ostatniem rozczarowaniu tyle fermentu osiadło w duszy, iż nie byłem skłonny do złudzeń. — Pewnie to będzie jakie bas-bleu, — myślałem — o wysuszonem sercu, poświęcające dla zdobycia wiedzy życie rodzinne.

I uprzytomniły mi się słowa, z ust mądrego kaznodziei płynące:

„Zbyt wielki balast nauki dla młodej główki, to jakby kto ołowianą kulę wpuścił do kielicha lilii.“

Gdy koło południa zjawił się u mnie doktór, obejrzawszy nogę, zdawał się bardzo niezadowolony z wolnych postępów ku dobremu.

— Cóżto, panie kochany, jakoś nie idziemy raźno naprzód. Myślałem, że dziś będziemy mogli wstać. Szanowna ciotka pana tak bardzo sobie tego życzy, tymczasem ze dwa dni jeszcze będzie pan musiał poleżeć.

— O, to nic nie szkodzi, panie doktorze. Czasem do szczęścia i spokoju potrzebna taka kwarantanna na szezlongu.

— Cóż za dziwny pacyent z pana!

Spojrzał na mnie zdziwiony, jak gdyby badał, czy mój mózg nie doznał też wstrząśnienia, lecz, że ciotka dużo mówi, a on domyślny, zaraz wpadł na właściwe tory.

— Aha!... to takie buty! Bon! Ile dni wywczasu jeszcze panu potrzeba?

— To zależy. Pan Doktór rozumie, że nie chciałbym, aby dla mnie ciotka opóźniała swój wyjazd.

— Rozumiem, rozumiem, bardzo prosta kombinacya, — trzeba oszczędzać nerwy cioci ordynatowej. Powietrze wiejskie o wiele dla niej zdrowsze. Bon!

W dwie godziny później odebrałem od ciotki wonny, różowy bilecik.

„Il faut, que je parte, chéri, pour Bromice. Stefa chce wyjechać jutro. Za 10 dni będziemy tu z powrotem i liczę, że chyba wówczas zastaniemy cię complètement remis et moins revêche. Tymczasem bonjour, chéri.“

Dobra w gruncie rzeczy kobieta, ale jak ograniczona!... Pupilki, zdaje się, zwłaszcza Stefa, rządzą nią jak starym pantoflem.

Odpisałem bardzo uprzejmie, zdobywając się na bajeczne frazesy. Daleko bo łatwiej kłamać piórem, niż ustami... papier jest cierpliwy, nie zdradza się rumieńcem, nie krępuje niczem.

Ogromnie gładko powiedział on ciotce to wszystko, czego nie czuję, czego sobie nie życzę, ani dziś, ani za dni dziesięć.

Nazajutrz, nie z brzaskiem dnia, ale o przyzwoitej i cywilizowanej godzinie jedenastej, panie Bromicka i Montogołowskie opuściły pensyonat.

Było sporo biegania, śmiechów, gawęd na korytarzu i trzaskania drzwiami.

Rozpoznawałem każdą z kuzynek po cechach indywidualności:

Dyspozycye — Stefa.

Śmiech perlisty — Mita.

Trzaśnięcie drzwiami — Jula.

A potem zrobiło się nagle cicho; niby po pogrzebie. I był to potrochu pogrzeb moich marzeń, bo jakkolwiekbądź przez te dni parę żyłem myślą zmiany losu i chęcią poznania kobiety. Rozdźwięczały mi wszystkie struny duszy cudną pieśnią nadziei i te najmilsze, spoczywające na dnie serca, o których nie przypuszczałem wcale, aby mogły do tego stopnia się zataić, a zbudzone do życia, rozkołysane pragnieniem, drżeć taką pełnią uczuć!!

Telefon, ów zdrajca, który był sprawcą bolesnego zawodu — poplątał szyki ciotki, potargał węzły rodzinne, rozstroił nerwy — cały ranek milczał. I nie dziw. Chyba już popełnił dosyć niedyskrecyi — nie miał mi nic nowego do powiedzenia. Wiedziałem wszystko, co mi było do wiadomości potrzebne. Czy wszystko?

Dopiero w południe odezwał się aparat. Kto zamawiał konie na stacyę kolei, potem głos niewieści kłócił się ze składem o płaszcze nie odebrane na czas, wreszcie pewien jegomość chciał maszyneryę rozbić, nie mogąc się doprosić życzonej osoby.

Po kilkunastu próbach i nawoływaniach rzucił kolbę z impetem i energiczne: „psia krew!“ rozległo się w korytarzu.

Po obiedzie, w chwili, gdy rozłożywszy się wygodnie, wziąłem dziennik do ręki, usłyszałem za drzwiami jakieś lekkie szmery i ktoś cichutko zbliżał się do telefonu.

— O Boże! — westchnąłem. — Litości! Zaczyna to być nieznośne...

Wtem, sza!... cóż to?... jakiś głosik pyta o mnie:

— Maryniu, czy pan Staniewski nie śpi?

— Nie, proszę panienki. Kazał sobie podać „Dziennik“ i czyta!

— A, to dobrze, bo ja przed wyjściem na miasto muszę się połączyć z Raszewami, a nie chciałabym przeszkadzać choremu w drzemce.

Isia!... panna Isia!... moje jasne dziewczę. Nareszcie ona! — Mówią, że słabych ludzi ująć można najłatwiej troskliwością o ich zdrowie, nie wiem — bom silny jak lew, nikt dotąd nie troszczył się o moje dolegliwości lub drzemki poobiednie, ale to pewne, że te słowa panienki przypłynęły do mnie rajską falą, musnęły mnie niby zefir wiosenny, niosący na swych skrzydłach upajającą woń słodyczy.

Słuchajmy!

— — — — — — — — — — — —

— Mamusiu, czy mamusia jest przy telefonie? Dzień dobry, mamusi. Chciałam powiedzieć, że dopiero jutro przyjadę wieczornym pociągiem, bo wcześniej nie mogę.

— — — — — ?

— Z tej przyczyny, mamusiu, iż ciocia Antolka prosiła mnie, abym przyszła pomódz jej spakować rzeczy do Berlina. Biedna ciocia, w wielkim niepokoju o Janinkę; wyjeżdża dziś w nocy. Nie można jej w takiej chwili opuszczać, więc razem z ciocią Helą odwieziemy ją na kolej.

— — — — — ?

— Nie, mamusiu, nie byłam. Ogromnie mi było przykro, bo się bardzo cieszyłam na tę zabawę. Ciocia Antolka tak płakała, odebrawszy straszną wiadomość, iż nie miałam serca zostawić jej samej. Ale mamusiu, proszę mnie zanadto nie żałować, bo niedługo będzie tańcówka u Bieńskich — już jestem proszoną, wezmę tę białą suknię — która się podoba cioci Heli i jeszcze komuś...

— — — — — ?

— O, ja zdrowa i wcale niezmęczona, niech się tatka nie lęka. — Choćbym chciała się uczyć wieczorem, to mi ciocia Hela nie pozwoli. Od 3 dni nie było żadnej większej operacyi u św. Józefa — mały Staszek ma się coraz lepiej, codzień mu bandażuję nóżkę, już umiem to robić sama, bez pomocy siostry.

— — — — — ?

— Tylko dwa razy, mamusiu. Dzisiaj nie będziemy. — Szkoda! — Strasznie żałuję, bo to właśnie trzeci wykład o Wyspiańskim i nareszcie zaczynam pojmować tę niezwykłą postać i zachwycać jego dziełami.

— — — — —

— Dobrze, a czy mama nie ma sprawunków? Przywożę dużo barchanu na kaftaniki dla uczennic

Jadzi. Liczę, że Amelka pomoże nam uszyć. Tutaj — nie mam czasu. Dla bebusia kupiłam na wystawie Żnicza ślicznego baranka. Ciekawą jestem bardzo, czy Adaś przybrał na wadze. Niech mama tatkę uściska i wszystkich, ale najwięcej bebusia!

Do widzenia, mamusiu, jutro wieczorem.

— — — — — — — — — — — —

Ach! do widzenia!
Czyli być może pośród smutnych ludzi
Istota, w której cały raj wspomnienia
Zaklęty wyraz ten nagle nie zbudzi?
Ach! do widzenia!

Nie mogę znieść tej myśli — że ona wyjedzie, a ja jej nie zobaczę.

Więc z prawdziwą pogardą zdrowia i wszelkich przepisów hygienicznych zerwałem się z szezlonga i drzwi uchyliwszy, stanąłem w nich w postawie wyczekującej.

Przechodząca cichutko panienka zatrzymała się jak wryta i na wrażliwej jej twarzy odbiło się zdumienie i coś jak niepokój.

Szybko zbliżyła się do mnie, pytając:

— Czy pan czego nie potrzebuje, lub czy może szuka kogo?

Wzięła mnie ochota krzyknąć:

— Potrzebuję widzieć ciebie... i ciebie jedną szukam!

Ale onieśmielony, rzekłem:

— Nie, pani. Chciałem tylko nieco wytchnąć i wypróbować moje siły.

A gdy ona poruszyła się, by odejść — pchnięty rozpaczliwą odwagą, zastąpiłem jej drogę.

— Pani jutro odjeżdża? Przepraszam za niedyskrecyę, to telefon zdradził jej zamiary. Niech mi pani pozwoli skorzystać z tej sposobności, aby jej podziękować za współczucie i pomoc życzliwie mi udzieloną w chwili mego niefortunnego wypadku. Wówczas odurzony bólem, nie byłem w stanie wyrazić paniom mojej wdzięczności za ich anielską dobroć i opiekę nademną.

Panna Baczyńska zaróżowiona odparła:

— Bardzo nam było miło pomódz panu; to takie proste — doprawdy niema za co dziękować.

— O, jest za co, — zawołałem i coraz śmielszy, ująłem rączkę panienki i długą chwilę zatrzymałem ją w uwięzi.

— Pani tak zwyczajna zniewalać bliźnich, pokrzepiać chorych, zawsze na służbie dobrej sprawy, iż wszystko jej się wydaje prostą rzeczą, — a jednak, proszę mnie zaliczyć do rzędu najwdzięczniejszych sług i przyjaciół swoich. Proszę uwierzyć, że głęboko zapisałem w sercu dzień, w którym ujrzałem panią po raz pierwszy i nie zapomnę nigdy...

Złożyłem gorący pocałunek na drobnej rączce, która zadrżała w mej dłoni, a spojrzenie moje musiało zdradzać całe lata tęsknoty za taką chwilą i wypowiadać z siłą tłumionego uczucia wiele więcej, niż mówiły usta, bo na jasnej twarzy panny Isi wykwitły żywe rumieńce i oczy, strwożone jak u gazeli, przysłoniły się długą rzęsą.

Za chwilę już jej nie było. Wróciłem do mojej samotnej celki z bijącem sercem, pełnem jakichś niedomówionych słów, harmonijnych dźwięków i zachwytów!

Nadizeja, „śpiewne ptaszę,“ nuciła mi w duszy cudne arye...

Cały wieczór marzyłem o niej.

— Ucz się, — szeptałem — jasna dzieweczko, pracuj, szlifuj serce, zbieraj skrzętnie dobre ziarna na drogę życia. Nie będę ci przeszkadzał. Ale później, gdy wśród grona rówieśnic ukażesz się na sali balowej, odnajdę ciebie. Bo ty bezwiednie, jak kwiat, rozsyłający w koło miłą woń — jak księżyc, siejący w noc letnią srebrne blaski, rzuciłaś na smutne serce moje promyk otuchy. Ujrzałem cię raz pierwszy z wyrazem współczucia w oczach i zdałaś mi się bardzo bliską — bardzo swoją, a potem, gdym posłyszał twój głos, ujęłaś mnie nie melodyą dźwięku, ale melodyą duszy. — Zrozumiałem, że jest w tobie ta przedziwna, a tak rzadka harmonia strony zewnętrznej z wewnętrzną — wdzięku niewieściego z gołębią prostotą serca. — Zrozumiałem, że ty, dziecię XX-go stulecia, łączysz kulturę uczuć i umysłu, wiośniane porywy wesołości z powagą i dobrocią siostry miłosierdzia. A choć umysł twój wyrywa się po szlakach wiedzy, chce przeniknąć potęgę geniuszu Wyspiańskiego, to serce dziewicze drży pełnią macierzyńskich uczuć i pieszczot dla bebusia.

Nazajutrz posłałem pannie Baczyńskiej wiązankę fiołków i białych róż. Gdy wyjeżdżała, stanąłem w oknie. — Nie podniosła oczu w moję stronę, ale jeden wonny pączek, przypięty do stanika, wzrok mój przykuwał i coś o pamięci, o nadziei roił.

— — — — — — — — — — — —

Miesiąc już minął, odkąd jestem z powrotem w Jaczewie. — Co wieczór, gdy po trudach dnia

spoczywam i dumając, patrzę w niebo, na promykach gwiazdy schodzi do mnie dawna, wymarzona postać.

Tylko, że twarz jej pogodna i jasna, duże, myślące oczy przypominają żywo tę, którą poznałem. Zdaje mi się, iż czuję jeszcze serdeczne ciepło rączki drżącej w mojej dłoni i wzruszony, w cichą, gwiaździstą przepaść nocy rzucam jej słowa:

„Do widzenia Isiu!“

I odpuść nam nasze winy...

I

Przerzucając papiery pośmiertne mej krewnej, Klaudyny W..., która znaną była w Poznańskiem jako autorka pisząca pod pseudonimem „Debory“, znalazłem niniejszą nowelkę zatytułowaną: „I odpuść nam nasze winy.“ Ten drobny utwór, niby urwany akord z smętnej pieśni życia, znajdzie może łaskę czytelników, a może rozstrzygną zagadkę: prawda to, czy fantazya?

Mimowoli nasuwa mi się zdanie Woltera:

„Toujours un peu de vérité se mêle au plus grossier mensonge.“

* * *

Cudna była wiosna tego roku. Śmiało się słońce do ziemi, a ziemia do słońca, jak oblubienica strojna w wszystkie wdzięki swej młodzieńczej krasy

i w wszystkie klejnoty, przyniesione jej w darze przez hojnych rodzicieli.

A w duszach naszych było równie jasno i słonecznie, bo nam świt życia opromieniały przebogate blaski szczęścia i miłości — płonęło na naszem niebie milion gwiazd drgających nadzieją, a w sercach kiełkowało tysiąc uczuć wzniosłych, szlachetnych i hardych, niczem nie spętanych uniesień.

Byliśmy oboje młodzi i kochali się — kochali — ach! jak bardzo — wypowiedzieć nie sposób i od kiedy, niktby nie odgadł — po prostu od chwili, w której po raz pierwszy spotkaliśmy się jako malcy, mieszkający w blizkiem sąsiedztwie.

Odtąd wśród towarzyskich zebrań byliśmy zawsze razem. Gdy nie było Wacława, żadna zabawa nie miała dla mnie uroku, on zaś stawał się chmurny i nieznośny, jeśli w gronie dzieci nie zastał swej małej przyjaciółeczki. Rodzice moi osłaniali przychylną opieką to dziecinne kochanie, widocznie wchodziło w ich plany, by losy nasze w przyszłości połączyć. Matka Wacława, wytworna dama, ogólnie wielką księżną przezwana, choć z mniejszym entuzyazmem, lecz bez wyraźnej niechęci patrzała na rozwijającą się sympatyę dwojga niewinnych serc. Sympatya ta, niczem nie krępowana, wśród sprzyjających okoliczności rosła, rozwijała się jak kwiat cudny w pełni słonecznych blasków południa.

Gdy stanęłam w szranki panien na wydaniu, Wacława Horomińskiego nie było w kraju, kształcił się za granicą, zwiedzał i podróżował dużo, lecz wakacye sprowadzały go w nasze strony zawsze

równie mi oddanego, patrzącego mi w oczy z bezgraniczną miłością i przywiązaniem.

Za rok — za dwa najdalej, po ukończeniu jakichś formalności z powodu działów rodzinnych Horomińskich (bo Wacław miał siostrę i dwóch braci) mieliśmy się połączyć węzłem dozgonnym, tymczasem wystarczało nam „ciche słowo.“

Wśród naszych najbliższych nikt o tem nie wiedział, iż w cudny wieczór majowy Wacław cisnąc namiętnie ręce moje do swej szerokiej piersi, szepnął magiczne słowa: „kocham nad życie — śmierć tylko jedna może mnie rozłączyć z tobą. Czy chcesz być moją? — moją na zawsze?“

A kiedym odparła: „Od zarania życia tyś mojem słońcem i wszystkiem,“ wsunął mi na palec maleńką obrączkę, którą obiecałam ukryć na sercu, aby żadne ludzkie oko niewczesną ciekawością lub banalną życzliwością nie sprofanowało świętości naszych uczuć, jak śmierć mocnych, jak przepaść głębokich.

Gdy Wacław odjechał w dalekie strony, by pod okiem wuja hr. Szamorskiego, brata matki, uczyć się gospodarstwa, zdawało nam się, że nieprzeżyjemy dłuższej rozłąki. Choć pewną byłam, że miłość moja przewyższa jego uczucia — w chwili pożegnania on był mniej mężny, odchodził i wracał, nie mogąc oderwać oczu swych odemnie, błagał o wierną pamięć — tworzył szalone plany, aż chcąc skrócić jego mękę, uciekłam.

Z początku pisywał do mnie codziennie, często dwa razy na dzień, nieomal co godzinę. Później listy jego stawały się rzadsze, bo porwany w wir

pracy i różnych towarzyskich obowiązków w domu wuja, nie mógł oddać się ulubionej korespondencyi. Ale za to słowa jego były płomienne, drżał z obawy, by mu kto nie zabrał mego serca, a świat, w którym się niebawem ukazać miałam, nie wyziębił młodzieńczej miłości.

Ach! nie potrzebował się lękać niewierności z mej strony, takiego uczucia czas ni oddalenie osłabić nie mogły.

Wacław był dla mnie uosobieniem wszystkich cnót i zalet męskich. Postać wybranego zasłaniała mi sobą cały świat i choć na zebraniach w naszej okolicy przyjęto mnie à bras ouverts jako bardzo posażną pannę i na konkurentach nie zbywało, żadna, choćby przelotna sympatya nie musnęła serca, przepełnionego od lat najmłodszych jednem wielkiem uczuciem.

Miłość nasza miała tem więcej uroku, że strzegliśmy jej niby drogocennego skarbu, w głębokiej tajemnicy. Nawet ukochana matka moja nie wiedziała jak stoi sprawa serc naszych i trochę się zaniepokoiła, gdy w przeciągu roku odmówiłam bez chwili namysłu dwie partye, z których jedna mogła była pod każdym względem zadowolnić najwybredniejszy gust panieński.

Ojciec czynny poza domem, mało zajmujący się naszem wychowaniem, gdy się o tem dowiedział, uniósł się strasznym gniewem.

Wówczas to w cudną pieśń mego życia wpadł ton brzmiący jak dysonans. Dowiedziałam się z ust ojca, że nie jestem wcale bogatą heritierką, za jaką uchodziłam w świecie, ale zupełnie bezposażną

panną. Z powodu bankructwa pewnej fabryki, w której ojciec utopił duże sumy, byliśmy w przededniu ciężkich przewrotów finansowych!...

Pieniądze! cóż one mnie obchodzić mogły? Miałam kapitały w sercu cenniejsze od złota, wiarę w człowieka, bezgraniczną ufność w niego i miłość... Tak opancerzona mogłam bez drżenia iść na pole walki, wyzywać najtwardszy los do boju.

Wiadomość o zachwianych interesach rodziców dotknęła mnie przecież niemile. Wszakże w oczach świata ukazywałam się dotąd niby w pożyczanej szacie, w fałszywem świetle, a wszelki fałsz wydawał mi się czemś niskiem, ubliżającem godności kobiecej.

Pod smutnem wrażeniem jeszcze tego samego wieczoru napisałam Wacławowi całą prawdę.

Ale nazajutrz żałowałam mego uniesienia i robiłam sobie gorzkie wymówki.

Pocóż ten pospiech? Słowa moje pisane w rozstroju, mogły były zadrasnąć serce Wacława. Wszakże on był bardzo mienny i tak samo jak ja, gdyby nie mnie, lecz jego podobny los był spotkał, z rozkoszą podzieliłby się ze mną wszystkiem, co posiada, bądź wielką fortuną, bądź skromną dolą.

List mój dłuższy czas pozostał bez odpowiedzi, przyszła tylko do mego ojca wiadomość od hr. Szamorskiego, iż Wacław przeszedł lekkie zapalenie płuc i że jadą razem na południe.

Byłam strasznie zaniepokojoną, lecz kilka ślicznych widoczków przysłanych mi przez Wacława z Włoch wraz z zapewnieniem, iż czuje się już zupełnie dobrze, rozproszyły lęk o jego zdrowie. Młodość tak łatwo ufa i wierzy w to, czego pragnie!

Wkrótce po tej pierwszej chmurze zjawiły się na niebie mego życia czarne ołowiane chmury troską i rozpaczą brzemienne, tem cięższe do zniesienia że Wacława nie było przy moim boku.

Groźna choroba ojca — śmierć — ruina majątkowa!

O szczęśliwy, kto w wiośnie życia nie widział kirem okrytego katafalku, nie słyszał rozdzierającego jęku tej, której grób zabierał najdroższą istotę... Szłam za trumną ojca ciężko dotknięta, lecz nie skamieniała bólem, jak matka. Wobec jej rozpaczy malał mój żal.

Nad czarną dolą mego sieroctwa świeciła gwiazda tak jasna i cudna, iż wbrew mej woli złote jej promyki przeciskały się po przez czerń żałobnej krepy, dzierzgając tę tkaninę smutku nitkami nadziei! Jakoweś dźwięki płynące z stron dalekich w ponury ton hymnu „Dies irae“ wpadały zwycięzką pobudką do życia, pieśnią nad pieśniami, potężniejszą od samej śmierci. Ach! była we mnie moc i siła potężna kochania. Na sercu spoczywał talisman-czarodziej, obrączka, którą przyciskałam do piersi, ile razy ból chciał wziąć w posiadanie to biedne, sieroce serce.

Wśród jarzących gromnic w kościele, za zielenią drzew i girland, zamajaczyła mi postać narzeczonego. Stał oparty o filar, piękny i wyniosły, lecz dziwnie jakiś obcy, nie mój.

Po długiej rozłące oczy nasze spotkały się po raz pierwszy. I cóż to? cóż to? dlaczego nagle okropny kurcz ścisnął mem sercem?

Dlaczego dreszcz wstrząsnął całą moją istotą, jak gdyby w tej chwili jakaś zimna ręka zakradała

się do mej piersi, aby z niej wydrzeć to, co tam w szczęsnej ciszy spoczywało, to moje najdroższe, moje jedyne, moje wszystko.

Nie wiem, nie umiem powiedzieć, co zaszło, pamiętam tylko, że nagle w oczach zagasły mi wszystkie światła, a przedemną rozwarła się otchłań głębsza, czarniejsza od przepaści grobu!

Bezprzytomna, osunęłam się na kamienne płyty kościelnej posadzki.

* * *

W kilka miesięcy po śmierci ojca, po sprzedaży Koluszek, zlikwidowaniu całego naszego mienia, przeniosłyśmy się z matką i 12-letnią siostrzycyką do Poznania, gdzie rozpoczęło się pchanie ciężkiej taczki życia w górę, w górę po wąskiej, ciernistej ścieżce, wśród krwawej walki z losem, wśród znoju i pracy.

Praca! cudne słowo dla tych, którzy nigdy nie zajrzeli jej w oczy. O! nie była to ta złotodajna, cicha, błogosławiona praca ludzi spokojnych o jutro, ale owa sroga niszczycielka nerwów, wampir wszczepiający w żyły gorączkę czynu, praca podkopująca zdrowie, krusząca tężyznę ducha, praca à tout prix, podjęta nie w serdecznej tęsknocie za lepszym świtem, ale w martwej, beznadziejnej głuszy serca!

Światło mej duszy, które jedno mogło było opromienić najczarniejszą dolę, zagasło w dzień pogrzebu ojca.

Zanim opuściłyśmy Koluszki, zwróciłam słowo Wacławowi. Bronił się słabo, deklamował o potrze-

bie nauki i dalszych społecznych studyów. Mówił o ciężarach, które niespodziewanie spadły na jego barki, prosił o zwłokę, o pamięć, obiecywał powrócić i — odjechał.

Odjechał w chwili, gdy, biedne pisklę, wyrzucone z ojczystego gniazda, więcej niż kiedykolwiek łaknęłam serdecznego ciepła! — odjechał, gdy dusza rwała się do niego, a umęczona głowa pragnęła spocząć na drogiem ramieniu, by na niem ból swój wypłakać! Odjechał i zostawił mnie z sercem na strzępy rozdartem w zimnem odrętwieniu ducha.

Na progu nowego życia ciężka choroba powaliła mnie na łoże niemocy.

Wśród skowytu bólem rozszalałego serca prosiłam Boga o śmierć. Śmierć! cóż ona dla mnie znaczyła wobec zdrady? Cóż znaczyła rozłąka z ukochanym, choćby na lata całe, choćby na zawsze, wobec okropnego uczucia zawodu i strasznej pustki, która mnie otoczyła?

Wśród wielkiej ludzkiej gromady cierpiących byłam nowicyuszką, nie uzbrojoną do walki. Życie moje dotąd było gajem cudnie umajonym — huragan, który ponad niem przeleciał, jednym zamachem połamał łodygi kwiatów, potargał korony drzew i w dzikiem spustoszeniu zmiótł wszystko, co rwało się do słońca, do szczęścia, do życia.

Wiedza zdobyta w młodych latach, drobne talenta, które uprawiałam, wystarczały, aby zapełnić przyjemne życie pani Wacławowej Horomińskiej, nie mogły dać chleba pannie bez dachu, bez oparcia, z starą, cierpieniem złamaną matką i dzieckiem, potrzebującem opieki.

Nie umarłam. Młodość wzięła górę i jak dobra wróżka poczęła rzucać nowy posiew, ziemię z gruzów oczyszczać i budować skromną lepiankę przyszłości, która odtąd zastąpić mi miała wspaniały gmach utraconych iluzyi.

Lekarz, który się mną opiekował, zdołał nietylko usunąć chorobę, ale poniekąd wydźwignąć z moralnej apatyi. Przemówił do serca mego tak przekonywająco, tak rozumnie, iż wstałam z przeświadczeniem, że nie wolno mi poddawać się rozpaczy, zasklepiać w ciasnym egoiźmie, lecz wziąć krzyż na ramiona i iść dalej naprzód.

Smutna konieczność, mistrzyni nieugięta a bezwzględna, pchnęła mnie na inne tory, nauczyła pracować cierpliwie i wytrwale. Korzystając z znajomości kilku obcych języków, poczęłam tłumaczyć na polskie różne drobne utwory, a gdy te pierwsze próby zostały przyjęte dość życzliwie, rzuciłam się z zapałem do literackiej pracy. Zrazu szło jak po grudzie, resztki uratowanego kapitału topniały, nędza zaglądała w progi naszego mieszkanka. Doktor, niestrudzony przyjaciel, dopomagał jak mógł, matce wyszukał zajęcie, a Ewuni wyrobił wolny wstęp do uczelni niezamożnych panien. Pod wpływem jego gorących nalegań jedno z większych pism otwarło mi swoje łamy; poczęłam już nie tłumaczyć, lecz pisywać originalne korespondencye, krytyki teatralne, nowelki.

Po długich latach znojnej, mozolnej pracy los uśmiechnął się do mnie łaskawiej. Razem z względnym materyalnym spokojem, rósł mój zapał, a styl nabierał jędrności i siły.

Pokochałam zawód pracownicy pióra. Niebawem imię moje stało się głośne. Pisano o mnie: „nasza utalentowana, nasza sympatyczna autorka.“

Najwięcej powodzenia miały moje rozprawy z psychologii ludzkiej, a także kroniki towarzyskie, bądź weselne, bądź żałobne, umiałam bowiem trafić do gustu publiczności rzewną nutą, lub błyskami dowcipu.

A jednak, ileż mnie kosztował ten rodzaj literatury! Pisząc dla chleba, na początku mej karyery zwłaszcza, trzeba mi było nieraz zawrzeć kompromis z wątpliwym smakiem artystycznym publiczności i zagłuszyć sumienie.

Któż nie zna owych konwencyonalnych kłamstw światowych, głoszonych bądź słowem, bądź piórem? O salonach rzęsiście oświetlonych i staropolskiej gościnności tam, gdzie bywają obliczone kawałki chleba lub pomarańcze, o uroczych i młodziutkich pannach domu, choć od nich wiosna dawno uleciała... wyszukiwać parweniuszom antenatów, polecać czytelnikom wątłe tomiki rymowanej prozy koleżanek po piórze!

A jak ciekawe, często komiczne typy przesuwały się w mej kancelaryi, odsłaniające bezdeń próżności ludzkiej! Ileż razy proszono mnie o umieszczenie w wspomnieniach pośmiertnych, że ten i ów był spokrewniony z jakąś księżniczką, baronówną, ba! szambelanem lub doktorem.

— Niech pani wyraźnie zaznaczy — mówił do mnie pewien młodzieniec, — że matka mego ciotecznego brata weszła w powtórne związki z siostrzeńcem księcia F. Mnie to ani ziębi, ani parzy,

lecz staram się o względy hr. B., a rodzina jej tak wrażliwa na koligacye!

I posłuszna notowałam: „matka ciotecznego brata K. weszła w powtórne związki z siostrzeńcem księcia F.“

Czasem brała mnie ochota parsknąć śmiechem, częściej zapłakać albo ciętem słówkiem bryzgnąć prawdę w oczy.

Ale nie! — nie! Trzeba mi do dna wychylić gorzką czarę kompromisów. Wszakże byłam prostym rzemieślnikiem, kowalem, „który kuje sztaby na posadę, na byt.“

Widok dostojnej w swem cierpieniu, sędziwej mej matki lub bladej twarzyczki Ewci tłumił niewczesne porywy, potrafił nawet wzniecić w zimnem mem sercu trochę pobłażliwości dla słabej ludzkiej natury — przynajmniej do czasu.

Tak, do czasu...

O! bo w głębi mej duszy żarzyło się niewygasłym płomieniem jedno straszne uczucie: chęć zemsty. Ona to nieraz jak zgłodniałe widmo, stawała nocą u mego wezgłowia, ona podtrzymywała w chwilach wyczerpania, ona nigdy nie syta hołdów, pragnęła coraz więcej złota, złota i laurów — laurów!

Ach! uzbierać trzos monety, zdobyć sławę, podnieść się w hierarchii społecznej wysoko — wysoko i z tej wyżyny zmiażdżyć pogardą tego, który...

Czemże on był dziś dla mnie? Cieniem przeszłości — marą...

A jednak żyć nie przestawał — w wspomnieniu.

Jaką formę przybrać miała moja zemsta, nie zastanawiałam się nigdy. Dość, że paliła się w mem sercu, nie jak pochodnia rzucająca w koło dobroczynne światło, ale niby krwawa łuna pożaru, rozwidniająca posępnym blaskiem mroczne zakątki mego ducha.

Czas pocieszyciel, który umie goić najgłębsże rany, ścierać z palety życia ciemne barwy i nakładać na nią promienne blaski, źle gospodarował w mem sercu. Jak w komnacie powierzchownie tylko wyprzątniętej, a pełnej w zakątkach pyłu, tak w najskrytszych tajnikach mej pamięci leżały nietknięte całe gruzy bolesnych wspomnień...

Ztamtąd co noc wypełzały gady nienawiści, by żądać odwetu i urągać powodzeniu, które już rozpinało swe skrzydła nademną.

Ileż razy, klęcząc u stóp konfesyonału, błagałam Boga o spokój serca. Czułam dobrze, iż ów żar wewnętrzny ziejący zemstą, zatruwał mi ducha, podcinał jego skrzydła do wyższego lotu, ściągał w błoto, na manowce zwątpienia.

A jednak nie umiałam wyrwać się z tej niewoli. Bywały lepsze chwile, chwile upojenia się sławą. Choć ona była tylko pobielanym grobem mego szczęścia, czepiałam się jej jako ostatniej deski ratunku i, grając komedyę zadowolenia, oszukiwałam sama siebie.

Lecz trwało to krótko. Nagle jakaś postać spotkana na ulicy, podmuch wiosny, dźwięk wesołego śmiechu budziły mary wspomnień, szarpały sercem ścierpniętem z bólu, wspominając mu ciężką krzywdę.

A tymczasem świat składał mi hołdy. Coraz częściej powtarzano: „przezacna autorka, szlachetnie myśląca, ofiarna!“ Ja zaś, gdy znużoną głowę złożyłam na poduszki, cisnąc ręce do piersi w chwilach gwałtowniejszego buntu i zapamiętania, jęczałam: „podła, nikczemna!“

I to przeświadczenie o swej nędzy, to, co mnie poniżało w własnem przekonaniu, ta brzydka, niska strona mego ducha, była także dziełem Wacława Horomińskiego.

Bo w tej najcięższej chwili mego życia, gdy w niegodny sposób łamiąc słowo, odtrącił mnie równocześnie, zadał śmiertelny cios temu, co jest najpotężniejszą dźwignią ludzkiej doli, a co nazywa się wiarą serca.

Męczarnia ta trwała lat ośmnaście. Horomińskiego nie spotkałam nigdy. W trzy lata po naszem rozstaniu dowiedziałam się z dzienników, iż pojął za żonę pannę Idę Kłomotorską, rodem z Galicyi, a ktoś znający jej rodzinę doniósł mi, że była ogromnie bogatą i świetnie skoligaconą.

Od tej pory minęło lat ośmnaście!

* *
*

Jasny świt kwietniowego poranka zbudził mnie ze snu. Zerwałam się ochoczo do pracy, ale gdy przez otwarte okna wpłynęła do mego pokoiku fala wiosennego ciepła i upoiła swym czarem, odłożyłam pióro z uśmiechem.

Jakże tu pisać, gdy słońce zaprasza na gody! — pomyślałam i pijąc ożywczy nektar rannego zefiru, stanęłam w zadumie.

Ach! jak rozkosznie śmiało się słońce do ziemi i ziemia do słońca. Była to cudna i niezwykła wiosna — gdzież, kiedyż przeżyłam podobną?

Zamajaczyły przedemną rodzinne sioła, zielone smugi łąk, zaszumiały ciemne bory, przywędrował do mnie od tych pól i lasów jakiś czar słodki a luby i pieśniami wspomnień serce ukołysał.

Jakże tu pracować i pisać o obojętnych sprawach, kiedy coś wewnątrz wre i kipi, coś się wyrywa na świat Boży, na pola, na słońce!...

Potrzebuję wakacyi.

Lecz tymczasem dość marzeń.

Zamknęłam pospiesznie okno, aby się nie dać porwać chorobliwej tęsknocie i, oddzieliwszy się tak od pokus zewnętrznych, pełna jeszcze wiośnianych rojeń, ciepłych pieszczot słońca, poczęłam przeglądać pisma, listy i gazety, których cały stos spoczywał na biurku.

A najpierw — co mi dziś powie „Dziennik Poznański.“

W tem — Boże! co to jest?! W oczach mi pociemniało — serce zamarło w piersiach.

Przedemną leżał olbrzymi anons żałobny w czarnej, szerokiej obwódce, a na nim wyryte słowa:

„Wacław Horomiński.“

Skamieniałam. I stałam długo zahypnotyzowana ponuremi literami nazwiska, a każda z nich wołała do mnie jakimś bezdźwięcznym, zagrobowym głosem, łącząc w tragiczny splot jasne wspomnienia zachwytów młodości z bólem, łzami upokorzeń, męką ducha późniejszych lat, z straszną prawdą chwili obecnej.

Boże! więc to wszystko należy już do przeszłości? Wacław Horomiński nie żyje!

Zimno jakieś okropne chwyciło mnie za pierś, febra trząść poczęła — bezładne myśli tłoczyły się pod czaszką.

Wiosna, słońce, zielone smugi łąk, szmer ruczajów i pełne garście złota i pełne serce ziemskiego szczęścia, ziemskiej chwały.

A oto leży wyprężony, martwy, obojętny... Koścista dłoń śmierci już go ma w swych szponach i nigdy nie wypuści!

Boże! jak straszne są twe wyroki i niezbadane!

Długą chwilę siedziałam pochylona nad czarnym anonsem i nad własną duszą, a potem porwała mnie chęć i potrzeba ruchu. Zapragnęłam iść daleko — gdzieś daleko, by otrząść się z smutnych wrażeń, serce przyprowadzić do równowagi.

Wybiegłam na ulicę.

Owionęło mnie ciepło kwietniowego poranka, ruch, świeże powietrze otrzeźwiło. I jakby na przekorę ponurej wieści, widziadłom śmierci, owa tak zwana „joie de vivre,“ gość dawno u mnie nie widziany, zapukał do serca.

I chciał mi szeptać słowa nadziei — ale odsunęłam go ze wstrętem.

— — — — — — — — — — — —

Na zakręcie ulicy spotkałam Maryana B. Choć to mój kolega od pióra, stary, wypróbowany przyjaciel, chciałam go wyminąć, lecz on, ujrzawszy mnie, przybiegł, wołając:

— Dzień dobry pani. Czy pani już przejrzała dzienniki i wie, kto umarł?

— A tak, przed chwilą właśnie wyczytałam o nagłej śmierci Wacława Horomińskiego.

Złożył ręce na krzyż z wyrazem desperackim:

— Pani droga, co to za strata! co za cios dla naszego społeczeństwa!

Uśmiech pogardy wykrzywił moje usta.

— Czyż to naprawdę tak wielka strata? Pan go znał, jaki to był człowiek?

— Niepospolity, bardzo inteligentny, bardzo dzielny, człowiek o szerszym horyzoncie myśli, zawciekły w pracy i ogromnie hojny. Ręka jego zasze była otwartą dla wszelkiej biedy i nędzy, zawsze szczodrą, gdy chodziło o poparcie zacnej idei.

— Miał z czego czerpać, podobno z żoną wziął krocie — w takim razie każdy potrafi być hojnym.

— Niezawodnie, ale nie każdy, kto posiada kapitały, zajmuje się równie gorliwie sprawami kraju. A to był społecznik w całem znaczeniu tego słowa, obywatel o wielkiem sercu.

— A ja słyszałam, — mówiono mi — że był strasznie próżny.

— Próżny? Tak, temu zaprzeczyć trudno. Lubił olśniewać swą wielkopańską fortuną i nie mógłbym go sobie wystawić szczęśliwym w miernocie. Szlachcic bez pieniędzy był dla niego zerem. Miał wstręt też do wszelkiej „petite bière.“

Zaśmiał się: ha! ha! ha!

— A może — mówił dalej — trochę zanadto lubił śmietankę i wszystko, co daje złoto. Ale mój Jezu! uderzmy się w piersi i powiedzmy; mea culpa. Bo któż z nas nie pieści różnych próżnotek w najtajniejszej kryjówce serca? któż nie woli tego, co

wspaniałe, piękne, co lśni i błyszczy, od szarzyzny, lichoty, tandety?

— O przepraszam! są znaczne różnice — bąknęłam.

— Horomiński, moja pani, okupywał tę swoją słabość, ten grzech ogólno-ludzki pracą i poświęceniem. Był przytem wzorowym ojcem, mężem i panem. W młodym stosunkowo wieku, bo nie miał więcej nad 45 lat, był prezesem pięciu towarzystw.

— Czy i to nie z próżności?

Wątpię... ale choćby. To nie zmienia, że ubytek tak czynnego jak on obywatela da się boleśnie odczuć społeczeństwu. Osobiście żałuję go nieskończenie, miał jednę zaletę, którą ogromnie cenię w ludziach — był wierny w przyjaźni.

Chciałam wykrzyknąć: „Nie, tego już za wiele!,“ ale nauczyłam się panować nad sobą, więc rzekłam tylko złośliwie:

— Wierny w przyjaźni? pan tego osądzić nie możesz, bo nie wystawiłeś uczuć nieboszczyka na próbę. Należysz do rzędu ludzi stojących na widowni, do „śmietanki“, a wiemy, jak wielką słabość miał do niej Horomiński.

Maryan B. przystanął i spojrzał na mnie pytająco.

— Co pani dziś jest? Skąd ten zgrzyt ironii w każdem słowie, ta nieufność do ludzi? Chyba pani nie może się skarżyć na złą wolę lub obojętność świata. Jako kobieta jesteś otoczona ogólną sympatyą, jako autorka zbierasz ciągle hołdy. Ot wczoraj czytałem w „Przeglądzie“ pochlebny sąd o pani ostatniej pracy. Jest to poprostu czarna nie-

wdzięczność, użalać się na bliźnich, podpatrywać ich słabe strony. Brzydko! brzydko! wcale mi się to nie podoba. Utoniemy w czarnem morzu pesymizmu, jeśli wy, moje panie, zamiast nas pokrzepiać, dacie przykład niechęci i wzajemnej nieufności.

Roześmiałam się i, ściskając rękę starego kolegi, zawołałam:

„Och proszę, niech mi pan wierzy, iż umiem szczerze być wdzięczną za każdy dowód uznania i dobroci ludzkiej, a nie oddałabym za skarby świata takiego jak pan kochanego, niezrównanego kolegi.“

Rozstaliśmy się w najlepszej zgodzie, ale zapisanem było w księdze przeznaczenia, iż śmierć Horomińskiego nie da mi spokoju. Przez cały dzień każdy znajomy spotkany bądź na ulicy, bądź w redakcyi, witał mnie wykrzyknikami:

— Czy pani wie, kto umarł? Co za nieszczęście! Co za strata! taki człowiek! Przyjechał do Poznania na zebranie agronomiczne i umarł nagle. Anewryzm serca! Biedna żona! biedne dzieci! Któż im zastąpi takiego ojca! Cała Wielkopolska okryje się żałobą, zanosi się na bajeczny pogrzeb, pójdą extra pociągi. Z Galicyi mają zjechać jacyś wielcy panowie, krewni żony nieboszczyka. Jeden z krakowskich dostojników kościelnych będzie przemawiał. Bogatego tematu dostarczy mu takie życie.

Miałam uszy pełne pochwał. Nie było dwóch odmiennych zdań o nieboszczyku. W kilka godzin po śmierci Horomińskiego opinia świata nieomal ogłosiła go świętym.

A w miarę, gdy podnosiły się ziemskie kadzidła, rósł w mem sercu żal, nagromadzony od lat tylu.

Czemże ja byłam w życiu Wacława? Ot marnym robakiem, którego on bez skrupułu podeptał. Czyli to wchodzi w rachubę ludzkich czynów?

Pod wieczór, znużona rozterką duchową i lękiem, by nie zdradzić uczuć rozsadzających pierś moją, wsunęłam się do kaplicy, stojącej w pobliżu mego dawnego mieszkania, która patrzała na moją zmarnowaną młodość i była mi ostoją w najstraszniejszych chwilach walki z losem.

Cicho w niej było i pusto zupełnie, ani śladu nabożeństwa odbywającego się co wieczór, tylko płomyk wiecznej lampki rzucał tajemnicze blaski na postać Chrystusa stojącego pośrodku ołtarza. W tej ciszy i pustce powietrze zdawało się przepojone modlitwą i westchnieniami, które przed chwilą biły ku niebu.

„Jezu, zmiłuj się nad nami!“

W tej samotnej godzinie odezwało się wszystko, co było mi krzywdą i bólem, łzy wstrzymywane dzień cały polały się strumieniem. Ale nie były to łzy żalu, tęsknoty, współczucia. O nie! raczej zawodu, urazy, łzy, które płynąć nie mogą z tak szlachetnego organu, jakim jest serce, ale z mętnej krynicy nizkich samolubnych uczuć.

Płakałam nie nad tem, że odszedł na zawsze człowiek niegdyś umiłowany, ale nad swoją smutną dolą, nad tragedyą życia, nad agonią uczuć czystych i wzniosłych, po których dusza mi wystygła niby wypalone ognisko.

I stanęła mi w oczach męka matki, świętej, ewangelicznej niewiasty, pogrzeb jej, pogrzeb tej wielkiej damy z rodu bohaterów i senatorów, którą sześć osób odprowadzało na wieczny spoczynek!

Sześć — wyraźnie sześć osób szło za biedną, drewnianą trumną, której nie wieńczyły żadne kwiaty, żadna zieleń ludzkiej pamięci.

A za katafalkiem człowieka, który, łamiąc życie córki, dobił matkę, rzucił na pastwę losu sieroty, pójdą tłumy.

I nad kosztowną trumną, w wieńce spowitą, unosić się będą kadzidła mów pochwalnych, rozjęczą się dzwony!

Tak będzie na ziemi — a w górze? Czy i tam czeka go korona chwały — nagroda za świetne czyny?

Rzuciłam to pytanie Chrystusowi, wyłaniającemu się białą, smutną twarzą z półmroku i nagle zdało mi się, iż w migocącem świetle lampki dojrzałam w ręku Zbawiciela wagę; po jednej stronie leżały nagromadzone wszystkie dobre uczynki Horomińskiego: ogromne sumy złota, poświęcone dla dobra ogółu. dla oświaty, przemysłu, intelektualnego rozwoju braci, wszystkie czyny wielkie, pełne blasku, lecz dziwnie zimne i martwe, a po drugiej stronie leżało na wadze coś drobniutkiego, coś na strzępy potarganego, jedno biedne serce ludzkie, ale to serce drgało pełnią bólu, sączyło krwawemi łzami, a każda łza sieroca, jak ołów przechylała wagę ku ziemi...

Zasłoniłam oczy, a gdy je znów podniosłam na ołtarz, Chrystus patrzał na mnie smutno i szeptał:

„Córko! przebacz! ucisz twe serce; póki z niego płyną jęki żalu i pomsty, czyż mogę dać zasłużoną nagrodę temu, który tak wiele poświęcił ojczyźnie?

I w krwawym blasku światła stał przedemną Bóg Najwyższej Miłości i Przebaczenia, Mistrz, który nauczył, jak płacić trzeba miłością za krzywdę, i powtarzał:

„I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.“

Ale we mnie szalał, niby huragan, bunt zwichniętej młodości — odzywał się głód serca i zagłuszał inne szlachetniejsze uczucia.

„Nie mogę, o Panie! nie mogę, nie dziś — nie w tej chwili.“

I jakby w obawie, by mnie nie wzruszył głos Mistrza, zerwałam się z klęczek i prędko wybiegłam z kaplicy.

Napróżno jednak starałam się oderwać myśl od tego bolesnego przedmiotu, wracała uporczywie, prześladując mnie i męcząc, a w ciszy nocnej wciąż dźwięczał w uszach wymowny głos Zbawiciela: „przebacz!“

— — — — — — — — — — — —

Minęło dni kilka, dni posępnych, pełnych sprzecznych wieści co do pogrzebu Horomińskiego, a tak dręczących dla mnie, iż, uciekając sama przed sobą, rzuciłam się w wir zajęć społeczno-literackich, które od tygodnia leżały odłogiem.

Przytem chciałam wykończyć rozpoczętą pracę dla „Świata“ na temat: „Mistyczne pierwiastki w poezyi Słowackiego“, potrzebowałam więc ciszy i sku-

pienia ducha. Ale zaledwie zabrałam się do pióra, wpadła do mnie służąca, oznajmując przybycie dwóch panienek, zupełnie jej nieznanych, które koniecznie chciały się ze mną rozmówić osobiście.

Sądząc, iż to protegowane hr. Z., które w tych dniach właśnie miały być u mnie po kweście, wstałam, by szukać pieniędzy, lecz jakież było moje zdumienie, gdy na progu kancelaryi stanęły dwie dziewczynki, jedna 15-letnia, druga 10-letnia może, bardzo wytwornie w grubą żałobę ubrane, a zdumienie moje jeszcze wzrosło, gdy starsza, zbliżając się do mnie, przedstawiła się:

— Jestem Elżunia Horomińska, mama przysłała nas do pani z prośbą, z bardzo wielką prośbą...

Tu głos jej wypowiedział posłuszeństwo i duże oczy, przypominające tak żywo Wacława, iż zdawało mi się, że z poza grobu spojrzał na mnie — zapełniły się łzami.

— Z prośbą do mnie? — spytałam, nie tając zdziwienia. — Czem mogę służyć?

— Bo pani wie zapewne, że nasz tatko umarł.

— Tak, słyszałam, i szczerze współczuję nieszczęście pań!

— Mamusia bardzo, bardzo prosi, aby pani zechciała napisać wspomnienie pośmiertne tatusia.

— Ja? napisać wspomnienie pośmiertne pani ojca!...

Zdawało mi się, że śnię.

— Tak, proszę pani, mamusia koniecznie sobie tego życzy i kazała bardzo prosić!

— Ale dlaczegoż mnie, mnie właśnie?

— Bo mama mówi, że nikt nie potrafi lepiej i tak prawdziwie od serca przemówić jak pani, a nasz tatuś, wszyscy to wiedzą, miał złote serce!...

Złote serce! musiało się na mej twarzy odbić coś, co dziewczynkę zastanowiło, bo popatrzała na mnie uważnie i jakby zalękniona, przez łzy mówiła dalej:

— A pani zresztą znała tatusia — mama mówiła, że państwo sąsiadowaliście i że Koluszki, gdzie teraz mieszkamy, należały do pani rodziny.

Skinęłam głową potakująco.

— Więc kiedy pani znała tatusia, to musi wiedzieć, jaki to był człowiek!

Podniosła główkę wyżej i w oczach zamigotał odblask wielkiej dumy, a wyraz ten jeszcze podkreślił jej podobieństwo z ojcem.

— Tatuś — mówiła dalej, niezrażona mojem milczeniem — wspominał nieraz o pani i oboje z mamą zachwycali się jej talentem. Kiedy niedawno temu umarł nasz stary proboszcz, a pani o nim napisała tak śliczny nekrolog, mamusia, przeczytawszy go, rozpłakała się, a tatko bardzo wzruszony rzekł do mamy: „Chciałbym, aby po mej śmierci o mnie tak napisano! Pamiętaj Jadwiniu!“

— Więc mama przypomniała sobie to wczoraj i bardzo panią prosi, aby w imię dawnej przyjaźni, łączącej ją z tatką, nie odmówiła nam tej łaski.

Krew uderzyła mi do twarzy, musiałam użyć wszelkiej władzy nad sobą, aby się z czemkolwiek nie zdradzić.

— Nie, to nie podobna! Niech panienka przeprosi mamę, ale jestem zniewoloną wręcz odmówić.

Mam właśnie w obecnej chwili dużo obowiązkowej pracy. Niech się matka pani zwróci do kogo innego, łatwo będzie znaleźć osobę, która potrafi stokroć lepiej odemnie ocenić i przedstawić czyny tak szlachetnego obywatela, jakim był pan Horomiński.

„O nie! nie! — przerwała dziewczynka — nikt lepiej nie wzrusza i do łez nie pobudza czytelników. Mamusia tak mówiła wczoraj, a także dodała, że inni umieją może jeszcze ładniej pisać, ale nie potrafią równie żywo i serdecznie jak pani odczuć wszystkiego, co boli, co szlachetne, co wzniosłe. I właśnie dlatego, że pani znała za młodu dobrze tatusia, pewnie i kochała, jak wszyscy sąsiedzi, więc to, co o nim napisze, popłynie z wdzięcznego serca i będzie nagrodą za jego dobre uczynki.“

— Matka pani przecenia moje siły a także zażyłość naszych rodzin, zresztą to takie dawne dzieje.

— Moja pani dobra, najlepsza! Niechże nam pani nie odmawia! Mamusia powiedziała, że nie mamy odejść, póki pani nie obieca napisać wspomnienia o naszym najdroższym ojcu. Jeszcze gotowa tu sama przyjechać, a mamusia biedna, taka słaba i smutna.!“

Obiedwie dziewczynki rzuciły się do moich rąk, a oczy starszej były tak wymowne, tak słodkie i proszące, oczy Wacława, iż ani wiem, jak się to stało, że zmiękłam i przez pół obiecałam wypełnić życzenie p. Horomińskiej.

Odeszły!... Cisza zapadła... słychać miarowe uderzenie zegara...

To spojrzenie córki!

Niby różdżką czarodziejską zaklęty, stanął przedemną Wacław w blasku swych 20 wiosen, wysmukły i piękny jak w ów wieczór majowy naszych zaręczyn, gdy cisnąc ręce moje do swej szerokiej piersi, szeptał: Najdroższa! bądź moją!... Kocham cię nad życie. Śmierć tylko jedna może nas rozłączyć!...“

Chciałam oczy moje, biedne zmęczone oczy pracownicy pióra, napoić tą wizyą szczęsnej młodości, ale za chwilę już czar prysnął, zapadła kurtyna, skończył się ostatni akt tragi-komedyi życia, i oto siedzę przy biurku z głową podpartą na dłoni, a przedemną leży biała ćwiartka papieru, na której mam wyryć owo gorąco odczute, z serca płynące wspomnienie pośmiertne Wacława Horomińskiego w nagrodę za złote serce i dobre jego uczynki! Jakaż ironia losu!... Dziwny splot wydarzeń! Z pośród tylu znakomitych mistrzów pióra, tylu kolegów, przyjaciół, zwolenników Horomińskiego, wdowa po nim wybiera mnie właśnie, mnie jedyną może pokrzywdzoną, do skreślenia żywota zmarłego!

Jak niezwykłą broń los wciska do ręki tej, która lat tyle marzyła o zemście! Bo jeżeli duchy zmarłych spojrzeć mogą z poza grobu na ziemię, czyż nie będzie to dla Wacława męką czyścową, najwyższem, pozgonnem upokorzeniem, gdy zamiast krzyknąć prawdę, wypoliczkuję mu ducha kwiatami niezasłużonych pochwał, w których drżeć będą, niby krople zatrutej rosy, wszystkie niewypłakane łzy moje i cicho spłyną na świeżą jego mogiłę, by zamącić mu wieczny odpoczynek?

— — — — — — — — — — — —

„Żałobne dzwony zwiastowały dziś światu wieść przebolesną! Umarł niezwykły człowiek — człowiek o charakterze jak łza czystym, jak stal nieugiętym. Piszący miał szczęście zajrzeć w najgłębsze tajniki tego wielkiego, szlachetnego serca, w którem mieściły się niewyczerpane skarby altruizmu, drogocenne perły miłości i dobroci tak tkliwej na niedolę ludzką, iż byłby wolał ponieść najcięższe ofiary, wyzuć się raczej z wszystkiego, co posiada, niż zranić serce bliźniego. Wacław Horomiński nie mógł znieść widoku łez sierót, ani ścierpieć najlżejszej krzywdy tych, których los postawił na drodze jego życia."

Ha! ha! ha! ha!...

Śmiech spazmatyczny wstrząsał mną konwulsyjnie długą chwilę... a potem łzy gorące, ostatnie poświęcone pamięci Wacława, poczęły spadać na biały arkusz, aż przemazały słowa: „krzywdy sieroce."

Rzuciłam pióro, odsunęłam papier, wzrok mój spoczął na krzyżu, wiszącym nad klęcznikiem. Boże! jak długo potrwa jeszcze ta męka serca? Czyż nigdy nie potrafię wyrwać wspomnień zawodu, tkwiącego niby ostry cierń w mej pamięci?

Boże! ty tak sprawiedliwy, czyż pozwolisz mnie niewinnej jeszcze dłużej cierpieć?

Spojrzałam na Chrystusa i zdało mi się, że Zbawiciel, jak wówczas w mroku kaplicy, spogląda ku mnie z wyrzutem i szepce:

„I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom."

„Póki nie przebaczysz, ani ty, ani on nie zaznacie pokoju.“

A równocześnie odezwał się głos dawno nie słyszany — głos sumienia... gdym zwróciła oczy w głąb duszy — zadrżałam. Czyż byłam niewinną? Ach! ileż lat czołgałam się w okowach zemsty, wśród nizin złych żądz, pragnień małodusznych, niegodnych chrześcianki!

Ileż lat niby lunatyczka zahypnotyzowana złowrogim blaskiem miesiąca, skradałam się nad przepaścią życia z rozterką w duszy, pielęgnując z chorobliwym pietyzmem bolesne wspomnienia i zrodzoną z nich zemstę!

Ja, której Stwórca nie poskąpił darów, której przypiął skrzydeł dwoje do wyższego lotu, nie umiałam prostej rzeczy przebaczyć! Nie chciałam roztlić tej w sercu cudnego płomyka miłości Bożej, którego blaskiem dusza raz olśniona, już nie byłaby się błąkała wśród ciemnic nędzy moralnej, bo niosłaby z sobą światło, bo tam, gdzie Bóg wchodzi, tam spływa błękit przebaczenia i jasności pokoju.

W tej poufnej rozmowie, sam na sam z moim Bogiem, Bogiem Prawdy i Mądrości, Sędzią Sprawiedliwym, przyszło na mnie przeświadczenie wielkiej mej, ogromnej winy, winy, która czarną siecią wiła się przez bieg lat kilkunastu, rzucała ponurą cień na wszystkie prace, wszystkie porywy, dążenia, cele całego mego żywota! Straszne!...

Padłam z płaczem na kolana. Czułam, że tym razem żal mój jest szczery, głęboki, że łzy płyną z skruszonej duszy, a wraz z niemi uchodzi wszelka gorycz, wszystko, co krzywdą i bólem w niewolni-

czych pętach mściwej pamięci leżało tam na dnie, lata całe.

Panie! szeptałam, bądź miłościw mnie grzesznej!

Boże! oświeć mój rozum, abym mogła spojrzeć bez urazy i uprzedzenia na czyny tego człowieka i oceniła je według rzeczywistej zasługi!

Boże pokoju! który na krzyżu wyrzekłeś wzniosłe słowa przebaczenia, odpuść mi moją winę, jako i ja odpuszczam z głębi serca temu, który przeciw mnie zawinił!

Requiescat in pace!

Drobiazgi.

Z Teki Podróżnej.

Sestri-Lewante 5. 4. 05.

Gdy smutna jesień zawita do nas, gdy w listopadzie nastaną chmurne, dżdżyste, coraz krótsze dni, myśl nasza mknie ku słonecznej krainie południa, wyobraźnia ubiera ją w cudne szaty i bierze nas ochota za myślą wylecieć nad jaki brzeg uroczy „oú rayonne et sourit, comme un bienfait de Dieu — un éternel printemps, sous un ciel toujours bleu“ — wykąpać duszę w błękitach i słońcu i powrócić do swoich z zapasem jasnych barw i złotych promieni.

Lecz gdy losy pozwolą marzenie w czyn zamienić, gdy już wybije godzina wyjazdu, gdy na długie tygodnie przyjdzie pożegnać ojczyste kąty i tych, których się kocha i tych, którzy zostają smutni i samotni, żal ogarnia serce. Chciałoby się odsunąć dzień wyjazdu, chwilę rozstania... przez nielogiczność tejże samej wyobraźni, która nam

przypinała skrzydła do lotu, spadamy z wyżyn entuzyazmu po prostu w niechęć. Przyczepiają się do nas tu i owdzie usłyszane zdania: „Do Włoch — o tej porze? nie zazdroszczę paniom! W pokojach nie ma pieców, na kominkach palą wprawdzie, ale — szyszkami! Radzę zabrać futro ze sobą — dzienniki donoszą, że śnieg spadł w Medyolanie!“

Tymczasem chwila wyjazdu, z gorączkowym niepokojem wyczekiwana, rozprasza złe przeczucia. Słońce lutego towarzyszy nam całą drogę z Berlina do Monachium. W pociągu, już do Włoch należącym, którego nie potrzebujemy opuszczać, aż we Weronie, bawimy się doskonale, a bawimy kosztem „naszych najserdeczniejszych.“ Bawarzy, a na ich czele, mały, sympatyczny książę Z. S. W., skoligacony z polską arystokracyą, wypytują nas o różne sprawy i sprawki hakatystyczne i nie szczędzą nieparlamentarnych epitetów! Już jest wieczór, gdy stajemy w Monachium i żegnamy ciętych towarzyszów podróży. Nocą chłód nas przenika, im bliżej Tyrolu tem większe zimno dokucza, a i ranek w ojczyźnie Romea i Julii podobny do na szych jesiennych świtów, ostry, mroźny, szronem przypruszony. Pasma winnic, jeszcze przez wiosnę nie umajone, sterczą nagie i smutne na polach, wszędzie gruba warstwa śniegu; bieli się on nie tylko na szczytach gór i wyżynach, ale pełno go w dolinach i zdaje się urągać przybyszom z północy, spragnionym zieleni.

Z Werony do Medyolanu takiż sam krajobraz. W wspaniałej stolicy Lombardyi, na wstępie witają nas twarze znajome i miłe, jedna z pań to wielkopolanka, panna Z., ślicznym obdarzona głosem, która

tu kształci się w śpiewie, aby potem w rodzinnych stronach wzruszać i zachwycać serca rodaków.

Medyolan nie ma wybitnych cech włoskich miast, raczej charakter ogólno światowy. Zima gospodaruje tu jeszcze nieomal jak na północy, karnawał dotąd drzemie i zbiera siły, aby potem wybuchnąć falą skocznych tonów i porwać mieszkańców w wir szalonych zabaw, nie kończących się Popielcem. Cudo medyolańskie, katedra, stanęła przed nami dumna, nieujęta, zasępiona, nie chce nas czarować pełnią wdzięków koronkowych rzeźb i wieżyczek, w siną mgłę spowiła się cała, niby zawualowana piękność, tem więcej kusząca tajemniczym urokiem, im mniej dostępna. Gdzie niegdzie drżące odbłyski słońca plączą się i włóczą leniwie, to gasną, to płoną, blade zwiastuny przyszłej feeryi światła, jaką na wiosnę jaśnieją wspaniałe witraże katedry. Obiecujemy sobie powrócić do niej, dokładniej zwiedzić i inne osobliwości, zabytki stolicy, która czas jakiś rywalizując z Rzymem, tyle ciekawych kart zapisała w dziejach Włoch północnych, gdzie długie lata spędzali Bramante i Leonardo da Vinci, tutaj tworząc dzieła olśniewające świat cały.

Za Medyolanem, gdy głowę wychylisz przez okna wagonu, już cię otoczy przyroda włoska, a im dalej ku południowi, tem bujniejsza wegetacya. Główne stacye, gdzie się zatrzymujemy, Pavia ze swojemi olbrzymiemi basztami, Voghera, Tortone w otoczeniu starych ruin, aż do najśliczniejszej „Genova la Superba“, to już typowe miasta południa, może niezupełnie podobne do tych, które

w książkach opisują, lecz już całkiem inne, jak nam je fantazya poetycka maluje.

Między uroczą Genuą a Spezią, na Liguryjskiem wybrzeżu, leży stare miasteczko Sestri. Cała ta tak zwana Riviera Levante, bywa mniej odwiedzaną przez turystów i kuracyuszów jak naprzeciwległa Riviera Ponente, zamieniona w istny Eden ziemski.

Tu, w Sestri, wiosna nie budzi wcześnie przyrody, ale gdy po dniach chłodu i deszczu zawita, gdy błękit morza pocznie walczyć o lepsze z błękitem niebios, gdy drzewa oliwne i pomarańczowe rozkwitną, gdy zapłoną w bukietach drzew kamelie, a ranny wietrzyk pocznie pieścić złote wiązanki mimozy, hulać po leśnych zaciszach białej eryki, gdy fiołki, anemony, hyacenty rozniosą boską woń dokoła, wówczas ten zakątek Italii jest nieskończenie miłym i uroczym.

A przytem jak oryginalne jest to wybrzeże! Jak różne od północnych! Ileż tu kontrastów, połączenie najcudniejszych, najpoetyczniejszych widoków z prozą chwilami dziwaczną, chwilami wstrętną. W parku otaczającym Grand Hotel Jenscha, w cieniu majestatycznych palm, gigantycznych agaw, neapolitańskich pinii, kędy wieczorem szum konającej fali łączy się z szmerem kwiatów mimozy, kędy niejedna samotna piękność przychodzi marzyć o minionej wiośnie — brudna dziatwa dokazuje, praczki stawiają kosze bielizny — rozkładają się po ławkach rybacy podejrzanej czystości.

Na całem wybrzeżu, aż do portu, aż do ślicznej willi Piume (własność genueńczyka profesora markiza Piume), malowniczo położonej na skalistem ramieniu, wybiegającem w morze, te same widoki, te

same kontrasty, ruch, życie, absolutna wolność, gwar i wesołość.

Promienie słońca przeglądają się w jasnych falach morza, sędziwe żaglowce, łodzie i łódki, bądź kołyszą się senne nad brzegiem, bądź spoczywają na piasku, czekając apelu. Na linach — rozwieszona bielizna Sądząc po jej ilości, całe Sestri tu się opiera!... W cieniu wiewających żagli poważni, siwowłosi mężczyźni, w sile wieku młodzieńcy, ogorzali od słońca, muskularni jak atleci, całemi godzinami, w dnie powszednie i święta, bawią się w „boccia“. Kobiety pracowitsze przędą, robią siatki, szyją. Dzieci czarne od brudu, o wielkich ciemnych oczach, dobrze zbudowane, zgrabne, gonią przechodnia z nieodmiennem: „Uno soldo Signore!“ — Signora viole — viole!“

Osioł ciągnie pudło, wygrywające w tempie skocznego walca, aryę konającej Violetty; tu, przed kościołem, wędrowny cyrk rozbił namiot. Banda komedyantów daje przedstawienia, śpiewa, krzyczy, wróży — konie rżą, osły ryczą, kury spacerują, szukając żeru. Na stopniach, prowadzących do wnętrza kościoła, malcy biją się, przewracają kozły, jedzą pomarańcze. — Spogląda na nich z góry Boża Matka z Jezusem u łona — i może dla tego, że ma to dzieciątko swoje, spogląda okiem dobroci pełnem na gromadkę nieletnich, wędrującą bezkarnie po przybytku świętym...

A z wieży kościelnej na „Anioł Pański biją dzwony“ — „Niech będzie Chrystus pochwalony“ — „Niech będzie Marya pochwaloną“ — biją harmonijnie i dźwięcznie, lecą tony na wzgórza cyprysowe,

na fale błękitne i ciche, płyną ku malowniczym brzegom Sestri, kędy bieleją miasta Chiavari, Rapallo, Sancta Margherita, Portofino — i dalej — dalej — przez morskie głębiny — ku przeciwległej Rivierze Ponente, kędy wędrowca kuszą swym urokiem Savona — Porto Mauricio, San Remo — Monte-Carlo i Nizza!

Cudny był świat w tej chwili!... Błękit morza, o półtonu ciemniejszy od błękitu nieba, do stóp moich słał ciche fale i szemrał pieśń rozkoszną, pieśń melodyjną, pełną tajemniczych zagadnień i westchnień coraz głębszych, głębszych...

Morze chłonęło złote blaski zachodu — nadbrzeżne skały, zalesione wzgórza, wile, chaty, porozrzucane malowniczo na ich stokach, stały milczące, jasne, przepojone ciszą, wonią i błękitem.

W dali — białe żaglowce, rozwinąwszy skrzydła do lotu, kołysały się lekko, rozmarzone, mknęły wolno po jasnym lazurze, niby nieskalane myśli młodzieńcze, żeglujące po błękitach wspomnień — ku słońcu nadziei!

Maleńka łódka, bujając nad brzegiem, zapraszała gości na fale! I pojechali — on i ona — oboje młodzi, szczęśliwi i piękni. Zabrało ich morze i niosło — niosło w dal promienną... ich pierwsze kochanie, nadzieję szczęścia, ufność i zapał. — Uśmiechali się do siebie, do mew białych, krążących wokoło, do srebrnych pianek błyskotliwych i nikłych — do ziemi i do morza, do ludzi i do nieba, do ciszy i do jasności. Po przez leciuchny szmer fal, co chwilę wydzwaniał perlisty śmiech kobiecy i leciał, leciał heń — daleko, dźwięczał jak wesoła pobudka.

A z gór nadbrzeżnych spływał ciepły wietrzyk, zlewał się harmonijnie z szumem fal, z kaskadą śmiechu, pieścił ucho czarowną muzyką. — Nie było chmurki na niebie, ani smutku na ziemi. Nadzieja, zaklęta mieszkanka jasnego brzegu, wędrowała wszędzie, wciskała do serc ludzkich promyki włoskiego błękitu, ziemskiego szczęścia, różowego kochania...

I można było tu marzyć, śmiać się i kochać...

I można było płakać — płakać — płakać...

Bo, gdy tak jasno, cudnie i słoneczno i błękitno — czemu ty Smutna stoisz przy mnie? Czemu w czarne kiry spowijasz mój lazur myśli i dręczysz serce wieściami bólu i żałoby?

Czemu, wśród drgającej tu całą pełnią wolności życia, ukazujesz mi pole śmierci, mogiłami najeżone, krwawą masą trupów zasłane i kroczące po niem widmo wojny, widmo rozwichrzone i wściekłe, rozniecające bunt, mord i pożogę, krwi żądne, krwi żądne — krwi żądne!

Czemu po przez błękity twych fal — o ciche morze — widzę smugę purpurową, a wietrzyk niosący ludziom ukojenie, drży tak smutną skargą na ból, na sieroctwo nasze?

Ach! Choćbyście mi, włoskie lazury! syrenim głosem śpiewały o szczęściu, o wolności, o wielkiej ciszy serca... choćbyście ukołysały duszę marzeniem o jasnej przyszłości — ja słyszę, tam od wschodu lecący jęk matek, żon i dzieci, żegnających synów i ojców — na zawsze!

Więc można tu marzyć — śmiać się i kochać? — I można płakać — płakać — płakać!!

Riviera-Lourdes.

Róże, palmy, anemony, błękitne cynerarye, bladolila glokcynie, palmy, róże — róże — róże!... Riviera włosko-francuska to jeden gaj kwiatów! Trudno osądzić, która miejscowość najładniejsza, Ospedaletti czy Mentone, Monte Carlo czy Nicea lub Cannes, bo całe to wybrzeże olśniewa bogactwem przepysznej flory, ślicznemi widokami natury. Tą ukwieconą drogą maj zstąpił na ziemię poetów, na ziemię, kędy ludzie przywożą młode szczęście lub nadzieję szczęścia, inni zaś w cieniu smukłych cyprysów i drzew oliwnych składają je do grobu!

A jak wspaniałe są te cmentarze, te pola śmierci! Na czele ich Campo-Santo genueńskie, tonące wśród istnej orgii kwiatów, pełne artystycznych lub oryginalnych rzeźb, krzyży, pomników, tak plastycznie malujących boleść w tem olbrzymiem królestwie łez i bólu.

Genua „la Superba“ słusznie nosi tę nazwę; port jej przepiękny, ale ów w Marsylii, (gdzie niedawno imperator Anglii z żoną przyjmowani byli entuzyastycznie), zdawał nam się jeszcze ciekawszy i wspanialszy.

Nad brzegiem, kędy las masztów, żagli, flag powiewa, kędy buchają dymem i parą kolosalne kominy sędziwych statków, z wszystkich części świata przybyłych, wysoko ponad fale morza wznosi się dumna, poważna, świeżo zbudowana katedra.

W Marsylii mieliśmy chwilę pogody, ale wogóle maj ukazuje nam zasępione oblicze, smaga deszczem, wieje chłodem.

Jak nas zapewniają, we Francyi pół roku nie było kropli deszczu. Pół roku! i właśnie musiał zawitać, gdy my tu przybyliśmy, spragnieni pogody i słońca. W Tulonie Garonna o 4 metry podniosła swe wody i grozi wylewem. Na polach atoli nie widać zbyt wielkich śladów deszczu. Uśmiechają się do nas w młodą zieleń umajone polanki i nieprzejrzane okiem pasma winnic.

Nadprodukcya wina daje się odczuwać ich właścicielom, bywają lata, jak ten ostatni rok, w których nie mogą się go pozbyć za żadną cenę. To nie przeszkadza, że za granicę wysyłają dużo falsyfikatów. Przylepia się do butelki etykietę „Bordeaux“ a wyrabia wino w Tuluzie, z sutą przymieszką najrozmaitszych ingredyencyi, często wprost szkodliwych, o jakich odbiorcy zagraniczni nie mają pojęcia.

Na horyzoncie ukazują się Pyreneje.. z razu wdzięcznie falujące, lekkie wzgórza zaleśnione, potem coraz wyższe, wyższe. Na szczytach poszarpanych turni i skał wyniosłych bieli się śnieg świeżo spadły, z gór zawiewa mroźny prąd wiatru. Ale nam w sercach ciepło i słoneczno — dusze rozgrzewa myśl, że oto niebawem ukaże nam się miejsce wszechświatowych pielgrzymek, zacisze głębokiej wiary i miłości Bożej, gdzie od pół wieku, na głos ubogiego dziewczęcia, zbiegają się narody, by oddać hołd Niepokalanej Matce, cudownie tu objawionej!

Lourdes!

Któreż serce katolickie nie zadrży na dźwięk tego słowa? Bije od niego jakiś niezwykły majestat, przedziwna moc i siła, blask wprost olśniewający!

Któż z nas nie widział na obrazku tej białej, dziewiczej postaci Królowej Nieba, z twarzą anielską i cichą, z różańcem u boku, z dłońmi na piersiach złożonemi, jakby uginającemi się pod ciężarem łask, które niby drogie perły sypią się od lat tylu na tych, co cierpią i płaczą, na tych, co proszą i wierzą — i nigdy wyczerpać się nie mogą! Któż z nas nie wpatrywał się z przejęciem w tę skromną, prostą dzieweczkę, tonącą w miłosnej ekstazie, przed nieziemskiem zjawiskiem Niepokalanej?

Któż z nas, w ciężkiej chwili życia, gdy smutek oplótł mu serce cierpieniem i zgryzotą, nie pieścił w duszy marzenia o podróży do Lourdes, nie leciał na skrzydłach modlitwy do tej przystani wszechbólów i wszechnędzy i nie kładł się do stóp Najświętszej Lekarki, błagając o litość dla siebie lub swoich? Dziś nie ma chyba zakątka na świecie, gdzieby woda z tego cudownego źródła nie była czczoną — niema narodu, któryby nie przybył ugiąć kolan przed błogosławioną postacią w grocie objawioną!

Na schyłku minionego stulecia, gdy z jednej strony wiał prąd zgnilizny moralnej indyferentyzmu religijnego, obejmujący Francyę, tę najstarszą córkę Kościoła — z drugiej strony, z łona tejże samej Francyi, szarpanej przewrotem biegną do Lourdes całe zastępy pielgrzymów. Oni budują kościoły, wspaniałą bazylikę, zakładają klasztory i lazarety. W przeciągu lat 50 mała, nieznana mieścina zamienia się w miasto kipiące życiem, słynne na obu półkulach świata, odwiedzane rok rocznie przez 700,000 ludzi! I to wszystko dzieje się, podnosi

pod czarem głosu niewinnego, czternastoletniego dziecka! Na wezwanie Bernadetty poruszają się tłumy — płynie z stron wszystkich procesya narodów, a przed nią szereg nędzarzy, bojowników zmiażdżonych przez życie, smutny szereg kalek, nieszczęśliwych, wyrzutków losu, upośledzonych przez naturę, którym nikt już na ziemi pomódz nie może, a których ta Matka Niebieska pociesza, przytula, uzdrawia!

O! któżby jeszcze śmiał tu wątpić o wszechmocnej władzy i potędze Boskiej Lekarki? Wobec niezliczonej ilości stwierdzonych, wprost cudownych uzdrowień, wobec tej masy dziękczynnych słów wyrytych w bazylice, w krypcie, w kościele św. Różańca, zamilknąć muszą głosy niedowiarków, heretyków lub wolnomyślnych. Widziano tu ludzi nauki, przybyłych li tylko z ciekawości i takich, którzy z szyderstwem na ustach patrzeli na tę wspaniałą manifestacyą wiary, ale, jeśli nie wszyscy nawróceni zostali, mało który z nich mógł oprzeć się wzruszeniu. Tu na niejednej, sędziwej, pracą ducha zoranej twarzy popłynęła łza, od dziesiątek lat niewidziana! Tu na niejedno serce, bojem życia zatwardziałe. zwątpieniem opancerzone, padł raz pierwszy promyk wiary!

Trudno oddać piórem czar tego miejsca! trzeba tu być, spojrzeć na to wspaniałe otoczenie przyrody, te góry, tę fortecę, stojącą na straży miasta, tę smukłą wieżycę bazyliki, strzelającą wysoko ku błękitom, niby w kamień zaklęta modlitwa dziękczynień — tę rzekę śliczną, rozbujałą, tysiącem westchnień wiecznie szemrzącą — a zwłaszcza tę postać Maryi,

opartą o cichą, w bluszcz spowitą grotę, w otoczeniu serc, krukwi, ex-votów — jarzącą światłami, oblężoną żebrzącymi miłosierdzia — miłosierdzia — miłosiedzia!

Trzeba widzieć, tak jak my widzieć mieliśmy szczęście — imponującą pielgrzymkę męzką z kilkunastu tysięcy ludzi złożoną, (bywa ich do 60 tysięcy i więcej) płynącą od groty, przez miasto, niby fala rozśpiewana, a między nimi starcy wiekiem lub cierpieniem pochyleni, o twarzach marsowatych lub wynędzniałych, górale w strojach narodowych, tryskający życiem i zdrowiem — młodzież rosła i krzepka, chłopcy w biało-błękitnych ubraniach, cały zastęp poważnych i dostojnych kapłanów, młodych kleryków — biednych i bogatych — a nad ich głowami powiewne sztandary.

„Paris: Cercle Catholique des ouvriers“ Toulouse — Poitou, Angers — Lyon — Limoges — „Coeur de Jésus sauvez la France“ — „In hoc signo vinces.“ „Tota pulchra es Maria“ — „Je suis l'Immaculée Conception“ — etc. etc. — W czasach pogromu Kościoła we Francyi — jakiż tryumf Maryi!

Noc już późna — na lazurach milion gwiazd świeci, a na ziemi kilkanaście tysięcy serc-pochodni drży, płonie, wędruje, wężowym szlakiem płynie ku grocie — gdzie serc Królowa — króluje. I z piersi pielgrzymów wyrywa się pieśń:

„Ave Maria“ — „Ave Maria“!
Szumią drzewa, rzeka śpiewa, —
Lecą, płyną męzkie chóry,
Zda się niebo, ziemia, góry —

W jeden cudny hymn ujęte
Powtarzają słowa święte
Ave Maria! Ave Maria!
Zdrowaś Maryo!...

A nam, wędrowcom, z dalekiej, smutnej ziemi przybyłym, serca drżą szczęściem, rosną chwałą Maryi i płaczą bólem wszystkich bólów w kraju pozostałych!...

Nie, one w kraju nie pozostały! — Myśmy je tu przynieśli, u stóp Maryi złożyli, przypominamy Jej, że tam, daleko — jest naród — męczennik, który wśród klęsk i zamętów nigdy o Niej nie zapomniał — że my wśród smutnych najsmutniejsi — wśród nieszczęśliwych, najnieszczęśliwsi — wśród biednych, najubożsi.

Więc błagamy Najlitościwszą:

Nie daj nam, Matko! odejść bez pociechy,
Rzuć jasny promyk na te nędzne strzechy,
Kędy się troska z wszechuciskiem schodzi,
Kędy się boleść od lat tylu rodzi! —
Nie daj nam, Matko! odejść bez pociechy,
Ty Litościwa, Ty Dobra, Ty Wielka!
Rozbitków życia, głodnych Karmicielka,
Spiesz na ratunek!... Włóż litosne dłonie
Na zimne, w śmierci stygnące już skronie
Twojej ziemicy!... Gdy ty zechcesz — Pani!
To my — Łazarzem Narodów nazwani,
Wstaniem potężni, dzielni, silni, zdrowi, —
Najświętsze Imię Twe bronić gotowi,
Gdziekolwiek kwitnąć będą polskie strzechy...
O Matko! nie daj nam iść bez pociechy!

Abbazya, w październiku.

Gdy strudzone daleką podróżą o 11-tej wieczorem stanęłyśmy w Abbazyi — owionął nas od razu czar nocy letniej nad błękitnej Adryi brzegiem. Ujęte w pułkole, wtulone między palmowe, wawrzynowe ogrody wybrzeże ,płynęło tyśiącem świateł — na ciemną toń morza gwiazdy siały iskry — ostatni statek, jadący do Rieki, sunął po sennych falach i przeciągłym świstem budził nocną ciszę. Z okien hotelu Quarnero widok był śliczny. Nazajutrz wczesnym rankiem, inny, nie mniej uroczy krajobraz zachwycił nas. Wszędzie, gdzie oko padło — białe żaglowce kołysały się na falach — słońce, igrając z niemi lało całe potoki świateł na srebrne tonie, na lesiste wzgórza Lowrany, na obnażone góry Karst, namiasta i wioski rozłożone dokoła.

Na morzu błogi spokój. Tu nie robi ono wrażenia ogromu, nie jest wspaniałe, ani groźne, ale tak dobre, łagodne, zapraszające do dumań, do wypoczynku, mówiące o ciszy, o jasnej pogodzie ducha, o zaufaniu. I gdy w kilka dni później znalazłam się na statku, wśród burzy — z posępnego nieba biły gromy, deszcz lał rzęsisty, morze nie ulękło się tych pogróżek, lekko rozkołysane, zdawało się tym spokojem pocieszać podróżnych, badających z pewną trwogą i zaniepokojeniem ciemne chmury na horyzoncie.

Dopiero gdy sirocco zawieje, zakłóca ciszę fal. Spienione bałwany biją o skaliste brzegi, senna toń się przejmuje szałem wichru. Ale nie rzadko sprowadza on deszcz i Adrya leży wówczas w szarą oponę spowita.

Mimo deszczu, co godzinę statek, tak zwany Salon-Schiff, wiezie gości do sąsiednich wiosek i miast

nadbrzeżnych. Prastary port Rieki, sięgający rzymskich czasów, najczęściej ztąd odwiedzany. Wjazd do niego malowniczy. Tutaj kilkadziesiąt masztów, kominów, żagli stoi nieruchomo na morzu, — tam na sędziwe, często olbrzymie okręty ładują drzewo, węgiel — tam znów rybackie łodzie kołyszą się rytmicznie, różnobarwne chorągiewki, sygnał odjazdu statków, trzepocą na wietrze, raz po raz biała mewa zatoczy kołem nad wodą i poleci hen — w przestrzeń jasną i górną.

A cóż za ruch i gwar na owym Adamichmolo, gdzie stoję po raz pierwszy, trochę oszołomiona, w towarzystwie jednego z dostojników krakowskich, szanownego i przemiłego Cicerone, który po znojnej pracy podwójnego zawodu, profesorskiego i autorskiego, od lat kilku spędza wakacye w ślicznej Abbazyi, a w chwili, gdy to piszę, już pochylony nad staremi archiwami, szuka dokumentów do dalszych historycznych studyów Kościoła w Galicyi.

Wśród obcego, różnojęzycznego tłumu, z ciekawością przysłuchuję się przeróżnym narzeczom, które o uszy się odbijają. Krzyżują się języki kroacki, serbski, węgierski — wogóle jednak przeważa włoski element, tak, jak wąskie uliczki starej Rieki, kościoły, prastara katedra Chiesa dei S. Vito e Modesto stylem ołtarzy i kazalnic, marmurowemi kolumnami zupełnie przypomina włoskie świątynie.

W mieście, handlem kwitnącem, pełno fabryk, między innemi torpedowców. Co dzień przybywają do portu nowe statki. W tych dniach zawitała eskadra rosyjska. — Wspaniałe pancerniki, całe niby w stal zakute, z których jeden krążownik walczył

pono w wojnie japońskiej, a obecnie przywiózł wielkiego księcia, wracającego z Cetynii po festynach czarnogórskich.

Gładkie, często zaprawione świetnym humorem, a dla piszących koleżanek pełne rycerskiej uprzejmości pióro Sekundusa, mówi w swej ostatniej karlsbadzkiej korespondencyi, iż wrzesień nazwaćby można polskim sezonem Karlsbadzie.

Otóż i w Abbazyi o tej porze co krok spotkać można z ożywieniem rozprawiających rodaków. Czy my, w dwóch zaborach przytłoczeni zmorą gnębiącej polityki, tutaj, nad cichym Istryi brzegiem, odzyskujemy animusz, swobodę, drzemiącą nieomal w każdem szczęśliwem sercu — nie wiem — dość, że na statkach, na wybrzeżu, czy ulicy tłoczą się, śmieją, gwarzą przeważnie Polacy. A każdy czuje się tu u siebie — może dla tego, iż mało tu spotyka się typów „najserdeczniejszych“ — mało słyszy mowę, do której nie tęskni sarmacka dusza — a w zamian poznaje wiele sympatycznych postaci, cichych pracowników pióra, lub wybitnych ludzi, wysłużonych ojczyźnie.

Ogólnie twierdzą, że Abbazya nie dość rozrywek dostarcza. Ale, czyż można się nudzić, gdy u stóp naszych szemrze morze? Gdy w wieczór księżycowy, po wysrebrzonej toni, w melancholijnej zadumie przesuwają się statki, niby tajemnicze duchy, a z rozbłysłych lampionów płyną za nimi długie — długie szlaki promiennych świateł?... Czyż można pozostać obojętnym wobec takiego widoku i nie zapragnąć zajrzeć w księgę przyrody — na skrzydłach poezyi wzbić się odrobinę po nad ziemię!

Ciche rozhowory fal są tak wymowne, a jasna noc, pełna tęsknych nawoływań, szeptów, łkań morza, to cały poemat!

Spokój wielki. Tylko czasem wiatr przyleci zdala,
Potrąci skrzydłem wodę — Rozbudzona fala
Zerwie się — przelęknie —
Jak w melodyi, gdy nagle w harmonijne tony
Wpadnie dźwiek fałszywy, obcy, nie proszony
I pieśń zgrzytem jęknie.
Jak w życiu — kiedy w szczęsnej głuszy cerce leży
A los o nie zazdrosny, obuchem uderzy,
Aż struna w niem pęknie!...

Z Szwajcaryi.

Choć przeszło tydzień upłynął od 1 sierpnia, w którym to dniu piękny kraj Helwecyi obchodzi swe święto Zjednoczenia — jestem jeszcze pod wrażeniem uroczystej chwili, której byłam tu świadkiem. — Już od rana w złotych blaskach słońca na dachach, wieżyczkach Bex zatrzepotały różnobarwne chorągwie, dodając wesołego wdzięku mieścinie, u stóp Alp malowniczo rozłożonej. W południe coraz wspanialej stroiły się domy, ulice, ogrody — a choć zwykła praca szła swoim trybem codziennym, w powietrzu drżał jakiś niezwykły animusz i przeogromna chęć do życia odbijała się w oczach wolnego ludu tej wolnej ziemi!

Wieczorem, o 7 godzinie ze szczytów wież kościelnych zagrały dzwony... Było to hasło rozpoczęcia narodowego święta. Przez 20 minut, w cu-

dnem, górskiem powietrzu, rozlegała się muzyka dzwonów, dziwnie przejmująca — która, wzywając wiernych do modlitwy, śpiewała o wzniosłej miłości Boga i Ojczyzny, łącząc w jedno ogniwo te dwa najszlachetniejsze i najpotężniejsze ludzkie uczucia! — Równocześnie zbierał się wspaniały pochód, złożony z wszystkich przedstawicieli miasta, członków Towarzystw , cechów, straży ogniowej, a wśród nich, na bicyklu umajonym w kwiaty, jechała młodziutka panienka, przedstawicielka Helwecyi zapewne.

Z muzyką na czele, z rozwianemi chorągwiami, płynie pochód przez całe miasto rzęsiście oświetlone... Z wszystkich stron odzywają się wiwaty, okrzyki, lecą ku górze bengalskie ognie, stuczne gwiazdy rozpryskują tęczowe snopy świateł wokoło.

Na głównym rynku pochód zatrzymuje się i ustawia. Choć wśród tłumu uwijają się dzieci i wyrostki, choć wszyscy są uniesieni, rzec można, upojeni szczęściem, nie ma co się zowie przykrego tłoku — policya nie potrzebuje strzedz porządku — wśród zebranej rzeszy jest pewien ład i spokój. Nikt się nie pcha naprzód kosztem bliźniego, nikt wyzywa sąsiada, nie słychać grubiańskich napomnień żandarmów. Harmonia uczuć łączy wszystkie serca i budzi wzajemny szacunek.

Teraz przemawia syndyk miasta Bex na cześć Szwajcaryi i jej tegorocznego głównego przedstawiciela, prezydenta Ruchet, który zamieszkuje Berno, a letnie miesiące często tu spędza.

Niestety! nie wszystkie słowa mówcy dochodzą do mych uszu — ale raz po raz, gdy się zwróci w moję stronę, słyszę, że przypomina ziomkom tę

arcyważną chwilę w dziejach Szwajcaryi, gdy 1 sierpnia 1291 roku po raz pierwszy pod koniec panowania Rudolfa Habsburga, powstała myśl konfederacyi.

Minęły wieki, zaszły ciężkie przewroty wśród państw europejskich. Zjednoczenie Szwajcaryi się rozwija, zwłaszcza od chwili, gdy w r. 1350 Wilhelm Tell w bohaterskiej obronie ziomków celnym strzałem pozbywszy się okrutnego wielkorządcy Gesslera, zakłada podwaliny wieczystej unii miast i kantonów Szwajcaryi.

Dziś z wszystkich stron tej ziemi, z przebogatych miast nad brzegami Renu, Rodanu, Aary położonych, z malowniczych brzegów Constancyi i Lemanu, z wil i domków rozrzuconych na szczytach Alp, czy z biednych chat góralskich, płyną ku niebu hymny wdzięczności, braterskiej zgody i miłości. Serca wolnych synów Szwajcaryi przepełnia duma i wielkie szczęście, bo to najpiękniejsze święto matki ojczyzny — łączące wszystkich u jej stóp, niby dzieci jednej rodziny.

Wśród haseł, które dziś rozbrzmiewają wzdłuż i wszerz kraju, niektóre brzmią porywająco. Starsi, doświadczeni przemawiają do ludu z proźbą, aby się nie dał uwieść czczej i pustej frazeologii, lecz czynami dowiódł miłości kraju — aby każdy, pracując nad sobą, miał zawsze na myśli dolę maluczkich — pamiętał o tych, którzy są w smutku i potrzebie i niósł wysoko sztandar narodowy, na którym powinny być wyryte słowa:

„Jeden za wszystkich — wszyscy za jednego!“

Piękne hasła, któreby się chciało krwią serca wypisać i przesłać ziomkom!

Gdy syndyk przestał mówić rozległy się huczne brawa, a potem jednozgodnie, z piersi obecnych, niby wezbrany potok górski, zerwał się hymn narodowy, wielbiący wolność ojczyzny!

Na szczytach sędziwych Alp rozbłysły światła... i niebo gwiaździste zdawało się uśmiechać, błogosławić szczęsnej, rozśpiewanej krainie.

Lecz wśród wzrastającego, wesołego gwaru, po srebrnych smugach gwiazd, zeszedł biały anioł tęsknoty i skrzydłem musnął czoła Wiekopolanek, w tym obcym tłumie zabłąkanych.

Ścisnęły się serca bólem wspomnień... myśl powędrowała do ziemi prześladowań i ucisku — ciche łzy popłynęły z oczu.

Boże!... kiedyż nam tak wszystkim razem, u stóp Matki, węzłem zgody i miłości złączonym — zaśpiewać będzie wolno — hymn nad hymny!

„Niech będzie pochwalony...“

Stary Walek marzył o powrocie do rodzinnego kraju. Trzy miesiące spędził w gościnie u syna w Westfalii, a choć miał wszystkiego pod dostatkiem i dzieci otaczały go miłością i szacunkiem — przecież całą duszą pragnął wyjechać. Zima przeszła mu jako tako po za Dąbrówką, którą po 75 latach opuścił po raz pierwszy z powodu, że nowy rządzca uznał go za słabym do pełnienia funkcyi włódarza i zamianował podwórzowym.

Walka obraziło to na śmierć — a że syn pisywał listy pełne zadowolenia, że ojca serdecznie zapraszał na chrzciny pierwszego chłopaka, który zawitał po pięciu córkach — więc stary, więcej na złość rządzcy, jak sobie na pociechę, zabrał manatki i podążył do Westfalii. U syna zastał dobrobyt i niby to szczęście domowe, bo synowa była pracowitą, porządną kobietą, a dzieci ładnie się chowały, a jednak — ten dom polski na obczyźnie, nie miał

dla niego cechy gniazda rodzinnego ani dać mu nie mógł serdecznego ciepła; u młodego pokolenia brakło mu tych promyków wspomnień, których zapas starczyć może na długie lata i przyświeca posępnej nieraz jesieni życia!

Więc staremu włódarzowi duszno było, nieswojsko. Póki śnieg bielał na dachu sąsiedniej kamienicy, czekał cierpliwie — ale gdy nagle wiosna dmuchnęła wonią zieleni młodej a świeżej — gdy począł od dalekich pól zalatywać zapach ziemi, Walek w mieście przepełnionem dymem fabryk wytrzymać nie mógł. Coś go porywało, rozpierało mu pierś i z taką siłą ciągnęło w strony rodzinne, że po prostu na miejscu usiedzieć nie mógł. — Więc jął się szykować do drogi.

„Ludzie kochani! że wy tu przetrzymać możecie, — mruczał do siebie, stróżem nocnym niech ostanę w Dąbrówce albo li dziadem pod kruchtą kościelną w Borku — niech trzodę lub gęsi pana rządzcy pasę — wszystko milejsze mi niż ten zaduch brzydkiego niemieckiego miasta. Pfui! człowiek ani na co wejrzeć nie ma, bo wszędy jeno kominy — i bez powietrza docna osłabł.“

I prawdę mówił, że coraz więcej z sił opadał, chudł, mizerniał. Zawsze był wysoki, jak tyczka chmielu cienki, piersi miał wpadnięte i wąskie, ale teraz, zdawało się, że się jeszcze wydłużył i słania, chodząc.

W samą wilię wyjazdu dostał jakiejś zaduszki, grało mu, rzężyło w płucach i stare serce rozkołatało się niby dzwonnica dzwoniąca na alarm.

Syn prosił, by się parę dni wstrzymał z wyjazdem, synowa, wnuki do rąk mu się garnęli, pła-

cząc, ale on czuł, że każda chwila życia już mu tylko darowana, że musi korzystać z ostatnich błysków, by się do swoich zbliżyć. „Jeno powietrze nasze mnie zaleci — zara mi będzie dobrze, myślał — byle jak najprędzej dostać się do Dąbrówki!“

Pojechał. Ale tuż pod Berlinem źle mu się zrobiło. — W oczach poczęły mu migać czarne krwawe płatki, od kończyn serca wypełzał jakiś ból potężny i straszny, brał w swe szpony nikłe piersi i szarpał niemi, szarpał...

Gdy przyjechał na stacyę, był już na pół tylko przytomny. Bełkotał, że mają „weiter fahren“ — nie chciał wyjść z wagonu, ale go wzięto przemocą i jak marnego robaka wrzucono do „Krankenhaus’u.“

Kiedy się ocknął, leżał w ciasnym, wąziutkim pokoiku, bardzo słaby, bardzo zmęczony, z pustką w duszy, z pustką w około, ale ponad łóżkiem wysoko dojrzeć mógł przez okno wąski skrawek nieba i gdy począł mierzyć dzielącą go przestrzeń, zdało mu się, że do tych pogodnych błękitów, droga niedaleka...

Lecz nie było to zupełną pociechą dla niego. Zapomniał wprawdzie, gdzie się zatrzymał, ale to wiedział na pewno, że jest wśród obcych, daleko od swoich. „Jakże to, więc miał umierać nie w Dąbrówce? nie położyć głowy na tej ziemi rodzonej, a umiłowanej, której w pocie czoła pół wieku wiernie służył? I jakże miał się stąd do nieba dostać przez księdza? przez spowiedzi? przez sakramentów świętych?“

Uniósł się lekko na posłaniu i obejrzał w koło.

„Czy też aby gdzie jaki wizerunek Bożej Matki wisi na ścianie?“

Nic — ani krzty świętego obrazka. Zimne, smutne, nagie ściany. Walka serce ścisnęło się bólem, łzy poczęły spływać z oczu: uderzył się w piersi ze skruchą: „Boże nie karz mnie za złość moję, za grzechy, Boże ratuj! Boże wybaw!“

. . . .

Już tydzień cały chorował stary Walek w Berlinie Gorączka niby to nie wzmagała się, chwilami nawet lżej mógł oddychać, więc pocieszał się, że złe przewalczy, liczył dni i godziny, kiedy stanie w Dąbrówce. Choć prawdę mówiąc, nie mógł skarżyć się, by się z nim źle obchodzono w tym obcym lazarecie. Doktór, mały człowiek, z żołądkiem naprzód podanym, z twarzą otwartą i przyjacielską, jak huragan co dzień wpada do niego: „Nun wie geht's?“, pytał nieodmiennie, za puls chwytając, postukał, pomacał, a w końcu poklepał go jeszcze po ramieniu i śmiejąc się, pocieszał łamaną polszczyzną: „będzie dobri“, „będzie dobri.“

Kobiety, które go doglądały, kazały mówić sobie „Schwester“. Były ciche, spokojne, chętne, nosiły na włosach białe turbany, związane z tyłu głowy kokardką, każda miała pierścionek na palcu i każda, wchodząc skinęła głową: „Guten Tag.“

Ale żadna nie wspomniała przed Walkiem o Bogu, ani Go pochwaliła, witając. I stary wiarus dziwił się, co to za rodzaj panien zakonnych i w co one wierzą?

Jedna z nich młodziutka, przystępniejsza od starszych, spostrzegłszy szkaplerze na piersiach chorego, poczęła im się przyglądać ciekawie. A Walek jął jej tłomaczyć, że ta śliczna biała Panienka z rę-

koma spuszczonemi ku ziemi, pełnemi łask, to Królowa Nieba i Polski, Matka Syna Bożego — a ono Serce cierniem ukoronowane, z którego krople krwi czerwonej spływają, to Jezusa Serce, dla miłości ludzi włócznią przebite na krzyżu.

Siostra wysłuchała grzecznie Walka, ale on spostrzegł, że go nie rozumie, że te szkaplerze, świętości jego, tylekroć całowane, do serca tulone, były dla niej martwemi, bez znaczenia płatkami, że w spojrzeniu, jakiem obejmuje Maryę i Syna, nie ma dosyć czci, dosyć powagi!

I zrobiło mu się jeszcze smutniej. Odtąd zaciął się w milczeniu, a wewnątrz tęsknota żarła go coraz więcej. Słabł też widocznie... Co noc śniły mu się ojczyste łany, wspaniały kościół Borecki, barwne procesye z obrazami, które hen — aż z pod Święciochowy wędrując, szły szosą dąbrowską, na 2 lipca, do klasztoru na Zdzierzu. To znów słyszał wyraźnie bicie dzwonów na Anioł Pański... Wówczas zrywał się, klękał na posłaniu, bił się w piersi.. A gdy przypomniał sobie, jak daleko jest od kraju — i to zwłaszcza, że mógłby umrzeć bez ostatniej duszy pociechy, pot kroplisty spływał mu z czoła, serce waliło młotem. Matko miłościwa! Królowo nieba! Jezu ulitujcie się nademną! Bijcie mnie! walcie, karzcie za grzechy, jeno pozwólcie mi wrócić do swoich — jeno pozwólcie, by raz jeden jeszcze w życiu obiło się o me uszy naszej świętej wiary polskiej, katolickie przywitanie „Pochwalony Jezus Chrystus!“

. . . .

Noc cicha, spokojna. Księżyc wyjrzał z za chmury, srebrnem okiem patrzy na uśpione miasto

i zagląda do izdebki Walka. — Ej! czy posłyszał krzyk zbolałej duszy? Czy zrozumiał, że głód jej od innych straszniejszy bywa? Bo całą garść swych promyków ciska na siwą głowę chorego, na zapadłe piersi, na chude ręce — głaszcze go niemi... pieści... całuje...

Zbudził się stary włódarz, chce podnieść na łożu, by przyjrzeć srebrnolitemu pasowi światła, który wprost z błękitu do jego nędznego posłania spływa...

„Musi być chyba nasz polski miesiąc — myśli — bo żaden inny tak nie świeci pięknie, ani się człowiekowi tak do serca nie przymila...“

A w tem zdumiał. Bo po tej świetlanej smudze weszła cicha, biała postać... ta sama, którą pokazywał na szkaplerzu siostrze służebnej, tylko, że od Niej biły blaski wprost olśniewające... tylko, że pokój cały jął się nurzać w powodzi świateł...

A postać ona schyliła się nad nim tak, jako w polskim kraju nad wezgłowiem chorych schylają się Anioły Miłosierdzia, i rzekła głosem słodszym niż rajska symfonia: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“

Zerwał się Walek, runął na kolana, począł stopy Najświętszej całować:

„Na wieki wieków!“ szeptał — „Na wieki wieków!“

Szczęśliwość ogromna rozpierała mu piersi — zdało mu się, że oto rozwarły się przed nim jasności raju — że otacza go woń ojczystych łanów i dolatuje zapach tej ziemi matki, którą lat tyle uprawiał...

A w koło niego, niby na procesyi, rozdźwięczały się dzwony: — „Na wieki wieków! Na wieki wieków!!“

— — — — — — — — — — — —

Nazajutrz rano wpadł doktor do Walentego.

„Nun wie geht's?“ już od proga wołał wesoło i nagle cofnął się zdziwiony.

Martwe zwłoki starego włódarza leżały na klęczkach z głową kornie ku ziemi schyloną...

Wrocław, 18 czerwca 1907 r.

Na prelekcyi.

(Kartka z życia).

Byłam już dorosłą panną od lat kilku i życie upływało mi spokojnie, wśród kochającej rodziny, pod opieką najtroskliwszej babki, która nie szczędziła ni kosztów, ni zachodu, aby mi serce i umysł wykształcić. A że oprócz wykształcenia posiadałam znaczny kapitał, złożony w banku od śmierci rodziców, przeto nie krępowały mnie w niczem względy materyalne i — było mi bardzo dobrze na świecie.

Może babci mniej było dobrze ze mną, gdyż pewnego pięknego poranku dowiedziałam się przypadkiem, iż pragnie wydać mnie za mąż.

W tym celu otoczono mnie siecią drobnych intryg i bywałyśmy dużo, gdziekolwiek ukazała się jaka możliwość spotkania ludzi, latem w Sobótkach, Busku lub Krynicy, zimą na rautach, wieczorach i balach.

Biedna babunia była niezmordowaną opiekunką pomimo że najczęściej dobre jej chęci odbijały się

o kamienną wolę niewdzięcznej wnuczki — bo choć, wyznam szczerze, nie przysięgłam na celibat, wszakże zupełnie obojętnie patrzałam na mijające lata. Zadowolona ze złotej wolności, nie pragnęłam żadnej zmiany, a że serce nie odezwało się dotąd, więc lekceważyłam rady babki i całego grona przezacnych ciotek i wujaszków, zajmujących się zanadto gorliwie ustalenie mego losu.

Jeszcze w ostatnim roku bywania, mimo 26 wiosen, które poetycznie się wyrażając, jak chmurki na niebie szybko się przesunęły w życiu, miałam odwagę pokrzyżować plany opiekunów i opiekunek i dać odmowną odpowiedź panu Ludwikowi K. O! co za okropne chwile przeżyłam w domu po owym śmiałym kroku! Dante, malujący czyściec, powinien był też opisać męki takiej jak ja, starszej panny, która odrzuca konkurenta (nota bene bardzo majętnego) wbrew woli babki, starszych braci i pół tuzina ciotek.

Co to było lamentu u nas! co opowieści zawsze na temat pana Ludwika K. Przy każdej sposobności to imię brzmiało na ustach wszystkich odwiedzających nas krewnych:

„Pan Ludwik wyjeżdża do Berlina. Pan Ludwik ma najlepsze konie, pan Ludwik dał 1500 marek na rzecz Ochronki św. Józefa — pana Ludwika chciałaby zdobyć szturmem dla swej siostrzenicy hrabina Z. — ale pan Ludwik jest wierny swej pierwszej miłości, choć tak nieszczęśliwej!“ — i zawsze to niewinne spojrzenie skierowane w moję stronę, prawdopodobnie dla zbadania wrażenia, wywołanego temi wielce sensacyjnemi wiadomościami. Ów od-

rzucony konkurent dlatego cieszył się względami mej rodziny, że był stateczny, bardzo majętny i pochodził z zacnego gniazda.

Babka nie mówiła o nim inaczej, tylko „nasz poczciwy Ludwik“, ale na sam dźwięk tego słowa: „poczciwy“ czułam, niby wulkan gniewu, rozsadzający moje piersi — serce poczynało bić gwałtowniej, fala krwi uderzała do głowy! — (O babki, ciotki, nie mówcie nigdy, przenigdy na waszych protegowanych „poczciwy“).

Prawdę mówiąc, pana Ludwika znałam bardzo mało — i nie miałam chęci poznać go bliżej; z powierzchowności podobał mi się średnio, trochę więcej z form, bo wzięcie miał dobre, ale... ale... raziła mnie jego nieśmiałość, brak wszelkiej inicyatywy, bystrości umysłu, poloru salonowego; mówił mało, a co najgorsze, nigdy nie mówił ze mną o kwestyach mnie zajmujących — na przykład: o literaturze, polityce, o najnowszych romansach francuskich, które czytywałam ukradkiem, o muzyce Mascagniego, Wagnera lub innej będącej na czasie.

A ja właśnie przepadałam za tak zwanemi „causeries“. Przeglądałam chciwie wszystkie dzienniki, nowości literackie, nowelki, rozprawy i poezye i strasznie lubiłam popisywać się nabytemi wiadościami. Marzeniem życia mego było: zostać une femme savante, a wyjść za mąż tylko za człowieka z umysłem wyższym, ze świetnym dowcipem i talentem genialnym. Salon mój, a raczej nasz, byłby ogniskiem wiedzy, gdzie literaci i artyści wszelkiego rodzaju mieliby wstęp wolny... i czwartki pani Zofii słynęłyby na całe Poznańskie, Galicyę i Kró-

lestwo. Schodziliby się ot tak, bez ceremonii, wieczorami do nas; mój mąż, słynny z wymowy, rozwijałby kwestye filozoficzno-społeczne, a ja.. w powłóczystej aksamitnej sukni... rozsiewałabym dokoła perły rozumu, dowcipu, ujmowałabym mądrych ludzi niezwykłą uprzejmością. Coby to było za życie! raj na ziemi.

Ale jakże wystawić sobie cichego, skromnego, małomównego pana Ludwika w roli amfitryona, przyjmującego artystów przejezdnych, literatów, znakomitych uczonych!

Choć mówiono o nim, że jest rozumny, że został doktorem praw i zajmuje się nie po dyletancku pisaniem rozpraw historycznych, w salonie był zawsze onieśmielony, cichy, zamknięty w sobie. Nie wyjawiał głośno swego zdania, nie błyszczał żadnym talentem; słowem, wyglądał niestety tylko na „poczciwego Ludwika“. Kilka razy próbowałam wyciągnąć go na poważną rozmowę; przechodziłam z tematu powieści sienkiewiczowskich na rozprawę o „Ksenofoncie“, wyczytaną rano w Przeglądzie Polskim. Ale, gdy zapytałam mego sąsiada, co myśli o sławnym filozofie, przedstawicielu attyckiej prozy, jak się zapatruje na jego „Anabasę“... spojrzał na mnie zdziwiony, uśmiechnął się prawie szyderczo pod wąsem, bąknął coś tak niewyraźnie, iż rozdrażniona dałam za wygraną i przyrzekłam sobie nigdy z tym „poczciwym“ nie naruszać tematów poważniejszych.

Nazajutrz ciotka Walerya B. urządziła w pięknych salonach swego pałacu wieczór tańcujący. Bal był liczny; wszyscy jednomyślnie powtarzali: „świetny, świetny!“

Naturalnie jako siostrzenica pani domu odpowiadałam, że bawię się świetnie! Boże mój! ile to jednak fałszu mieści się. w tem słowie!... Nie przeczę, tańczyć lubię i lubię muzykę, kwiaty, oświetlenie. Ale chwilami porywa mnie tęsknota za czemś innem, lepszem, szlachetniejszem, i nudzę się, o jak się nudzę! Przytem te obowiązki siostrzenicy, które pełnić wypada!

Zbliżam się do grona rówienniczek, idą za mną szepty, trwożne pytania, błagalne spojrzenia:

— Zosiu, masz już wszystkie tańce?

— Mam.

— Szczęśliwa!... Ja nie mam jeszcze zamówienia.

— Ja mam już pierwszego kontredansa, ale mazura nie.

— Zosiu, powiedz komu znajomemu, że mam wolnego kadryla.

— Co teraz będzie, kadryl?... Nie mam jeszcze, zlituj się!

— Pani droga, to mojej córki pierwszy występ, ona jeszcze nie ma zamówionych tańców, proszę o niej pamiętać.

Stanęłam zakłopotana; do kogo się udać?

Pan Ludwik zbliżył się z pytaniem:

— Pani kogoś szuka, czy mogę posłużyć?

— Mój panie, proszę tańczyć mazura z panną Z.; proszę bardzo, ona pierwszy raz... mnie bardzo zależy na...

Nigdy nie tańczę mazura; ale jeżeli pani rozkaże... Którato panienka?

— Tam siedzi pod oknem, w białej sukni, z białemi konwaliami.

— Owszem, zaraz idę.

— Jaki poczciwy! — pomyślałam i poszłam dalej szukać dobrych znajomych, ale tu i owdzie spotkały mnie niechętne odpowiedzi:

— Wybaczy pani, ale ja nie znam tej osoby; widzę ją po raz pierwszy... będzie wolała kogo innego!

A kuzynek Tadeusz wprost odmówił.

— Dziękuję ci... Z takiem pudełkiem? Grâce, grâce, pour moi!

— Świetny bal! — przemknęło mi po głowie.

Rozpoczął się mazur. Pary poczęły wirować, honor ciotki Waleryi był ocalony, panny wszystkie tańczyły.

Pan Ludwik wyskakiwał, tupał, kręcił się w prawo, w lewo, i wyglądał tak zabawnie, że można było śmiać się w głos z jego pląsów.

— C'était barbare de le faire danser.

— Tierquälerei — szepnął mi na ucho złośliwy Tadeusz.

— Bohater! — zawyrokował mój danser, wielki zwolennik pana Ludwika.

— Poczciwy! — pomyślałam, i coś w sercu poczęło mięknąć, tajeć, jakby się zarysowała cała góra lodu w niem zgromadzona. Żadne perswazye babki ni wujaszków nie zrobiły na mnie takiego wrażenia, jak to szlachetne zaparcie się siebie, graniczące z poświęceniem, ten cichy hołd złożony mi przez człowieka, którego uczucia lekceważyłam.

Po mazurze usiadłam na uboczu z Maryńcią T. Była to przyjaciółka moja z karnawału, jedyna istota rozumiejąca mnie, sprytna, złośliwa dziewczyna, światowo bardzo wyrobiona.

Rozmawiałyśmy dość długo i w tej poufnej pogawędce dowiedziałam się, że pan Ludwik wyrażał się z wielką niechęcią o emancypacyi kobiet, że jest zawziętym nieprzyjacielem des bas-bleus a ideałem jego jest kobieta skromna, gospodarna i łagodna.

Maryńcia uśmiechała się dwuznacznie, opowiadając, a we mnie cały gmach dobrych chęci runął od razu. „Ha, żegnam cię, mój panie; szukaj sobie w innych stronach twego ideału... wiejskiej, potulnej gąski! Ja czuję się stworzoną do wyższych przeznaczeń. Nie pragnę wcale moich zdolności, uznanych przez całą rodzinę, zmarnować gdzieś w wiejskim zakątku, przy boku mężczyzny, który rozumnych kobiet nie uznaje.

Po owem zapewnieniu Maryńci P. w oczach moich pan Ludwik spadł bardzo nisko. Chcąc go ukarać, na przyszłym reunionie u baronowej P. unikałam starannie jego towarzystwa, byłam wprost niegrzeczną i con amore flirtowałam z innymi, więcej zajmującymi mnie sąsiadami.

Właśnie tego wieczora w salonie baronowej P. ukazał się już niemłody człowiek, świeżo przybyły z Paryża, który od razu zdobył moją sympatyę. Ładnym nie był, ale dla mnie zdawało się to obojętnem; niskiego wzrostu, trochę łysy, chudy, o wyrazistych szarych oczach.

Ale przytem jaki elegancki, rozmowny, miły, pełen werwy i humoru!

Szczęśliwym trafem — bo byłoby zarozumiałością przypuszczać, że mnie dobrowolnie wybrał — siedziałam przy kolacyi obok pana Alfonsa, i... o cudna wiedzo! od dawna nie prowadziłam tak przy-

jemnej rozmowy. Mój towarzysz zadawał pytania, nad któremi przynajmniej warto było się zastanawiać; opowiadał o swych podróżach, o nowych sztukach w paryskiej operze; znał na pamięć wszystkie stosunki dworskie, nowe dzieła autorów i jako przyjaciel księżnej R. bywał w Paryżu na rautach u ministra, gdzie rozmawiał z panią Gyp i Bourgetem. Byłam zupełnie olśnioną. Pan Alfons tyle rozwinął erudycyi, mówił tak płynnie i dobrze po francusku, że od dawna nie czułam się równie zadowoloną z wieczoru i wracałam oczarowana, rozmarzona.

W powozie poczęłam się unosić nad rozumem, salonowem wzięciem, pańskim tonem nowego znajomego. Babka moja wysłuchała cierpliwie potoku pochwał, a potem westchnąwszy cicho, rzekła niby od niechcenia:

— Blagier, bon-vivant, zadłużony po uszy... znam go od dawna. Utraciwszy w karty cały majątek, szukał za granicą szczęścia, a nie znalazłszy go, wrócił do kraju, prawdopodobnie, aby tu złowić jaki posag.

Odsunęłam się w głąb powozu markotna, z ostrym wyrzutem na ustach:

— Jaka babcia niesprawiedliwa! Gdy kto nie ma miny tego skromnisia Ludwika, zaraz jest blagier, łowiec posagowy itd. itd.! Co do mnie, jestem zachwyconą panem Alfonsem... rzadko miły i rozumny. Jutro przyjdzie do nas; obiecał przynieść najnowszą powieść Ouidy, o której pisał recenzyę do „Nouvelle Revue“, i babcia będzie miała sposobność przekonać się, jaki to jest człowiek wykształcony.

Nazajutrz atoli pan Alfons nie zjawił się u nas.

Smutna, błąkałam się po komnatach mieszkania i do późnej nocy rozmyślałam nad powodem tego niedotrzymanego słowa. Gdy nareszcie zostałam sama w moim pokoju, badawczo przeglądałam się w zwierciadle. Czy mogłam się podobać? Figurka drobna, oczy duże, czarne, bystre: rysy kształtne, usta niebrzydkie. Ale cóż uroda znaczy! Mojem marzeniem przecież było posiadać rozum, rozum i jeszcze raz rozum!

Tem dziwniej, że Pan Ludwik, lekceważący mądre panny, zdawał się mną szczerze zajęty! a bracia powtarzają często, że prawie ogół młodych i starych więcej ceni urodę u płci słabej, niż wykształcenie. Dziś wyczytałam gdzieś zdanie, które mnie tu do zwierciadła popchnęło, że: „Jak świat światem, więcej od patentów działa na ludzi piękność kobieca.“ Jeśli to jest prawdą, to znowu pan Ludwik dla mnie niewytłumaczoną zagadką.

E! nie nam powodu zastanawiać się nad nim dłużej. Pewną jestem, że pan Alfons, (co za imię, nadające się do poematu!) że on zgadzałby się zupełnie z mojem zdaniem i że nie jest wrażliwym na piękność, lecz raczej obojętnym na powierzchowność.

Tak?!... A czemu to dziś Zofia M., oczekując go, już od rana ubrała się w sukienny zielony kostyum, w którym jej do twarzy? czemu mimo bólu głowy kazała się czesać i trefić? czemu o jedenastej wieczorem jeszcze się przed zwierciadłem znajduje i krytycznem okiem spogląda na swoje oczy, rysy, usta?... Czemu? a czy ja wiem, co tam za

7*

szatan próżności odezwał się nagle w sercu?... ot, lepiej spać się położę z nadzieją, że jutro przyniesie mi jaką dobrą nowinkę o panu Alfonsie.

. . . .

Na drugi dzień, zaledwie byłyśmy przy śniadaniu, oznajmiono nam gościa i pan Alfons wszedł wyświeżony, wyelegantowany z miłym uśmiechem na twarzy. Tłómaczył swoją ranną wizytę pospiechem, aby się uiścić z danego przyrzeczenia i przeprosić, że wczoraj tego nie uczynił — lecz w ważnych sprawach był powołanym na wieś i powróciwszy nocnym pociągiem, przybiegł tu zaraz spełnić życzenie moje, które dla niego jest rozkazem. Nie wiem czemu, czy to słowo Babki „blagier“ uczepiło się znowu osoby pana Alfonsa tak jak przydomek „poczciwy“ p. Ludwika, ale w rannem świetle ten inteligentny młodzieniec nie sprawił już na mnie tak dodatniego wrażenia. Babka przez szkiełka krytycznemi oczami przypatrywała się przybyłemu, to mu jednak było obojętnem, — z całą swobodą opowiadał nowinki podsłyszane w klubie, przyprawione iście francuzką werwą i dowcipem. Słuchając go, walczyłam ciągle z wątpliwościami: „czy on mówi prawdę? choć mówi tak ładnie!“

Służący przyniósł ranną pocztę; zaczęliśmy we troje przeglądać dzienniki — nagle z okrzykiem radości wyczytałam, że do miasta naszego przybędzie słynny profesor Akademii krakowskiej X. i będzie miał odczyty o „Irydyonie“.

Tak dawno pragnęłam poznać znakomitego prelegenta, iż przyjazd jego wprawił mnie w świetny humor. Z wszystkich poetów najulubieńszym był

dla mnie Krasiński; jego mistycyzm, poezya wzniosła, miłość ojczyzny i ta wielka dusza bolejąca za miliony, przemawiała mi do serca, porywała mnie.

Było to więc rozkoszą słyszeć o nim, zwłaszcza gdy tak wymowne usta podjęły się odtwarzać myśl poety.

Zdziwiło mnie, że nasz gość zrazu nie podzielał mego zapału, później, spostrzegłszy mój szczery zachwyt, tłómaczył się, że wprawdzie jest przesycony prelekcyami w Paryżu, a jednak z przyjemnością usłyszy o Krasińskim. Zaczął rozwodzić się nad duchem polskiego wieszcza, skoro jednak babka wszczęła temat o Massynisie i Elsinoe, robiąc bardzo trafne uwagi, pan Alfons okazał zupełną nieznajomość bohaterów Irydiona, lecz nie tracąc odwagi z zwykłą pewnością siebie wybrnął z odpowiedzi.

Babcia znacząco spojrzała na mnie, ale wyznaję, że miałam głowę tak zajętą przyszłemi prelekcyami, iż nie słuchałam rozmowy, a myśl wybiegła daleko, w te nie zapomniane chwile młodości, gdy pełna zapału deklamowałam całe ustępy poematu:

„Gdzież jesteś synu zemsty, synu pieśni mojej? w jakiej ziemi spoczywają zwłoki twoje? duch twój pomiędzy jakiemi duchami?“...

Przez tydzień nie widziałam ani razu moich znajomych; mówiono, że pan Ludwik smutny, przygnębiony, nie pokazywał się światu, lecz zagrzebał gdzieś na wsi, a przeciwnie pan Alfons bywał wszędzie: w teatrze siedział w proscenium, u hrabiny Z. deklamował na raucie, na obiedzie u państwa St. przemawiał, słowem — w wielkim świecie było go pełno. Przyznać muszę, tu w ciszy mego po-

koiku, że w miarę opowiadania o tylu powodzeniach w oczach moich rósł na bohatera i nie mogłam oprzeć się pokusie myślenia o nim... Czyż nie był on wcieleniem wszystkich zalet towarzyskich, ideałem moich panieńskich marzeń?...

Tymczasem zapowiedziany przyjazd profesora X. niebawem przyszedł do skutku i z bijącem sercem wchodziłam na olbrzymią salę L. zapchaną tłumem, gdzie miały się odbywać odczyty.

Po chwili ukazał się prelegent, powitany grzmotem oklasków, a potem wśród niezwykłej ciszy rozległ się głos jego harmonijny. Mówił pięknie i ślicznym językiem; roztaczał przed publicznością walki syna klasycznej Hellady, jego miłość ojczyzny, tej nieszczęśliwej ziemi, jęczącej pod pręgierzem wszechmocnego Rzymu; wiódł zasłuchanych przez wspaniałe lub ponure obrazy, stanowiące tło poematu.

Byłam prawdziwie zachwyconą. Duszą błądziłam to w dumnych Heliogabala pałacach, to w cichych podziemiach chrześcijańskich między wyznawcami Ukrzyżowanego.

Na sali panowało skupienie; nawet tym, którzy Krasińskim mniej się zachwycają, trudno było oprzeć się potędze słowa i czarowi posępnej poezyi Irydyona. — Bezwiednie wzrok mój spoczął na panu Ludwiku, który niedaleko nas zajmował krzesło. Uderzył mnie wyraz jego oczu; jak gdyby niewidzialna ręka jakaś zapaliła w nich tajemne ognie, płonęły one blaskiem wiedzy i głębokiej rozwagi. Zdawał się nie widzieć nikogo, zawisł gdzieś w świecie myśli, a na twarzy zwykle spokojnej, niewzru-

szonej, praca ducha wycisnęła swoje piętno. Tak był przeistoczony, niemal piękny, że trudno mi było w tej chwili poznać w nim nieśmiałego, skromnego młodzieńca; uczułam nagle ten sam dawniejszy, dziwny, nieopisany żal czy niepokój w sercu.. Z kolei poszukałam wzrokiem pana Alfonsa i... zadrzałam. Głowę miał lekko pochyloną, usta trochę naprzód wysunięte, a pierś podnosiła się miarowo, rytmicznie. O zgrozo!... o ironio losu! mój ideał spał!

Zacisnęłam zęby, rumieniec oblał twarz moją; chciałam odwrócić głowę od tego śmiesznego widoku, ale w uszach zabrzmiało mi nagle słowo „blagier“.

Mimo wszelkich wysileń nie mogłam już ducha skupić; w głowie powstał chaos, zamęt dziwny, z którego to tylko było mi jasnem, że czułam się we własnej opinii upokorzoną.

Prelegent skończył. W sali rozległy się serdeczne oklaski, poczem zrobił się ruch, gwar nieopisany. Znajomi witali znajomych, panie szczebiotały wesoło, jedni unosili się nad wymową profesora, drudzy krytykowali wybór tematu.

Do uszu moich doleciał donośny głos pana Alfonsa, mówiący tak, abym go usłyszeć mogła:

C'était divin! Je suis encore sous le charme de cette poésie sublime!... A przytem co za świetna wymowa! Według mnie, gdyby Krasiński był...“

Nie, tego było mi za wiele. Szybko odsunęłam się w przeciwną stronę, aby nie słuchać dłużej blagi pana Alfonsa, i nieśmiało spojrzałam po sali.

W zacienionym kącie stał Ludwik w towarzystwie starszego jakiegoś pana i rozmawiał z nim

poważnie. W oczach zgasły mu blaski, lecz cień smutku, który powlókł jego oblicze. dodawał mu dużo sympatycznego wdzięku.

Uśmiechnęłam się do niego przyjaźnie i dostrzegłam, jak płomień przeszedł po jego twarzy, chwilę zawahał się niepewny, potem porwany nagłem postanowieniem szybko zbliżył się do mnie.

Podałam mu rękę.

— Chciałabym, żeby pan jutro do nas przyszedł; odczytamy razem „Irydyona“ i pan pomożesz mi zrozumieć trudniejsze ustępy... Czy dobrze?

— Pani, będzie to dla mnie prawdziwem szczęściem — rzekł, ujmując rękę moją w gorącym uścisku.

Kilka wieczorów spędziliśmy razem na poważnem czytaniu Krasińskiego. Może słabą głową niewieścią nie pojęłam zupełnie wielkich idei wieszcza; ale zrozumiałam, że popisywanie się rozumem nie dowodzi głębokiej wiedzy, a nad wszystkie zalety towarzyskie więcej warte prawe, gorące i szlachetne serce.

— I cóż dalej? — pytasz miły czytelniku. — Dalej nic więcej, tylko Numa poszła za Pompiliusza i dziś, po wielu latach szczęśliwego pożycia... nie wśród gwaru stolicy, lecz w miłem wiejskiem ustroniu... nieraz jeszcze Ludwik przypomina mi z uśmiechem, że prelekcya profesora X. przyczyniła się po części do naszego szczęścia.

Dla mojej księżniczki.

I lilia wodna może przeczuć burzę,
Kwiat czuje — ona miała czucie kwiatu.
J. Sł.

Wujcio? czemu ten straszny pan z rudą brodą tak często tu przychodzi? Czemu on mi wujcia zabiera co dzień na długie godziny?

— Cicho, dziecko, nie przeszkadzaj mi.

Dobrze, ale niech wujcio odpowie, czy to prawda, że on wujcia prowadzi do jakiejś jaskini?

Zaśmiałem się.

— Do jaskini? Zkąd ci to do głowy przyszło?

— Dla tego, że Nastusia wczoraj mówiła do miss Attinson: „pewnie znowu polazł do tej jaskini. Skaranie Boże! Jeno tam zdrowie i święty czas traci i zawsze z pustą kieszenią wraca.“

Zaczerwieniłem się po uszy, a ona śliczny swój buziaczek tuląc do mojej twarzy, prosiła:

— Nie chódź tam wujcio, nie chódź, ja się tak boję, aby ci ten rudy pan czego złego nie zrobił.

On tak brzydko patrzy. Zupełnie inaczej jak wujcio, albo i pan Seweryn.

Odsunąłem ją trochę gniewny.

— Lińciu, dzieci nie powinny starszych sądzić, bo się na tem nie znają, idź lepiej — skończyć zadania.

Spuściła smutno główkę.

— To niech mi wujcio choć wytłomaczy, gdzie jest ta jaskinia. Czy ona się znajduje pod ziemią? Czy tam słonko Boże nie dochodzi? Czy tam są złodzieje, że wujcio powraca z niej coraz biedniejszy?

Zerwałem się rozdrażniony.

Słowa dziecka dotykały otwartej rany sumienia, bardzo obciążonego.

— Dosyć tych bredni Lińciu, — myślałem, że masz więcej rozumu. Czy można dawać wiarę paplaniu ordynarnej kucharki? Widzę, że z ciebie niedowarzony i nieznośny dzieciak. Idź sobie!

Szafirowe jej oczy napełniły się łzami i zalękniona odeszła.

Nie zwyczajną była szorstkich słów; po śmierci matki, stryjecznej siostry mojej, gdy miała trzy lata i została bez dachu, zupełnie sama na świecie, — z konieczności wziąłem ją do mego kawalerskiego mieszkania i odtąd nie rozłączyłem się z nią nigdy.

Opisać nie potrafię, jak ja tę ostatnią po Zosi spuściznę pokochałem nieomal od pierwszego wieczoru, gdy niby świegot ptaszka, dźwięczny jej głos rozległ się w mojem pustem i dotąd samotnem mieszkaniu. Była złotowłosa, ciemnooka i ciemnobrewa jak matka — od razu i na zawsze zdobyła sobie moje serce! Bo przecież tyle lat minęło od chwili,

kiedy Zosię, ubogą kuzynkę, sierotę, przywiózł stary Szumowski do domu moich rodziców, a pamiętam dobrze, że od tego dnia obraz jej nie opuścił mnie nigdy.

Kochałem ją, gdy byłem podlotkiem, ona prawie niemowlęciem — kochałem, gdym wyrósł na gimnazyastę i słuchacza agronomii w Hali, elewa na wsi i dziedzica, w końcu, gdym został starym kawalerem.

Kochałem, gdy powiedziała: „nie mogę cię poślubić kuzynku, bo serce moje oddałam innemu“ — i wówczas, gdy śliczne oczy pełne miłości zwracała na męża — i wówczas, gdy umierając, gasnącym prosiła mnie głosem:

— Zygmuncie, weź ją, moją sierotkę i kochaj jak...

Lińcia może nie była tak dobrze wychowaną, jak inne dziewczynki w jej wieku i położeniu — czasem śmiała się za głośno, lub śpiewała niestosowne piosnki, nie miałem bowiem pojęcia, jak się hoduje kwiaty lub panienki, ale że prócz mnie, nie został jej nikt na ziemi, że była od urodzenia wątła i przezroczysta, że przedewszystkiem tak żywo przypominała matkę, więc nie umiałem jej łajać, tylko całować i pieścić.

Stała się też wrażliwą jak mimoza, łaknąca pieszczoty, jak kamelia słonecznych pocałunków i po trochu despotka, bom wszystkie jej zachcianki sumiennie wypełniał.

Miss Garty Attinson, z którą mnie łączyły wieloletnie węzły przyjaźni i zaufania, gdyż wychowała moją stryjeczną siostrę, podjęła się kierować Lińcią, ale że z wiekiem i ona stała się bardzo pobłażliwą,

więc dziewczynka najczęściej robiła, co jej się podobało.

Może najenergiczniej umiała występować kucharka Nastusia, także familijny zabytek przeszłości, której ofiarowałem miejsce u siebie, bo była głuchą i nikt jej wziąć nie chciał, ale gdy przyszło do jakich zajść z Lińcią, to najczęściej potem wszystkie gromy spadały na moją głowę:

— Jaśnie pan wszyćkiemu winien, po co dziecko do kaszy przynaglać! A nie znosić mu łakoci, że z przeproszeniem wszyćkie kieszenie jeno potłuszczone, a fartuszki dziecka posmolone, to by zaś na zupkę Nastusi miało dobrą smakę.

Słuchałem spokojnie perory Nastusi, co najwyżej uciekając do kancelaryi, bo taka była już moja natura, że kobiecie nic przykrego nie śmiałem powiedzieć, a cóż dopiero zasłużonej, poczciwej słudze, która dwadzieścia lat pełniła obowiązki kucharki w domu rodzicielskim i przypominała żywo złote czasy dzieciństwa!

Chcąc być zupełnie szczerym, wyznać muszę, że nietylko białogłowy rządziły mną jak starym pantoflem — w domu rządziło mną rodzeństwo, owa nad wszystko ukochana Zosia, łagodną stanowczością prowadziła do swoich celów, które dzięki Bogu, były najwznioślejszemi celami, brat o dwa lata tylko starszy traktował z góry, odsuwał od innych interesów rodzinnych a nierzadko wyzyskiwał.

W gimnazyum koledzy przezwali mnie z razu „babą“, potem „księdzem“, „poczciwym Muniem“, w końcu „złotym Muniem“, a każdy brał odemnie, czego potrzebował, pióra czy zeszytu, parasola, czy

szeląg, a nigdy nie oddawał, bo się nie dopominałem, uważając to za zbrodnię przeciw koleżeństwu, tylko byłem o tyle krótkowidzem, iż nie dostrzegłem, że inni te zbrodnie popełniali bez zająknienia.

Uczyłem się średnio; nie brakło mi talentu do języków, do śpiewu i muzyki — mniej do greki i łaciny, co było też powodem, że matury nie zdałem.

Po śmierci ojca dostał mi się majątek ziemski Wierzenie, z dużym dworem i parkiem, ale że ziemia była piasczysta, ja z natury leniwy i w agronomii nie wykształcony, po sześciu latach mozołu zacząłem żyć z kapitału, hypoteki obciążać, i stryj Boleś, brat ojca, namówił mnie na sprzedaż Wierzenia. Szczęściem trafił się kupiec, Polak, sprężysty i rzutny, który się pracy nie lękał — i ten, dobrą cenę zapłaciwszy — Wierzenie objął. Ja powędrowałem do miasta i osiedliłem się w X: gdzie mieszkała Zosia, wyszedłszy za literata, z wysokiej arystokracyi, lecz niemajętnego; w jej towarzystwie czas tak mi prędko upływał, iż się nie spostrzegłem, jak drugie sześć lat minęło, jak trzydziestka przesunęła się niepowrotnie i pierwsze srebrne nitki ukazały na skroniach. Wprawdzie była to spóścizna po ś. p. matce siwej jak gołąbek, mimo to, witałem ze zgrozą te zwiastuny przedwczesnej jesieni!

Czem się przez te sześć lat zajmowałem w mieście? sam nie wiem. Za mało majętny, by się na kupno wsi ryzykować, za mienny, abym się czuł obowiązany do pracy, czas trwoniłem na wygodnem życiu i grze w karty.

Brat starszy objął majątek rodzinny, a że się tam potomstwo sypało, czasy były ciężkie, potrzebował kapitału na dreny, czyż więc mogłem odmówić mu mojej części? Zresztą płacił regularnie 4 procent i byliśmy obaj zadowoleni.

Do pań miałem połowiczne szczęście, wszystkie mnie lubiły, żadna nie kochała. Jak koledzy, tak i niejedne karminowe usta powtarzały: „Złoty pan Munio,“ „Poczciwy pan Munio,“ a listów, depesz z obstalunkami kapeluszy etc. było u mnie kilka na dzień. Choć nie dawałem żadnej rękojmi pracy, choć miałem tyle zasług obywatelskich, ile ma przydrożny słup drzewa liści, to znaczy żadnych, swatano mnie na wszystkie strony i słowo, daję że z tem mojem połowicznem szczęściem mogłem nawet świetną zrobić partyę.

Tylko, że ja już chyba przeznaczony byłem na starego kawalera, bo obraz Zosi stale gościł w mem sercu, a potem po jej ślubie, nad poważne obowiązki małżeńskiego żywota, nad kajdany hymenu przekładałem efemerycznie zakwietnione łańcuchy salonowego flirtu.

Raz jeden za namową brata o mało nie związałem się z bogatą jedynaczką sąsiada Wierzenia, ale gdym się tu i owdzie nie stawił na wezwanie kapryśnéj Celiny, oddała rękę hr. N.

Odtąd zacząłem się wycofywać z rzędu ludzi gotowych do hymenu, a gdy jeszcze uderzył grom za gromem, śmierć szwagra, dwojga starszych ich dzieci, ubóstwianej Zosi, stałem się odludkiem, mizantropem, twarz zaś moja smutna i głowa okryta siwizną, oddzieliły mnie na długie lata od świata żyjących ludzi.

Dziś jestem hors de concours.

Wówczas to, abym nie zmarniał do reszty, Bóg zesłał mi Lińcię. Było nam razem dobrze i miło, jak w raju — i byłoby tak mogło zostać do śmierci, gdybym obok miłości dziecka, które mi ognisko domowe czyniło weselszem, był miał zajęcie. Ale nawykły do próżniactwa, teraz mniej, niż kiedykolwiek czułem potrzebę pracy. Lińcia osóbką swoją zasłoniła mi resztki dość ograniczonego horyzontu myśli. Ach! gdyby była mogła zerwać i więzy nałożone przez zgubne wpływy pseudoprzyjaciół, którym ulegałem, przez namiętność, trawiącą najpiękniejsze lata młodości przy zielonym stoliku! Ale to nie leżało w mocy Lińci, ani żadnéj panienki ze świata, w którym raz po raz się ukazywać począłem. Jeżeli jakie oblicze spowodowało mi niepokój i noc bezsenną, to z pewnością, nie żadnej Halki, lub Tereni, tylko bezmyślna twarz pikowej damy. Ona jedna rywalizować mogła z Lińcią.

Były przecież dnie, w których moja pieszczotka brała górę nad damą karcianą tak dalece, iż zaniedbałem moją codzienną wędrówkę do klubu. Na przykład gdy po chorobie trzeba było dziecko wywozić za miasto, lub gdy ono rozgrymaszone, oplotło mi szyję rączętami i płaczliwym mówiło głosem:

— Wujcio zostanie, wujcio dziś nie pójdzie, ja nie chcę z Garty sama zostać, ja się nudzę z Garty.

Kiedy biedactwo zapadło na zapalenie błony płucnej, w obawie o jej życie, całe trzy dni nie wychodziłem z mieszkania.

Wówczas taki popłoch powstał pomiędzy przyjaciołmi klubu, tylu ich przyszło zobaczyć, czy żyję, tak nademną wołano:

— Munio, co się z tobą dzieje! Munio, czyś ty się już w kompletną niańkę zamienił? Munio! żebyś wiedział, coś ty stracił, człowieku, człowieku! powiadam ci gratka bajeczna! Antoś tu był, miał przy sobie bite za wełnę i zgraliśmy chłopca do nitki! Do nitki! — rozumiesz mnie? Henryk lwią część zabrał, ale i nam się okroiło nieźle.

Po prostu nie wiedziałem, jak się bronić przed tym gradem przycinków, wyrzutów, często drwinek.

— Wprawdzie miałem ja w duszy trochę odmienne zasady, co do owego „zgrania chłopca do nitki," coś się zawsze szarpnęło we mnie na tym podobne powiedzenia, ale nauczyłem się powoli, powoli tłumić sentymentalne uczucia. Ba! zresztą ileż razy i mnie zgrano „do nitki," to jest do ostatniego fenyga procentu, który miał na cały rok starczyć. Zwłaszcza dawniej, gdy nie było w domu Lińci i żyło się z dnia na dzień. Teraz starałem się być w grze ostrożniejszym, a wogóle mniej wychodziłem z domu, bo z każdym rokiem ten dom miał więcej dla mnie powabu. Dziewczynka, wątła i nikła, pod niektóremi względami bardzo dziecinna, wrażliwa, miała spostrzeżenia nad wiek trafne i bystre. Dystyngowana jak księżniczka, była, co się zowie, fine d'esprit, jej zmysł odczuwania i przeczuwania nieraz mnie zastanawiał; — instynktem niewinnego serca odgadywała, co się w duszach ludzkich, w mojej przedewszystkiem, dzieje.

Litościwa dla biednych i upośledzonych; dla osób, o których sobie wyrobiła przekonanie, że są złe, szacunku nie warte, była niegrzeczną. Na tym punkcie miałem z nią nieraz biedę, gdy nie chciała

pocałować w rękę starej Nossalskiej, z powodu, że pani sędzina dla Missy nie dość była uprzejmą, a największą antypatyą pałała przeciw Leonowi Woliwodzkiemu, najdawniejszemu memu koledze.

Dziecko przeczuło, że ten człowiek miał wpływ na bieg całego życia mego, i to wpływ ujemny. Jak Deus ex machina zjawiał się zawsze w chwili, gdym stał na przełomie i rady potrzebował. Najczęściej nie podobały mi się jego wywody i rady, a mimo to słuchałem go ślepo, bo po prostu magnetyzował mnie silną wolą, stanowczą decyzyą, wyrobionym sądem.

Leon Woliwodzki nie przedstawiał przyjemnego typu dla przeciętnego widza; długa ruda wymuskana broda, oczy przenikliwo badawcze, nos wygięty, dawały jego twarzy wyraz sępa.

My, koledzy, tak przyzwyczailiśmy się do niej, że nie wiedzieliśmy, czy jest ładna lub brzydka, ale wielu osobom był antypatyczny.

Lińcia czuła wprost odrazę — gdy ją chciał pocałować, broniła się ucieczką, a gdy ją dosięgnął, biegła się umyć, tak ją dotknięcie tego człowieka brzydziło.

Z biegiem lat antypatya jej wzrastała.

— Jeszczebym mu „to“ darowała — mówiła rozdąsana (były to aluzye do onych skradzionych pocałunków) — gdyby mówił prawdę. Ale on bardzo kłamie, wujcia wcale nie kocha i nigdy prosto w oczy nie patrzy.

Czy kłamał? nie wiem. To tylko pewna, że nikt tak jak Leon nie potrafił mnie namówić, by iść tam, dokąd pójść nie zamierzałem, uwierzyć w to, co mi się wydawało wiary niegodnem.

Zresztą ten sam wpływ wywierał na całą młodzież, zwłaszcza najmłodszą; słuchano go jak wyroczni, naśladowano ubiór, ton, gesta, sposób wyrażania się.

Leon, któregośmy przezwali Sofizmatem, miał sposób wyśmiewania wszystkiego, co szlachetne, tradycyą rodzinną uświęcone, co polskie. Po rozmowie z nim, gdyś wszedł w głąb siebie, świątynia twego ducha zdawała ci się odartą z dawnych, poczciwych wspomnień — wierzenia twoje leżały spaczone, w gruzach rozbite — a złowieszcze echo jego głosu powtarzało:

— Wszystko głupstwo, babskie brednie i wymysły — niech żyją: pieniądz, wino i kobiety!

Powinien był dodać i „karty“ — bo te chyba dostarczyły mu największych rozkoszy, ale się do nich nie przyznawał:

— Ja bo nie gram i nie lubię kart — mawiał, albo: — U nas nie grają wcale. To nie jest gra, to dziecinna zabawka, równająca się chyba brukowym zapasom włoskich Lazzarone... Jedźcie do Berlina, Ostendy, Monaco, a zobaczycie tam co innego.

A jednak sam byłem świadkiem, jaki zamęt sprawiały w niejednej rodzinie te zapasy polskich lazzarone!... sam byłem świadkiem scen rozpaczy, zbrodniczych zamiarów! Nieraz ciężyła mi własna do kart pasya, przeklinałem ją, lecz się z niej otrząsnąć nie miałem sił.

I cóż było zresztą robić na tym szarym, miejskim bruku? Czem zabić czas, wlokący się niemiłosiernie?

Za młodu czarowały mnie śpiew i muzyka, ale Poznań dostarczał za mało artystycznych wrażeń. Cza-

sem zjawiały się na horyzoncie takie gwiazdy, jak Mierzwiński, Paderewski, Śliwiński, Modrzejewska, po tem jeszcze głębsze cienie zalegały niebo artyzmu.

Więc, czy dziwić się można, że z prostej potrzeby jakiegośkolwiek, choćby fikcyjnego zajęcia, szedłem do klubu, albo pod nr. 6 do Sofizmata, gdzie się zbierało kółko najpracowitszych próżniaków, gdzie mnie witano okrzykami radości:

— Munio! jak się masz — dobrze żeś przyszedł, zrobimy partyjkę.

Choć partyjka przeciągała się często do świtu, nie było w tem zbrodni — sami widzicie — tylko może... może... powolne odrętwianie władz duszy i serca, zacieranie zmysłu etycznego i moralnego — przeświadczenie o bankructwie ducha.

Dopiero witający mnie głos dziecka wciskał się w najtajniejsze zakątki serca i budził drzemiące w niem echa piękna i dobra.

— Wujcio, tyś znowu smutny — mówiła — tak długo, długo czekałam za wujciem. Bo ja coś mam, coś znalazłam.

— No cóż to takiego — pokaż mi.

— O patrz wujcio — książeczka mamy z wierszami... Bardzo ładne niektóre. Te, co wujcio wpisał mamusi, już umiem na pamięć.

I zwracając swe myślące oczy ku niebu, mówiła z przejęciem:

Bywają kwiaty, co nie oglądały
Nigdy promyków słońca wschodzącego,
Co tęsknej pieśni głosu słowiczego,
Ani świegotu ptasząt nie słyszały!...

Bywają serca! och jak ich jest wiele,
Tych dusz samotnych, co nigdy nie znały,
Czem miłość, szczęście, czem serca wesele.
Ach! one nawet i zdradzić nie śmiały
Swojej miłości..

Bo nikt ich w zamian nie kochał na świecie...
Więc, jak to biedne, porzucone kwiecie,
Co rosło sobie zapomniane w cieni,
Tak one zwiędły — bez słońca promieni!

A widząc, że oczy przysłaniałem dłonią,

— Wujcio, czy ty płaczesz? dla czego? To ja co weselszego powiem wujciowi:

Z powiewem wiosny,
Na moją duszę
Spływają cudne wonie,
I tylko patrzeć a słuchać muszę,
Wyciągać w niebo dłonie...
Tak mi świat cały zdaje się radosny —
Z powiewem wiosny!

I jakże jej nie było kochać, tej złotowłosej ptaszynki, jakże się nie rozśmiać, nie okazać jej wesołej twarzy? Była przytem tak zabawna!

Raz, gdym ją sobie wziął na kolana i gorącemi pocałunkami obsypywał jej główkę i śliczną buzię, ona, widocznie zafrasowana, z poważną minką powiedziała mi:

— Wie wujcio co? musimy się dziś uściskać mocno i serdecznie, bo to jutro pierwszy maj — i później nie będzie mi już wolno...

— Pierwszy maj? i dla czego w maju nie mamy się uściskać?

— Nie wie wujcio? przecie to moje urodziny, kończę lat dziesięć. Miss Attinson twierdzi, że jestem

za duża, aby się z wujaszkiem tak ciągle pieścić. Powinnam tylko czoło, ot tak, schylić i wujcia z uszanowaniem pocałować w rękę.

Poczułem nienawiść do tej Attinson. Zwaryowała baba na czyste. Niedawno zakazała Lińci siadać mi na kolana, obejmować głowę rączkami i swoją do piersi przytulać, teraz rozciąga kontrolę nad pieszczotami dziecka. Zrobi mi z Lińci sztywną, pretensyonalną donzelę, cedzącą każde słowo, stąpającą cicho — dziękuję.

W smutnem starokawalerskiem życiu mojem pieszczoty tego dziecka, toż to jedyne jaśniejsze promyki. Ile razy wracam znudzony życiem, przeklinający szarą dolę i głupotę moją, ile razy się czuję zmęczony tem, że nic nie robię, że do żadnej lepszej sprawy nie przyłożyłem ręki, ta jasna główka, wychylająca się z okna, przeczy pesymistycznym myślom. Te ciemne oczy zdają się mówić: wszakże mnie masz wujcio, więc masz cel w życiu. Tyś pisklę wyrzucone z gniazda przytulił, ogrzał ciepłem twego serca.

Więc kocham to dziecko, nietylko jako pamiątkę po siostrze i moją chrześniaczkę, ale jako wcielenie jedynego mego dobrego uczynku. Chciałbym, aby się dobrze wychowała, widzę w niej zarodki ślicznych cnót, które zdobiły serce Zosi, drżę, aby mi jej kto nie spaczył, nie zepsuł. Sam niedoświadczony w pielęgnowaniu takich kwiatów, słucham nabożnie, co miss Attinson orzeknie, boć ona wychowała Zosię... Często bywa jednak, że muszę palce zaciskać, aby nie wybuchnąć protestem, tak mi się niektóre zapatrywania Angielki wydawają przesadzone i niesłuszne.

Ot, na przykład, czemu ona wykreśliła z programu tę zabawę Lińci w „pana i fryzyera“, którą tak lubiłem? Działo się tak. Cichutko siadam po obiedzie na bujającem krześle i biorąc gazetę do ręki, niby to czytam, a właściwie drzemię. Lińcia przysuwa sobie stołek, aby być wyższą, zakłada mi ręcznik (czasem jakieś długie, białe okrycie, podobno peignoir miss Garty) i zaczyna się czupryną moją bawić, czesze, gładzi, prostuje linie, polewa kolońską wodą, nierzadko nawet targa, ale to mi taką satysfakcyę sprawia, że chętnie za nią kępami włosów płacę.

Attinson krzywo na to patrząca, bardzo często stawała na progu kancelaryi i zawsze mówiła:

— Lińcia venez faire votre dictée, vous avez laissé vos cahiers en désordre.

W końcu zupełnie wyperswadowała Lińci fryzyerstwo, a ja nieborak nie śmiałem stanąć przeciw rozkazowi tak zasłużonej osoby.

Raz jeden pamiętam, gdy się zdarzyło, że miss właśnie po południu miała sprawunki na mieście, czytając gazetę tak wzdychałem, tak błagalnie zaglądałem w oczy Lińci, że w lot sprytne dziewczę domyśliło się, za czem tęsknię i nuż doskoczy do mojej głowy czesać, paluszkami przebierać...

Uściskałem ją z wszystkich sił i nic nie mówiąc, pomagałem coprędzej rzeczy poskładać, aby się Attinson nie spostrzegła, nie wyłajała Lińci i nie samej Lińci...

Kiedy nam zanadto dokuczyła Attinson, sprzeciwiałem się jej, że się ożenię. Nic na świecie nie mogło jej tak zatrwożyć, jak myśl, że na starość

popełnię to... przepraszam, głupstwo, a znając chwiejność mego charakteru, drżała, abym się nie dał usidlić jakiej niegodnej kobiecie, którąby Lińci potem zatruła życie.

Rzeczywiście, zestawiwszy moją łatwowierność i dobroduszność z odcieniem romantycznych upodobań, byłem, co się zowie, gotowym materyałem na męża i zdawało się, że każda, która mnie swatać zechce, ma zwysięstwo z góry zapewnione. A jednak... z pod matrymonialnej wędki umiałem się wykręcić po mistrzowsku.

Lińcia swojem bystrem pojęciem odgadła to. Kiedy miała lat sześć, już powtarzała:

— Ja wiem, że się wujcio nigdy nie ożeni, tylko tak mówi na żarty.

— A czy nie chciałabyś, abym się ożenił?

— O nie — chyba, że zemną, albo z miss Garty, to byłoby mi wszystko jedno.

— Wszystko jedno? a to doskonałe! wytłomacz mi, bo nic nie rozumiem.

— Widzisz, wujcio — jeśli się ożenisz ze mną, to Gertuchna mnie nie opuści, bo ją zatrzymam przy sobie, a jeśli ona będzie wujka żoną, to stanie się moją mamą i do śmierci zostaniemy wszyscy troje razem.

— A cobyś powiedziała, gdybym się z Nastusią ożenił?

Dziecko pokręciło główką.

— O, Nastusia by wujka nie chciała nigdy, nigdy...

— A to wyborne! zkąd masz tę pewność, żeby mnie nie chciała za męża? Czyś mnie już oświadczyła i ona dała kosza?

— Bo ona zawsze na wujka marudzi — szczególniej, gdy się wujcio spóźni na kolacyą, albo jak ci panowie, ten łysy i ten rudy, długo z wujkiem się bawią. Nastusia mówi:

Tu naśladując jej gwarę:

— Zatracenie, skaranie Boskie z tym jaśnie panem — człek sobie prosto rady dać nie może. Adyćbym wolała kamienie tłuc na drodze, jak po tych nic-potem uprzątać. Jezusie Ukrzyżowany, ratuj go.

Wówczas jeszcze śmiałem się z krytyki głuchej Nastki, bawiła mnie nieskończenie jej złość na cały ród męski, odwiedzający moją pustelnią. Ach! bo miałem sumienie czyste... Ale od pewnego czasu każde takie słowo, w lot schwycone i powtórzone przez sprytną Lińcię, przyprawiało mnie o zły humor.

— Baba mi zepsuje dziecko. Niech patrzy swego rądla — myślałem z gniewem — a nie wtrąca się do tego, co robię, kogo przyjmuję.

Byłem zły na świat cały: na Attinson, że jej się raz po raz broda trzęsie, na Nastkę, że nie dość smacznie warzy i wtrąca swoje trzy grosze do rozmowy, czasem i na Lińcię, że nic nie rośnie i wygląda, jak gdybym ją głodził.

Byłem zły na siebie, bo los uwziął się na mnie i od dwóch tygodni przegrywałem znacznie i stale. Trapiła mnie zmora przegranej, przegranej bardzo poważnej, mogącej mnie zaprowadzić daleko...

Chciałem koniecznie zwalczyć nieszczęście, lecz okazało się silniejszem — szło wciąż za mną, wyzywając do boju, a gdym się chciał zmierzyć, pokonywało jednym zamachem.

Maluczko — a spotkam się oko w oko z ruiną!

Włosy najeżyły mi się na głowie... Mniejsza o mnie, ale Lińcia! To delikatne cacko, wyniesione z ołtarza, na którym je od urodzenia postawiłem, wyrzucone gdzieś do suteryn!...

Lińcia, nie mogąca nosić białych sukienek, pozbawiona na śniadanie wzmacniających bulionów, stykająca się z biedą i brudem — biegająca po mieście za lekcyami, lub za szyciem!...

Ta dumna księżniczka, nie umiejąca grosza utrzymać w portmonetce, choć ją tak często wypełniałem po brzegi!... Toć lepiej było wziąć ją na ręce i razem wskoczyć w nurty rzeki!

Gorąco robiło mi się na samą myśl, pulsa drżały i nie mogłem doczekać spokojnie chwili walki — a zbroiłem się w cierpliwość godną lepszej sprawy.

Ledwie spożyłem obiad, który ku Nastusi utrapieniu, nigdy mi już nie smakował, biegłem do klubu zacięty, rozgorączkowany.

Graliśmy tam do 5-tej, poczem wracałem zajrzeć do Lińci i po jej kolacyi pędziłem do gry pod nr. 6. Dziesięć ostatnich dni nie położyłem się przed 4-tą a byłbym grał i do 8-mej, 10-tej — gdybym był znalazł partnerów. Wszystko się na mnie sprzysięgło. Cyfry przegranej sam nawet nie znałem, bo Sofizmat kredytował.

Kilka razy Seweryn mnie ostrzegał, abym tak dużo nie stawiał; jego cioteczny brat, Stach B., któregośmy bebusiem, dla młodego wieku zwali, prosił, abym pozwolił się zastąpić, ale Sofizmat dodawał odwagi.

— Głupstwo — mówił — nieszczęście w karty to jak choroba; trzeba ją zmódz, a nie poddawać się, ani zażywać lekarstw z drugorzędnej apteki. Seweryn i Stach, rozumiesz mnie, to jeszcze niedowarzone smyki, czyli podrzędna apteka.

Może miał słuszność, musiał mieć słuszność, bo zresztą był bezparcyalny. Nie on wygrywał mój grosz, (chciałem przez omyłkę powiedzieć krwawo zapracowany), lecz choć nic na mnie nie zarobił, lubił nad wszystko sensacyjne wypadki. Jednostajność go nużyła, cieszył się nad każdą komedyą czy tragedyą ludzką. I oto jak aktor, który schodzi w podziemia więzienne, by przypatrzeć się mękom bratnich dusz, tak on mnie obserwował, badał, zaglądał do mego wnętrza i widząc moją mękę, drwił z niej, nie mogąc nawet powstrzymać sarkastycznego uśmiechu, który raz poraz wykrzywiał mu usta.

— Zygmuncie nie bądź babą, broń się śmielej, śmielej; „c'est en doublant le jeu qu'on ruine le banquier.“

Machinalnie podwajałem wstawkę, a równocześnie czułem, że tracę grunt pod nogami, że wpadam w jakąś otchłań ciemną i ponurą, zkąd nie wydobędę się już nigdy na światło dzienne.

Całemi dniami chodziłem jak nieprzytomny, majaczyły mi się jakieś krwawe cyfry, w uszach szumiało i brzmiało nieustannie.

— Ośm, dziewięć, dziewięć, neuf à moi.

Nie jadłem prawie nic, ręce mi drżały i tylko raz po raz, po przez mgłę, przysłaniającą oczy, widziałem, że moja Lińcia codzień bledsza, że i ona nie je, jakby w przeczuciu grożącego jej niebezpieczeństwa.

Raz, gdym wychodził z domu, miss Attinson zatrzymała mnie we drzwiach.

— Pan znowu odchodzi! szkoda, bo ta mała niezdrowa, wczoraj cały czas płakała.

Wzdrygnąłem ramionami i ku największemu zdumieniu Angielki, odsunąłem ją i wybiegłem.

— Niech sobie dzieciak popłacze. La grande affaire, popsułem ją i basta.

Ale zanim doszedłem do rogu ulicy, żal mi się dziecka zrobiło, więc wpadłem do najbliższej cukierni i najpiękniejsze łakocie posłałem Lińci:

— Biedactwo moje niech korzysta, póki jeszcze starczy... później, później, o Boże!

I byłbym mógł na myśl o tem później w głos krzyknąć, ale się zaciąłem i zaczerpnąwszy powietrza, jak nurek spuszczający się w bezdenną toń, wszedłem do mieszkania Sofizmata.

Tego dnia szczęście uśmiechnęło mi się nareszcie, — odegrałem trzy tysiące talarów. Była to kropla w morzu przegranej, ale kropla nektaru.

Wieczorem zdobyłem wiele więcej; nazajutrz drugie tyle, a w nocy tak mi się wiodło, że nie wróciłem wcale do siebie, aby nie spłoszyć tego lotnego ptaszka, którego szczęściem zowią...

Przespałem godzinę u Sofizmata, a potem dalej do pracy.

Cały dzień znowu grałem z powodzeniem, pokryłem wszystkie straty, spłaciłem długi i jeszcze dość znaczny zysk pozostawał w kieszeni.

Byłem olśniony i tak szczęśliwy, że nagle z zmęczonego, skurczonego dziada wyrastał ze mnie młodzieniec pełen werwy, humoru... Zaczepiałem

Sofizmata, śmiałem się i, grając, tworzyłem cudne plany na przyszłość. — Wzrok mój, suwając po zielonym stoliku, w barwę nadziei oblekał wszystko. Majaczyła mi się wila pod X., sezon w górach z Lińcią, powozik dla niej i kare konie, spotykane na alei.

Stałem się też w mgnieniu oka bohaterem walecznych braci szermierzy i kochano mnie więcej, niż kiedykolwiek. (Nikt już nie wołał na mnie; „Munio,“ ale „Muńko,“ „Munieczko.“)

Tegoż rana trzech przyjaciół odprowadzić mnie chciało aż do mieszkania, alem się wywijał jak wąż, bo mnie czegoś wstyd było: Angielka, Nastusia, gdyby się przebudziły?

— Sapristi, co ty masz za szczęście, Munieczku, — mówił Seweryn, — prowadząc mnie pod rękę. — Grałeś jak mistrz. Sofizmat może się schować.

A drugi:

Muńko, szczęśliwcze, ty masz szczęście do kart i do ludzi. Bo, słowo honoru, twój tryumf tak mnie cieszył, jak gdybym sam luidory zgarniał do kieszeni. Gdy w mieście rozeszła się pogłoska o twoich świetnych zapasach, nie było tego, którymby się nie radował. — Muńko, tyś się zapewne w czepku urodził.

A trzeci:

— Widziałeś Guga? — blady był jak ściana, — prawda, żeś mu wiele krwi upuścił, ale przecie taki Krezus zniesie więcej. — Ani pojąć nie możesz, jak go koledzy nie cierpią, a ciebie, Munieczku, kochają. I wiesz, że po pierwszej przegranej, — il

voulait filer, aleśmy ptaszka przytrzymali. Phi! phi! lwią część wygranej nam zawdzięczasz, Munieczku, parcequ' il voulait filer...“

— Chcecie się czego napić? spytałem.

— Owszem, bardzo chętnie, jestem dziwnie spragniony.

— Seweryn zaprotestował:

— O tej porze?... Wróble na dachu śpiewałyby o tem jutro! Bądźmy rozsądni.

— No to i cóż, czy pójdziecie dalej?

— Dla czegoż nie, — przecież kłaść się nie warto.

— Bo widzicie — mam kobiety w domu, — babskie plotki, przycinki.

— A tak, masz słuszność.

— Więc do widzenia, do jutra. Ciekawi jesteśmy, jak ci pójdzie z Tulipanem? Przyjeżdża jutro. Ręczę, że Gugo per express przywołał „mentora.“

— Ale ty się Tulipana lękać nie potrzebujesz, podług mnie, grasz stokroć lepiej. Prawda Sewer?

— No, nie zawsze; Munio miewa częste dystrakcye, a Tulipan rachuje na zimno. Lepiej, żeby się przed nim trzymał na baczności.

Zobaczymy zatem jutro, żegnam Was, jestem kolosalnie zmęczony.

— Będziesz spał jak anioł, spoczywając na takich laurach! Tylko wypocznij dobrze Munieczku, abyś mógł stawić mężne czoło Tulipanowi.

— Ho, ho, zobaczycie, nie dam się!

— Brawo Muńko, dzielny jesteś, addio!

Pozbyłem się natrętów. Przytrzymali mnie tak długo i niepotrzebnie na ulicy, a mnie jakiś nagły

pęd gnał ku domowi, gdzie blizko 48 godzin się nie ukazałem. A przytem było mi zimno. W pospiechu zamieniliśmy płaszcze z Sofizmatem i dopiero, gdy odszedł, spostrzegłem omyłkę. No, niech tam. Teraz, gdy już wszystkie mary biedy, ruiny pierzchły, gdy czułem się po dawnemu panem sytuacyi, przypomniałem sobie, żem w ostatnich tygodniach zaniedbał mój dom, a raczej moje dziewczątko. Czy mnie się śniło, że ono chore? że miss Attinson wspomniała o płaczu, o smutku?...

Nie, te śliczne oczy nie powinny znać łez; pewnie to szkodzi cerze panienki; pewnie, a ona i tak już dosyć blada, bardzo blada i taka wątła!

Od jutra inne się życie zacznie. Już się nie dam drugi raz wywieźć w pole. Kanalie... ileż mi złej krwi sprawili! — a tak mnie mają kochać... Tulipan może czekać, zanim się pozwolę drugi raz oskubać. Nie pójdę jutro do klubu, nie pójdę.

Tylko, czy oni zostawią mnie w spokoju? czy nie lepiej będzie choć na krótko ukazać się, aby nie sądzili, że się boję mentora?... Tak, na chwilę iść muszę; zresztą lękać się nie mam powodu, wprawdzie Tulipan ma forsę pieniędzy, ale ja też teraz postawiony na nogi. Warto coś ryzykować, nawet trzeba koniecznie, a jeźli wygram, jeźli wygram!

Mimo świetnej perspektywy nogi drzały podemną, ledwie że dowlokłem się do mieszkania. Ale cóż to, nie mam klucza? Gdzież się klucz mój podział?

Jezus, Marya! Czy ja dobrze widzę, czy mi się śni?... Na ulicy ciemno, w kamienicy całej ciemno, tylko z okien sypialni Lińci przez firanki przedziera się mdłe światło lampy i drzące smugi rozsiewa do koła

W tem świetle jest melancholia czegoś, co kona, jakieś wspomnienie niejasne palących się gromnic przy katafalku, jakaś skarga szczęścia, które gaśnie!...

Upuściłem kij i kapelusz, począłem się bić po piersiach, szukając klucza, ale go nie było. Poruszyłem klamkę nieśmiało, potem coraz głośniej. Stanąłem pod oknem, wołając:

— Miss Attinson, miss Attinson!

Nikt się nie odezwał.

Rozstąp się ziemio, co począć? Gdzież mógł być ten klucz przeklęty!

Nagle oprzytomniałem.

Toć zabrał mi go Sofizmat razem z płaszczem. Nie ma innego sposobu, trzeba biedz do jego mieszkania.

Wpadłem tam jak huragan. Zaspany służący ujrzawszy mnie, aż drgnął, tak się mej twarzy przeląkł:

— Tomaszu, leć prędko do pana Woliwodzkiego i przynieś mi mój płaszcz.

— Płaszcz, Panie Dobrodzieju, który?

— No mój — idźże, skoro mówię.

— Mruknął coś pod nosem i pobiegł, a za chwilę Sofizmat śmiejący się, drwiący z boku mnie zaszedł:

— Co ci jest, co się stało? wyglądasz jak upior, czy cię gdzie napadli, złote runo odebrali?

— Ech! nie baj głupstw, tylko dawaj płaszcz, ledwie się z zmęczenia na nogach trzymam.

— A prawda? i ja spostrzegłem omyłkę; mimo, że twój jest mocno podniszczony, cieszyłem się, iż choć na chwilę ukażę się w piórkach takiego jak ty, Feniksa!

Tomasz przyniósł mi palto.

— Oto jest twoja zguba, deklamował Sofizmat, ale przepowiadam ci, pogromco świata, nowomodny Cezarze, że drugi raz Rubikonu nie przejdziesz. Szczęście twoje wraz z tem miękkiem odzieniem: „couleur crapaud mourant d'amour" przeszło na twego najniższego sługę.

Szczęściu twemu grozi niebezpieczeństwo! Widziałem jeszcze, jak Sofizmat palcem wskazał na czoło, a potem już nic nie widziałem, tylko wiatr niepokoju unosił mnie na swych skrzydłach aż do mieszkania.

W przedsionku paliła się nocna lampka.

— Szczęściu twemu grozi niebezpieczeństwo!

— Szczęście moje, gdzież ono jest? Ach, czy ten Sofizmat ma djabła w sobie?

Z przyległej kuchni dochodziło chrapanie kucharki i jednostajne tik tak ściennego zegara.

Odemknąłem cichutko drzwi wiodące do salonu i przeszedłszy go wzdłóż, przystanąłem na progu Lińci pokoju.

Tam nie spano; dźwięki ukochanego głosu poruszyły mi wszystkie struny serca, były przeciągłe, żałosne, łzami tłumione.

— Garty, my dear, zobacz! Gerciuchna, zobacz raz jeszcze, może wrócił?...

Zdawało mi się, że słyszę jakieś szmery, jakiś głos. Ten głos taki był wystraszony.

— Nie, nie ma — cicho spać, Lincia, spać.

Ale ja nie mogę spać — ja nie chcę. — O my dearest uncle, o my dearest uncle, co się z nim stało? Może go zamordowali gdzie, może się utopił, może go tramwaj przejechał. — O Jezu, Jezu!

— Garty, powiedz, czy on się nie utopił! taki był smutny wczoraj i przedwczoraj i cały tydzień! Widziałaś Gertuchna, on nie jadł leguminy, a Nastusia mówi, że zawsze tak lubił leguminę. — Nie pocałował mnie, kiedy wychodził — nie spojrzał nawet na mnie, gdy mu kapelusz podawałam — Garty, wiesz ty co?

— Cicho Lińcia — powiedziałam spać.

— Ja nie cierpię, nienawidzę tego pana, który do wujka tak często przychodzi, ten z rudą brodą — Sumizmat, jak mówi Nastka, on ma twarz dja... Zawsze coś szepce do ucha wujciowi, gdy jestem w pokoju, z pewnością do złego namawia, z pewnością.

Niecierpię tego pana, ach Boże, może on mego wujka zaprowadził do tej jaskini, może go zabił, mego najdroższego wujka — co Garty?

— Nie kochanko, wujek dla interesów wyjechał — może jutro powróci, albo dziś, on pewno dla interesów odjechał.

— A czemu nic nie mówił i nie dał adresu?

Innym razem zawsze nam powiedział, dokąd jedzie, kiedy wróci — bo nie chciał zostać bez wiadomości o mnie. Lękał się, by mi się co złego nie przytrafiło, a teraz jam taka chora.... głowa mi pęka i tu.... boli. On mnie pewno przestał kochać — nie mam nikogo, coby mnie kochał, O Boże, Boże — to ja już wolę umrzeć!

Usiadła na łóżeczku i poczęła płakać. Nie mogłem dłużej wytrzymać.

Zapukałem silnie do drzwi i nie czekając, wszedłem. Rozległ się krzyk i nagle szczuplutkie

stworzonko boso, w koszulce, drżące całe, pędem wyskoczywszy z łóżka, wpadło mi w objęcia.

— Wujcio! wujcio żyje, wójcio mój najdroższy, mój złoty!

— Jestem, koteczku, aniołku, jestem, wyjechałem etc... musiałem wyjechać, ale otóż jestem.

I całując ją, przyciskając do piersi rozpaloną główkę i mokrą od płaczu twarzyczkę, zaniosłem do łóżka, a było biedactwo jak piórko lekkie i takie drobne, że miałem uczucie, iż niosę pisklę.

Co ci to było, kochanie? gdzie cię boli? powiedz — szeptałem, okrywając ją derkami, bo nagle zatrzęsła nią febra i poczęła drżeć mi w objęciach.

— Głowa bolała, tak bardzo, bardzo bolała od tygodnia, i tu, tu na sercu, coś wciąż puka! myślałam, że umrę, ale teraz już mi lepiej, już mi dobrze zupełnie, mój wujcio, mój jedyny!

I ręce moje konwulsyjnie do ust przyciskając, nie chciała, abym na krok ją odstąpił, tylko poczęła opowiadać, jak z Nastusią biegały po mieście, jak się pytały w składach i przechodniów, czy mnie kto nie widział, jak wieczorem przed obrazem Matki Boskiej paliły lampkę i długo, długo modliły się za mnie, opiece Bożej polecając. Lecz dziś to już wcale sił nie miała wyjść na ulicę, bo jej po nocy nieprzespanej od rana w głowie się kręciło i na sercu bolało tak, że miss przed południem do łóżka ją położyła. Ale i za dnia spać nie mogła, bo jak tylko przymknęła oczy, miała wrażenie, że widzi wujcia przejechanego, albo jego ciało wydobyte z wody.

— Oj, ty niemądre stworzenie! czy ja jestem takim małym szczurem, jak ty, aby się dać przejechać tramwajom? Czy to nie mam laski, by się opędzić złodziejom? A dlaczegoż miałbym się chcieć topić, kiedy w domu mam księżniczkę, która mi rośnie na pociechę starości. Ej, ej, głupiutka jeszcze moja Lińcia, wielkie dziecko, a ja wierzyłem, że to już na pół dorosła panna, z którą rozsądnie pomówić można.

Trafiłem w sedno: uważała się za bardzo rozsądną, lubiła nad wszystko, gdy z nią rozmawiałem poważnie, więc wstyd jej było dziecinnych strachów. Umilkła na chwilę, a ja skorzystałem z tego, by wyrwać ręce uwięzione w jej dłoniach i powstać.

— Teraz, jeśli to prawda, że kochasz wujka, będziesz się starała zasnąć. Bardzo już późno — a jutro, po lekcyach, pojedziemy za miasto.

I wujek nie odejdzie — nigdzie — nigdzie?

— Nie, nie, zostaniemy razem cały dzień.

Schowała główkę i zaśmiała się tym metalicznym, dźwięcznym głosem, tak żywo przypominającym mi matkę, że byłbym za nim szedł na koniec świata.

W salonie Angielka przechadzała się szybko, widocznie zirytowana; kiedym stanął przed nią, przeszyła mnie wzrokiem zranionej lwicy.

Oj, ta mnie dobrze znała! ta nie lękała się dla mnie złodzieja, tramwaju, lub mętnych fal rzeki. A może posądzała o jakąś straszną sprawę, bo gdy się do niej zbliżyłem, by jej podać rękę, ledwie jej dotknęła końcem sztywnych palcy.

— Narobiłem pani kłopotu moją nieobecnością, przepraszam że nie dałem znaku życia, ale nie mia-

łem rzeczywiście chwili czasu, by dać o sobie wiadomość.

— Kłopot, to mniejsze, sir, ale to tak nie idzie, to bardzo jest brzydko, tak dalej iść nie może. Lili tydzień chora, głowa boli, serce boli, pana nie ma, a ja tu sama.

— A czemu pani nie zawezwała doktora?

Wzruszyła ramionami.

— Doktor był trzy razy; doktor zapisał proszki, żelazo, świeże powietrze, ale to nic nie zrobiło dobrze, jak ono żyje w takim niepokój. Jest słabe and nerwowe, bo ma serce kochane i zaraz nieszczęśliwe.

— Bardzo żałuję; fatalna rzecz, że wczoraj wrócić nie mogłem — miałem dużo spraw do załatwienia. Teraz już wszystko ułożyło się po myśli, od jutra jestem wolny. Zostanę z Lińcią cały dzień, zobaczę, czego jej niedostaje i postaram się zaradzić złemu. Good by.

Miss udobruchała się trochę; babinka była zresztą szczerze do mnie przywiązaną, ale w pamięci jej tkwiły jeszcze pewne wspomnienia, pewne epizody kawalerskiego życia, które jej zaufaniem zachwiały. Od śmierci Zosi widmem i postrachem dla niej była każda postać niewieścia, w której Attinsonka upatrywała groźną macochę dla Lińci. Nie domyśliła się tylko, żem wpadł w sidła niebezpieczniejsze jeszcze — damy pikowej!

Ach! jak byłem szczęśliwy, wydostawszy się z matni, jak rozkoszowałem się ciepłem i wygodą mego posłania po tylu dniach zmęczenia, głodu, tantalowych mąk grozy, strachu, przy ciągłem naprężeniu nerwów mózgowych.

Nie mówcie, piękne panie, że gra w karty to próżniactwo, toć to Syzyfowa praca — tylko, że ona nie umie wiązać dwóch końców, nie daje nigdy pełnej satysfakcyi z plonu, lecz sieje ziarna wiecznej żądzy...

Wraca się od niej z pustką w duszy, z zmęczonym umysłem, z jakąś mętną świadomością tego, co dobre i piękne, a co podłe i brudne..

Wraca się od niej, ot tak, jak ja wróciłem, nocą, zakrada się do mieszkania i drży, czy nemezys życia, w zamian za złoto wydarte bliźniemu, nie ukaże po przez szczeliny zamkniętych podwoi takiej drżącej smugi światła, podobnej do szczęścia gasnącego, które za żadne skarby świata odzyskać nie można!

Leżąc, mimo zmęczenia, z otwartemi oczami, rozważałem przebieg dni ostatnich i przysięgałem sobie, że się więcej opętać nie dam... W każdym razie jutro nie pójdę...

A jeżeli aż tu przyjdą po mnie? jeżeli zaczną prosić, namawiać? Mnie tak łatwo zdobyć tą bronią! Zresztą, mogę być bardzo ostrożny, — mogę nie ryzykować dużo, nie przedłużać gry w noc późną — mogę wygrać!

I znów zamajaczyła mi villa pod X., kare kuce powożone drobną rączką Lińci.

Lińci?... poruszyłem się niespokojnie. Jak ona przychudła, zmarniała przez te parę dni! A jak ślicznie umie prosić, przymilać się, uśmiechać...

Więc dla Lińci: lepiej iść — czy pozostać w domu?

Nie, kłamać nie umiem. Czuję wyraźnie, że zostać winienem.

Cóż to — łotr jestem czy rozbójnik? mógłby mnie Bóg ukarać na dziecku. O nieba! na dziecku Zosi...

Przeżegnałem się, powtarzając: „Et ne nos inducas in tentationem. Sed libera nos a malo.“

Nazajutrz Lińcia była chora; gorączka wprawdzie się nie wzmogła, ale jej stan apatyczny, niby niewyraźny, a jednak zatrważający, źle wróżył.

Nie uśmiechnęła się do mnie, nie miała ochoty ani wstać, ani leżeć, ani jeść, ani bawić się.

Po obiedzie wziąłem jej ulubiony zbiorek poezyi i czytałem:

W rozkosznym gaiku wśród kwiatów i krzewów
Wśród rosy i rannych wietrzyka powiewów
Szło Boskie Dzieciątko powoli.

Spostrzegłem, że choć się wysilała, aby słuchać z uwagą, myśl jej gdzieindziej błądziła, a ból chwilami kurczył jej drobne usteczka.

Ktoś zadzwonił i w przedsionku odezwał się głos Sofizmata.

Spojrzałem na Lińcię: była śmiertelnie bladą — i oczy jej rozszerzone trwogą spoczęły na mnie.

Zrozumiałem ich niemą prośbę i uzbrojony w to spojrzenie dzieciny, wyszedłem na spotkanie przyjaciela.

— Cóż to, Munio, marudzisz? — fi donc, czekaliśmy za tobą do trzeciej, ale bez ciebie są bez animuszu. Więc przybiegłem, aby cię zabrać.

— Bardzo żałuję, dziś towarzyszyć ci nie mogę.

— Eh! zwykłe wybiegi — no, nie daj się prosić, widzę ci z oczu, że drżysz z ochoty; warto szczęścia próbować.

I zbliżając się, szepnął mi na ucho:

— Nie bój się, Tulipan wprawdzie przybył, ale wraz z nim stary Brzumowski. Wiesz, jak jest głuchy i nieprzytomny przy grze, „donc c'est lui, qui payera les frais du voyage Tulipana."

Odsunąłem się z mimowolnym ruchem wstrętu.

— Wszystko mi jedno, kto wygra, lub przegra, dziś absolutnie z domu oddalić się nie mogę. Lińcia mi ciężko się rozchorowała.

— Pewnie znowu przesadzasz, na punkcie tego dziewczęcia jesteś skończonym idyo...tą.

— Może być, mam ją jednę na świecie i stracić nie chcę, siostra umierając, oddała mi ją w opiekę.

— No, to też jesteś znakomitym opiekunem; gdybym miał dwa tuziny dzieci, oddałbym ci je wszystkie na wychowanie.

— Proszę cię, nie żartuj, jestem seryo zaniepokojony.

— Bardzo wierzę, ty zawsze jesteś o nią seryo zaniepokojony. Innym nie miałem szczęścia cię oglądać. Śmiesznie doprawdy — a przecież masz w domu dwie stateczne niewiasty, pilnujące twej księżniczki. Czyż to nie najlepsza opieka, wystarczająca nawet, gdyby dziecko było prawdziwie chore? No, cóż? idziesz? czy wolisz ważyć rumianek lub cerować pończoszki Lińci?

— Możesz drwić, jak ci się podoba, nie zmienia to, że dziś towarzyszyć ci nie mogę.

Sofizmat porwał za kapelusz i zabierając się do wyjścia, jeszcze odezwał się szyderczo:

— Choroba to śliczna rzecz, zwłaszcza, gdy przyjdzie tak à propos. Czy możesz oznaczyć, jak długo potrwa?

A widząc, że się oburzam, dodał:

— Znamy się na tem, ptaszku! można było trzy dni z rzędu nie zajrzeć do dziecka, ale teraz, gdy się ma pełną kieszeń złota, to się na prędce wymyśla niepokój. Świetny pomysł!

— Leonie, posuwasz żart za daleko, cierpliwość moja ma także granice; tchórzem nie byłem nigdy i w potrzebie nie będę. Rozumiesz mnie?

— Ho, ho, co za energia! gdzież się to poczciwy Muńko zapędził. Życie moje wisi na włosku, uciekam!... Chyba, że się przeprosisz i pójdziesz ze mną. No, jakże?

Stanął we drzwiach otwartych, chcąc jeszcze próbować swej przewagi — ale tym razem byłem niewzruszony.

Wieczór upłynął spokojnie, atoli przez dni następne Lińci było coraz gorzej, więc oparłem się nowym szturmom ustnym i piśmiennym moich najserdeczniejszych, a oparłem bez żalu, ni zasługi, bo rzeczywiście choroba dziecka przejmowała mnie do głębi.

Nie wiem, co to był za rodzaj cierpienia, bo sam zdrów jak ryba, w chorobach doświadczenia mieć nie mogłem, ale widok niknącego dziecka rozdzierał mi po prostu duszę.

Lińcia miała zawsze cerę białej kamelii, bo lękając się dla niej zimna i słoty, rozpieściłem ją zanadto, ale teraz, w przezroczu jej płci, można było porachować wszystkie żyłki, wązkie, kapryśne, błę-

kitne, które po skroniach jej biegły. Nosek się wydłużył, oczy zwiększyły i patrzały tak jakoś smutno, ach, tak smutno! w daleką przestrzeń. — Zdawało się, że ta przestrzeń nie ma końca ni krańców, ale mknie gdzieś w pustej, czarnej otchłani, zkąd płynęły ku tej wątłej dziewczynce wyziewy, niszczące jej organizm.

W przeciągu dwóch tygodni z drobnej zrobiła się jeszcze smuklejsza i niby wyższa, a taka gibka, taka powiewna, jak łodyga kwiatu z liści obnażona. Nie miała chęci do niczego: ni to czytać, ni grać w halmę, ni śpiewać, ni bawić się w fryzyera.

Doszło do tego, że zaledwie koło południa wstawszy z łóżka, zaraz się pokładała na szezlong i mogła tak godzinami leżeć w milczeniu, z oczami utkwionemi w ową bezbrzeżną przestrzeń.

Stan dziecka mnie przerażał: doktór co dzień się zjawiał, mierzył temperaturę, badał puls i odchodził z twarzą zakłopotaną człowieka, który nosi jakąś straszną tajemnicę, nie ma serca, by ją bliźniemu wyjawić — a nie chce go łudzić.

Lecz ja się jednak łudziłem. Ach! na myśl, żebym mógł stracić tę moją śpiewną ptaszynkę dech zamierał mi w piersiach i zimny pot występował na czoło!

Przeklinałem kolegów, którzy mnie do gry wciągnęli — i tę paczkę zdobytych banknotów, niby tak potężnych, a w rezultacie nie mających władzy wywołać jednego swobodniejszego uśmiechu na ustach Lińci!

Aby przywrócić jej zdrowie, zdawało mi się, iż byłbym w stanie zdobyć się nawet na jakie boha-

terstwo, n. p. ciężko pracować, byle widzieć kwitnące rumieńce na jej pobladłych licach, byle raz jeden posłyszeć dźwięczną kaskadę jej śmiechu, która tyle, tyle razy rozlegała się w mieszkaniu!

Ciężkie nastały chwile — oj ciężkie! Musiałem walczyć nietylko z niepokojem, szarpiącym mnie od świtu do nocy, nietylko z apatyą dziecka, z tajemniczą twarzą doktora, ale jeszcze miałem istne piekło z dwiema niewiastami, stanowiącemi filary mego domu.

Angielka chodziła jak automat, milcząca, sztywna, z nosem i oczami wiecznie od płaczu zaczerwienionemi; z prostej litości, bo widziała, żem też chudł i mizerniał, nie robiła mi wymówek, ale dawnej, ufnej serdeczności między nami nie było śladu. Nastusia, żółta jak wosk, nadąsana, więcej jak kiedykolwiek głucha, więcej jak kiedykolwiek hałaśliwa, na każdym kroku dawała mi uczuć, żem po prostu dziecko zamordował. Co chwilę kłóciła się z missą, a złość swą wywierała i na kuchni, bo potrawy przychodziły na stół to przypalone, to przesolone, tak, żeśmy z Attinson odsyłali nietknięte półmiski, co pogarszało humor naszej dręczycielki. Jedna Lińcia dostawała befsteki, gołąbki, i różne przysmaki, ale choć robiła nadludzkie wysiłki, by przemódz wstręt do jadła, nie wiodło jej się oszukać Nastusi. Tylko, że wobec dziecka, ta prosta, ordynarna istota zmieniała się w najczulszą opiekunkę i najdelikatniejszą siostrę miłosierdzia. Pilnując nocami Lińcię, jakimś niezrozumiałym dla mnie fenomenem słyszała każde jej poruszenie. Najlżejszy szmer, najsłabszy dźwięk głosu nie uszedł jej uwagi.

Z początku Miss Attinson z niedowierzaniem odstępowała swoje miejsce Nastusi; często w noc późną niepokój sprowadzał nas do jej drzwi, zaglądaliśmy przez dziurkę od klucza do sypialni dziecka, (żaden z nas nie śmiał wejść, by nie obrazić kucharki), ale nie było wypadku, aby ta stara, głucha kobieta, z zwinnością gazeli nie wyskoczyła z łóżka i miękkim głosem nie odezwała się do swej pieszczotki.

A mimo tych starań, mimo, że każdy z nas trojga byłby chętnie złożył w ofierze wszystko, co posiada, byle ją uratować, Lińcia nikła w oczach i zdawało się, że lada chwila wątły płomyk jej życia zgaśnie.

I cóż się stanie z gniazdkiem mojem, którego ona jest jedyną ozdobą? Wiedziałem dobrze, jak wyglądało życie moje bez tej milutkiej dziewczynki, jak szereg smutnych, bezcelowych dni starości przerażał mnie, zanim ten promyk wiosenny nie rozgrzał mi serca nowem kochaniem.

Wiedziałem to wszystko i dla tego na myśl rozstania ogarnęła mnie rozpacz.

Tak minęły dwa tygodnie.

Jednego popołudnia Lińcia raźniej trochę popatrzała na mnie i rzekła:

— Wujcio już dawno nic nie przeczytał mi. Czemu? ja tak bardzo lubię słuchać...

Ucieszony wstałem poszukać książki. Wiosna była na dworze — przez otwarte okna wpływały czyste, wonne powiewy i niosły zapach świeżych bzów, w ogródku naszym rozkwitłych. Blaski zachodzącego słońca jasnemi smugami wsuwały się do po-

koju, zdając się ścigać, gonić coś nieuchwytnego po ścianach, po obrazach, i same nieuchwytne, to nikły, to ukazywały się znowu...

Począłem czytać. Powoli pogasły światełka, nadszedł szary zmierzch, lecz powietrze wpływało wciąż równie ciepłe i wonne.

Lińcia, która zrazu gorączkowo słuchała, rozmarzona czy poezyą, czy to wonią, pochyliła główkę nisko, i leżała z przymkniętemi oczami, podobna do białego kwiatka raczej, niż do żyjącej istoty...

Nad szezlągiem jej, na ścianie, wychylał się z cieniu portret Zosi pośmiertny i w tej chwili podobieństwo jej z córką było zdumiewające.

Nad portretem Zosi zwieszał się obraz Częstochowskiej Matki i zdawał się błogosławić, czuwać nad temi dwoma złotemi główkami.

Spojrzałem na dziecko — i nagle straszna zmora, okropny kurcz ścisnął mnie za serce i szedł do gardła. Boże! co to jest? Jak ona wygląda! Czy spi — czy już um...?

Przerażenie przykuwało mnie do miejsca, więc tylko pełen żalu podniosłem oczy na Matkę Boską. Nie byłem gorliwym katolikiem. Z śmiercią Zosi wszystkie dawne religijne uczucia pogasły w mem sercu — pozostał tylko kult do Matki Boskiej, a z nim i medalionik na szyi, który zawiesiła Zosia. Może sobie Królowa Nieba przypomniała to, że nie pozwalałem nigdy w mej obecności Jej bluźnić, bo jakoś z tego obrazu łagodnie spoglądała ku mnie i oczy Jej były pełne dobroci.

Nie wiem, com Jej wówczas obiecywał, czem chciałem przebłagać, ale co tylko zostało we mnie

poczciwego i szlachetnego, wszystkie stare wierzenia wypełzały z duszy mojej i szły do tego świętego wizerunku, kładły się u stóp Częstochowskiej Pani, błagając Ją:

„Zostaw mi Lińcię — zostaw! weź wszystko, co chcesz, a ją zostaw.“

Siedziałem długo nieruchomy, zapatrzony w obraz, nie śmiejąc oczu spuścić, aby się nie przekonać, że tam już nie moja księżniczka leży, ale coś zimnego — białego — bez życia!

Nagle zdało mi się wśród zmroku, że biała plamka poruszyła się: Lińcia wzniosła główkę i westchnęła.

Przyskoczyłem do niej, ukląkłem. Ona otworzyła oczy i uśmiechnęła się. Pierwszy raz — od tak dawna!

— Czy wujcio sam tu jest? zapytała szeptem.

— Sam aniołku, — miss Attinson wyszła na nieszpory.

— Mój wujcio, ja wujcia bardzo kocham.

Przyłożyła usta do mojej ręki i oglądając się trwożliwie, pytała:

— Czy tu nie było — pana — pana?

— Seweryna? — podpowiedziałem.

Potrząsła główką:

— Nie — pana Leona..

— Leona? zkądże ci do głowy przyszedł?... Nie widziałem go od kilku tygodni, wyjechał daleko — do Warszawy.

— Daleko — powtórzyła. Ach! jak to dobrze.

Ułożyła się napowrót na fotelu i zasnęła.

Nazajutrz rano rzekła mi na powitanie:

— Wujcio, mnie teraz lepiej. Tyle dni miałam tu taki ciężar na piersiach — i ból, a teraz mogę oddychać... Niech wujcio mnie do okna przysunie, proszę...

— Dobrze, zaniosę cię.

I wziąłem ją na ręce, jak jakie niemowlątko i poniosłem do okna, a ona, wychyliwszy się, pełnemi płucami poczęła oddychać, uśmiechać się wesoło.

— Wujcio! — o patrz! pączki są na krzaku — o tam, już bez zakwita, ma zielone listki. — O... ptaszek! ptaszek! Wujcio, na prawdę żywy.

Rzeczywiście dwa krzaczki stojące w ogródku zieleniły się i wędrowne ptaszki słały sobie gniazdko, fruwając z gałęzi na gałąź. Przypomniałem sobie coś, co od dawna na sercu mi leżało.

— Lińciu, czy chciałabyś wyjechać ztąd i zamieszkać na wsi, gdzieś w małym domku, z ogródkiem i laskiem?

Zastanowiła się.

— A czy wujcio tam zawsze ze mną będzie? i Garty i Nastusia? Czy tam jest więcej kwiatów i ptaszków, niż tutaj?

— Naturalnie. Tam możesz mieć i ptaszki i kwiatki i Garty i Nastusię i wujka, a w dodatku kuce, osiołki — wolność. Wszystko tam jest, tylko wpierw musisz wyzdrowieć, być silną i różową.

Zarzuciła mi ręce na szyję.

— O wujcio złoty, już będę zdrową, zobaczysz, — jedźmy tam, jedźmy!

I po dawnemu zaczęła się śmiać, opowiadać, ale ją zaraz potem schwycił taki ból w boku, iż

przez kilka chwil nie mogła tchu dostać, więc przestraszony zaniosłem ją do łóżka. — Z przyległego pokoju przybiegła Nasta, z trzaskiem zamknęła okno i marudzić poczęła:

— Skaranie Boże! — okno tak długo otwierać! Że też to jaśnie pan nie ma wyrozumienia, jak się z chorem dzieckiem trzeba obchodzić. — Cichoj maleńka, nie kaszlaj — masz mleko i Emsa — napij się, tak dobrze.

Gdy doktór pod wieczór przyszedł, mimo ataku znalazł Lincię lepiej. Coś się w niej przemieniło — puls bił mocniej, a serce spokojniej.

Gdy wyszliśmy z pokoju dziecka, zwrócił się do mnie:

— No teraz mam nadzieję, że ją wyprowadzę. Zdaje się przesilenie minęło szczęśliwie.

— Doktorku złoty, najmilszy! — padłem mu w objęcia, Doktorku, niech ci Bóg zapłaci.

— Panie Zygmuncie, jeszcze nie wołajmy hop... wspominam dopiero o nadziei...

— O nadziei? Czyż ja ją w zupełności utraciłem? Czy w ogóle to uczucie ustępuje kiedy z serc ludzkich? Czyżby bez niej matki mogły tygodniami patrzeć, jak powoli gasną ich dzieci? Czyżbym ja jeszcze chodził po ziemi, jadł i pił i rozmawiał, gdyby w sercu mojem nie tliła się iskra nadziei?

— Panie doktorze, a nie zmienić nic w trybie życia, w potrawach?

— Oj to z pana doskonały eskulap! Zmieniać tryb życia, cui bono? Możeby pan chciał ją jutro do dębinki zawieść, co?

— No nie do dębinki, ale coś tego, ten, zamiast kakao czekoladę, mleko?

— Aaa!... zamiast kakao — czekoladę owszem.

I spojrzał na mnie z takim drwiącym uśmiechem i politowaniem, jak gdyby chciał mówić:

— Ten biedak sfiksował kompletnie.

Wychodząc, przystanął jeszcze.

Radzę panu się przejść. Wyglądasz, jakbyś był jedną stopą na drugim świecie. Co zaś do tej małej, gdy nieco przyjdzie do siebie, jedyna rzecz, którą zalecić mogę, to świeże, wiejskie powietrze. Niech ją pan wyśle gdzie do krewnych, na kilka tygodni — ba! miesięcy, a jestem pewny, że do zdrowia wróci.

Wybiegłem na ulicę.

Pierwszy raz poczułem potrzebę ruchu, słońca, powietrza. Szedłem na oślep, bo było mi zupełnie obojętnie, dokąd pójdę. Instynktownie jednak zwróciłem się ulicą biegnącą za miasto, aby nie spotkać znajomych.

Z powrotem zabiegł mi drogę Seweryn.

A, Munio! jak się masz! Widzę, żeś zmartwychpowstał. Cóż tam twoja mała księżniczka — lepiej pewnie?

— A lepiej, dzięki Bogu

— No widzisz, a tyś ją już grzebał!

Wzdrygnąłem się: Ja ją miałem grzebać? Jak mogą ludzie podobne myśli mnie przypisywać! Grzebać Lińcię! tę miłą, kochaną dziewczynkę przeznaczać ziemi! Boże!

— Cóż tam na świecie robią? — zapytałem, chcąc nawiązać z Sewerynem rozmowę, która, w obe-

cnej chwili, nie przedstawiała dla mnie wiele interesu.

Co robią? Nie wiesz jeszcze? Gogo przegrał do wujka dwadzieścia tysięcy talarów. Jest furioso.

Machnąłem ręką.

— Ej nie to, ale tak — wogóle.

— Panna Aniela zerwała z hr. W.

I to mnie nie przejęło. Seweryn spostrzegłszy obojętność, zaśmiał się.

— No cóż chcesz więcej? Dziś dają premierę „Zaczarowane koło“ Rydla. Może pójdziesz? Mam dwa bilety. Otrząśniesz się z smutnych myśli, odświeżysz, zobaczysz dużo ludzi, kto żyw spieszy do teatru.

— Nie, dziękuję, dziś jeszcze iść nie mogę, żenam cię.

Po raz trzeci spostrzegłem na twarzy wyraz niedomówiony — „waryat“. I zastanowiłem się. Czy miłość moja do dziecka Zosi była rzeczywiście czemś tak nienaturalnem, fenomenalnem, że aż graniczyła z obłędem? Czy inni ludzie nie mają serca, naczej, mniej głęboko i mniej wiernie czują, że tak patrzą na mnie z podziwem?... Ależ oni Zosi nie znali! bo czyżby mogli, znając ją, dziwić się jeszcze?

Mojej pieszczotce było coraz lepiej i stosunkowo nawet prędko do sił powracała. W cichem mieszkaniu, gdzie od tygodni kilku żadna weselsza nie zabrzmiała nuta, zaczęły się znowu rozlegać dźwięki jej porywającego śmiechu, który byłby mógł rozchmurżyć najposępniejszego pedagoga.

Razem z nią i Attinsonka przyszła do równowagi humoru, zdarzało się nawet, że po równi z dzieckiem nuciła:

10

„Góralu, ci czy nie żaal“ —

A Nastusia z radości tak ogłuchła, że już absolutnie nie byłem w stanie się z nią rozmówić i w kwestyach kulinarnych musiałem zawsze do pomocy zawezwać Attinson, która znowu przekręcała nazwy polskich potraw ku wielkiej uciesze Lińci.

Niebawem poczęli też odwiedzać mnie starzy przyjaciele i przyjaciółki. Kilka pań, dowiedziawszy się, że na alei ukazał się „złoty pan Munio,“ przysłało mi zaproszenie na herbatkę i... parę sprawuneczków, słowem, dawne życie wróciło.

Jeden tylko Sofizmat się nie pokazywał. Przyznaję, nie tęskniłem do niego, ale teraz, gdy Lińcia, wyszedłszy z niebezpieczeństwa, rozpoczęła lekcye i mogła bez pomocy o własnej sile chodzić, odezwała się we mnie zrazu niewyraźna, potem coraz mocniejsza chętka do... klubu.

Napadały mnie czasem takie tęsknoty za dawnem kółkiem przyjaciół od zielonego stolika, taka ochota popatrzenia choć na karty, iż zamknąwszy drzwi na klucz, wydobywałem z biurka corpus delicti i zakochanem okiem wiodłem po twarzach dam pik lub caro...

Otóż to natura ludzka!...

A jednak wspomnienie tej nocy strasznej i długich dni niepokoju, rzucały cień na dawne upodobania. Głos wewnętrzny przypominał, że obiecałem zrobić dla Lińci wielką ofiarę. Majaczył mi się smutny wieczór — obraz Częstochowskiej Pani — biała postać dziecka i... i...

Lecz od pewnego czasu, począłem wmawiać w siebie, że to nie było żadne votum, ni obietnica,

tylko jakieś uniesienie serca, spowodowane zbytnim niepokojem — ot, myśl zbawienna może, nie przeczę, lecz niewykonalna. I już miałem biedz do klubu, próbować szczęścia, ale się przemogłem... Gdyby Lińcia zachorowała znowu? Gdyby mnie niebo ukarać chciało i te wszyskie tantalowe męki napowrót wróciły? Nie, nie — połowicznej drogi nie było dla mnie. Wiedziałem aż nadto dobrze, że jeśli się raz dam namówić i grać rozpocznę, dawna namiętność zaprowadzi mnie daleko!...

Więc z zabobonnym strachem zamykałem biurko co prędzej, aby urok dam karcianych nie opętał mnie na nowo.

I rozważałem: Co ja teraz zrobię, biedny, samotny rozbitek losu? Powinienem koniecznie coś przedsięwziąć? — ale co?... rzucić się w wir spekulacyi? nie mam do tego zmysłu — pracować? w żadnym kierunku nie posiadam fachowego wykształcenia, a przytem za mało tkwi we mnie zdolności, inicyatywy, decyzyi! Czuję wszakże, że w bezczynności bez kart długo nie wytrzymam... bo czemże umysł zająć? czem się przed pokusami obwarować? Czem?

Miałem gotową odpowiedź na to zapytanie.

Oto w biurku leżało, oprócz kart coś więcej jeszcze... list od brata, który mógł w jednej chwili rozstrzygnąć tę zawiłą kwestyę: co robić?

List ów wzywał mnie na wieś nie na wakcye, tygodnie, ale — na zawsze.

Brat mój pisał:

Przyjedź — obejrzyj sobie Wygodę, którą jak wiesz przed 6-ciu laty nabyłem. Zdaje mi się, że

to byłoby coś zupełnie stosownego dla Ciebie. Ziemia wydrenowana od skiby do skiby — gopodarstwo podwórzowe w dobrym stanie, domek ładny z ogrodem, kawałkiem lasu i łąki... Chcąc gospodarować na Wygodzie, nie potrzeba ani nakładu pieniężnego ani nakładu ciężkiej pracy. Niebożczyk Hiler tak dobrze rządził, iż nakręconą maszynę prowadzić dalej potrafiłoby dziecko. Mój Zygmuncie! — nie namawiam cię w własnym interesie, choć i we mnie życie stępiło dawną energię, trafiają mi się urzędnicy świetnie polecani, nawet niezły dzierżawca, więc Wygoda mi nie ciąży — ale ponieważ wspominałeś niedawno, że ci się bezczynność zaczyna przykrzyć, że dla twej małej koniecznie potrzebne wiejskie powietrze, sądzę, że podjąłbyś się niezbyt forsownego, lecz stałego zajęcia na wsi i proponuję ci: administracyę, albo dzierżawę Wygody.

Przyjedź i zobacz. Jeśli naprawdę syt jesteś bezcelowego wegetowania na bruku i tego, daruj mi, wstrętnego karciarstwa, znajdziesz tu i cel i zajęcie i zdrowie twej pupilki. Wygoda to nasze bliskie sąsiedztwo, zatem Lińcia będzie miała towarzyski w moich trzech córkach, tęgich, hożych dziewczynach, a ty, Zygmusiu, po pracy wypoczynek w ognisku rodzinnem, gawędki z naszym poczciwym doktorem Wachtelkiem i wiścik z kochanym proboszczem. Co do mnie, chętnie służyć Ci będę pomocą, radą i gospodarczem doświadczeniem...

List powyższy, odebrany wkrótce po rekonwalescencyi Lińci leżał od paru tygodni u mnie, a nie mogłem się zdecydować, co odpisać.

Powiedzieć: nie — było mi żal, bo w gruncie

rzeczy miałem przekonanie, że łatwiejszego zajęcia nie znajdę nigdy i nigdzie — powiedzieć: tak — znaczyło: wziąć rozbrat z dotychczasowem wygodnem życiem, przyzwyczajeniami, wywczasem, spokojem myśli, brakiem kłopotu. Cisza wiejska ma urok — to prawda — i mnie zostało w pamięci wspomnienie z dawnych czasów — odzywały się echa śpiewu słowiczego — w pogodny wieczór majowy — lub woń fiołków na wiosnę... ach! ale ja wówczas miałem duszę pełną śpiewu, woni i wiosny!... Dziś, gdy uleciała młodość — szara proza zasypała te lube wspomnienia.

Nie pragnąłem ich wskrzeszać. Z przerażeniem myślałem o tem, że będzie trzeba pracować, wstawać rano, stykać się z tym ludem, „stadem owiec“, jak go nazywał Sofizmat. W dniach niepokoju takie poświęcenie dla Lińci zdawało mi się łatwem i koniecznem — teraz nad siły trudnem i zbytecznem.

Lińcia. jakby w przeczuciu tego, co się w duszy mojej działo — pytała często:

Wujcio: czy pojedziemy tam do tego domku na wieś, gdzie ptaszki ładnie nucą i kwiatki pachną? Czemu Wujcio już teraz nie wspomina, kiedy pojedziemy, a przedtem obiecywał, że jak tylko wyzdrowieję, to mnie na wieś zabierze?... Wujcio, powiedz mi czemu?

— Czemu? ach! czyż ja sam wiedziałem, czemu?

Wśród tych niepewności i udręczeń do K... wrócił Sofizmat.

Nie było go kilka miesięcy i nagle zjawił się w mieście, a bezpośrednio po nim przybyli Roman Dz, Wujek i Stach.

Zrobiło mi się lżej na sercu — przecie to przyjaciele, może oni coś mądrego poradzą, zdecydują... Tego dnia, gdy około czwartej powróciłem zLińcią z przejażdżki, przepisanej jej przez doktora, wyszła nam na spotkanie Nastka z miną zwiastującą burzę.

Lińcia spostrzegła chmury na obliczu kucharki.

— Naściu — rzekła — ślicznie na dworze, słonko świeci, wiatr dmucha, a Naścia znowu smutna — dla czego?

— Eh, co mi tam panienka smutek przymawia — i — zwracając się do mnie:

— Proszę jaśnie pana były tu znowu te... szat... te panicze.

— Kto, kto taki — zawołałem uradowany.

— Jaśnie pan Seweryn, Dziewiński i ten — pan Sumizmat.

— I co? i co?

— A no co — pytali się: Księżniczka wasza zdrowa?

Mówię: Zdrowiuteńka jak jabłuszko. — Więc spojrzeli po sobie i ten łysy zaczął gadać z francuska, a potem krzyknął, jakbym była głucha, że mam Jaśnie panu powiedzieć, aby zaś do nich zaszedł dziś na wieczór Nr. 6.

Zamyślony poszedłem do siebie:

Więc są wszyscy! Jak dobrze! Pójdę, zobaczę, przepytam — grać nie będę, ale się trochę przyjrzę. Stęskniłem się do kolegów.

Kiedy po kolacyi zacząłem się gotować do wyjścia, w pokoju moim coś zaszeleściało. Obejrzałem się: Lińcia stała przy drzwiach, z główką smutnie spuszczoną.

— Co to chcesz Lińciu — spytałem jak mogłem najłagodniej.

— Czy wujcio naprawdę odchodzi? — rzekła zdławionym głosem.

— O tak, na chwilę. Chcesz mnie pewnie pożegnać — bo gdy wrócę, już spać będziesz w najlepsze.

Nic nie odparła, tylko przytuliła się do mnie, jak gdyby walcząc z wzruszeniem, lub lękając się, że mnie znowu straci, patrzała na mnie długo — długo, aż raptem zerwała się i uciekła.

Ręce miałem mokre od jej łez i jakieś głupie uczucie przejęło mnie.

— Dziecinnieję, babieję coraz więcej! Nic dziwnego, że ludzie patrzą na mnie, jak na waryata. Jestem skończonym idyotą...

Wychodząc, wszedłem raz jeszcze pożegnać Lińcię. Zastałem ją klęczącą przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej. Pąsowa lampka paliła się, w pokoju było mroczno i tak jakoś smutno — że cofnąłem się od drzwi...

Wieczór upłynął nie najprzyjemniej.

Nie graliśmy wcale, bo po długiem niewidzeniu było dużo opowieści, blagi, nowin, a te mniej mnie interesowały. Sofizmat, który był się zetknął za granicą z przywódzcami dekadentów, całą godzinę wykładał o nagiej duszy, plótł brednie, czytał jakieś horrenda, zaprawione pieprzem realizmu, bluźnierstwami i wcale mnie nie zachwycił.

Naturalnie o moich planach nie mogło być mowy — tyle kwestyi poruszono, tak się niektórzy zapalili wielkiemi ideami Sofizmata, iż moja sprawa

przeniesienia się na wieś byłaby się wydała marną, dyskusyi nie wartą.

W dwa dni potem Nastusia weszła do mnie rano, z listem od kolegów zebranych pod nr. 6-tym.

Brylantowego serca Muniu!
„Dziś wieczorem na Kordyasza sali
Będziem za tobą z tęsknotą czekali.
Zjechało nas mężów mnogo:
Wujek, Antoś, Bebuś, Tulipan i Gogo
A także Seweryn z miną tajemniczą —
Chcemy pohulać — zabawić się — byczo!
Tylko nie marudź, ty sierót piastunie,
Cór Albionu, statecznych niewiast opiekunie!
Porzuć lalę, łakocie, naparstki. rądelki,
Skarb twój powierz w ręce przezacnej Angielki —
I z kieszenią w marki dobrze opatrzoną
Wróć na przyjaciół twych stęsknionych łono!
Może twe imię na nowo zasłynie;...
Staw się koniecznie o 8mej godzinie.“

Leon dopisał jeszcze:

Chciałbym wpaść po ciebie, lecz bodaj znajdę chwilkę wolną, więc nie czekaj.

Widocznie byli w dobrym humorze, kiedy się na częstochowskie rymy zdobyli! Swoboda ich i mnie się udzieliła; postanowiłem sobie o umówionej godzinie zejść się z wesołem gronem na sali Kordyana.

Krzykliwy głos Nasturcyi zbudził mię z zadumy.

— A proszę jaśnie pana, co mam dać dziś na kolacyą?

— Co Miss Attinson rozkaże — ja wieczór spędzę poza domem.

— To i nie warto, żeby człek ogień rozpalał, Angielka może jeść na zimno — panienka zaś, i tak od środy nic w gębę nie bierze. A bledziutkie to

znowu, że pożal się Boże. Już też chyba jaśnie pan oczów nie ma, że tego nie widzi.

Obserwowałem Lińcię przy obiedzie; była bledszą, małomówną, a mięso nietknięte starannie pod jarzynę ukryła, abym nie zauważył brak apetytu.

— Cóż to, panna znowu grymasi? mięsa nie je ani spinaku?

Czy dla tego, że zielony?

Podniosła na mnie smutne oczy.

— Nie mogę Wujcio — nie mogę.

— Ha! to zostaniesz karlicą. Jedenaście lat masz blisko, a wyglądasz na pięć.

Attinson rzekła z westchnieniem.

— Dziś na lekcyi nic nie uważał. Jest znowu nie swój.

I zwracając się do mnie, rzekła po niemiecku, aby Lińcia zrozumieć nie mogła:

— Die Köchin erzählt ihr wieder neue Geschichte. Sie sagte, der Herr Teufel ist wieder gekommen und man will Ihnen etwas böses machen.

Ściągnąłem brwi niecierpliwie.

— Ich muss das alte Weib wegschicken. Es ist nicht mehr auszuhalten. Bitte, amüsieren Sie recht gut Lili, weil ich heute um sieben Uhr weggehe.

Usta Attinson poruszyły się gorzkim uśmiechem.

— Heute? — es ist doch der Geburtstag Lili.

Prawda! — zupełnie zapomniałem. — Dziesięć lat temu, cóż to był za dzień pełen niepokoju! — Moja biedna Zosia!

Po obiedzie, chcąc rozerwać Lińcię, poświęciłem jej dłuższą chwilę. Była spokojna i milcząca.

— Czemuś dziś tak posępna Lińciu? Toż to przecie dzień twych urodzin — no powiedz, czego sobie życzysz. Jak wyjdę na miasto, kupię Ci bardzo ładny prezent. Co sobie życzysz Lińciu?

Spuściła główkę jeszcze niżej.

— Ja nic nie chcę — nic, dziękuję Wujciowi.

— Nic? to bardzo mało. Niepodobna, abyś nie miała jakiego życzenia — powiedz śmiało — Allons!

— Ja sobie bardzo czegoś życzę... ale Wujcio mnie nie wysłucha.

— Kto wie? może i wysłucham. Cóż to tak osobliwego?

A ona nagle z wybuchem serdeczności:

— Mój Wujcio — zostań dziś ze mną! Nie odchodź z tymi panami. — Mój kochany, dobry, złoty!

— Ależ Lińciu — zawołałem zdumiony — cóż znowu za dziecińczęsto! przecież nie mogę zerwać z całym światem, obrażać przyjaciół! Czyż jeszcze takie dziecko z ciebie, iż zrozumieć nie możesz, że starsi mają wspólne interesa? Przecież nie jestem twoją niańką, boną? Zastanów się, bądź rozsądną.

Lecz ona nie dawała za wygraną.

— To inny raz niech Wujcio idzie — ale nie dziś — nie dziś — mój Wujcio ukochany!

Objęła mnie za szyję, całowała.

— Czemu właśnie nie dziś? — czy dla tego, że to są twoje urodziny Lińciu? — Będziemy je obchodzić jutro, w niedzielę, dziś sobota, post, nie wypada. Zaproszę na jutro małe Ziołeckie, zabawisz się...

— Ja nie chcę widzieć Ziołeckich — nie chcę się bawić — ja się tak boję...

— Co to znowu za dziecińśtwa, głupstwa i grymasy! Moja Lińciu, byłem za dobry dla Ciebie, zanadto pobłażliwy i oto mam nagrodę. Czego się boisz?

— Bo Nastusi się śniło, że Wujcio — znowu — dyabeł... bo ja wiem napewno, że Wujciowi chcą zrobić coś złego.... namówić...

Eh! idź sobie, nie kocham cię. Jesteś niegrzeczną, krnąbną dziewczynką i ciągle mnie martwisz.

Odeszła. Zirytowany chodziłem po pokoju, rozmyślając;

Źle wychowałem to dziecko. Tak dalej absolutnie już iść nie może. Muszę coś obmyśleć — oddać ją gdzie na pensyą — uwolnić się od niej. To niebywałe rzeczy, żeby taki dzieciak śmiał mi swoją wolę narzucać. A na początek oddalę Nasturcyą.

Potrzebując na kimś zemstę wywrzeć, wpadłem do kuchni, aby wykrzyczeć kucharkę. — Lecz, czyżby kto uwierzył, że stało się wprost przeciwnie — że nie ja głuchą babę, ale ona mnie z punktu wyzywać poczęła:

— To tak jest — to jaśnie pan myśli, że sobie pozwolę w kaszę dmuchać, oczy zamydlić. Rany Boskie! Jezusie Chrystusie Ukrzyżowany; bo to ja nie widzę, co znowu się tu święci. Głucha ani ślepa nie jestem. Mogę odejść — mogę. — Adyć już dawno mi ta służba się przykrzy — bo to człek nie dość, że patrzeć musi na obrazę Boską — tych darmozjadów, kartuchów, nicpuniów obsługiwać no-

cami — ale jeszcze widzieć jak dziecko chcą zmarnować...

Tu głos jej się zatrząsł, i oczy poczęła gwałtownie przecierać.

— Dziecko. — Święty Boże, Jezusie Nazareński! chudziątko takie, niebożątko — prosi się: urodzinki, chcę się pobawić. — Doktór każe rozweselać. Ale gdzie tam! Milsze karteczki, hulanka, święty Boże! Obraza Boska i nic więcej — aż dziecko na cmentarz wywiozą, lilijkę bledziutką przy matce zakopią.

Uciekłem z pokoju, nie mogąc przekrzyczeć baby. Byłem zwyczajny gderań Nastusi i zwykle na nie obojętny, ale dziś przebrała miarę — a te słowa: „lilijkę bledziutką przy matce zakopią“ — w samo serce ukąsiły.

Bo i prawda, że ona znowu od dni kilku wygląda, jak lilijka — a taka była różowa, przed tygodniem jeszcze! tak poczynała nabierać ciała, świeżości i nowego wdzięku!

Nie mogłem usiedzieć spokojnie na miejscu: załatwiwszy kilka sprawunków, powróciłem do siebie, ale choć leżały przedemną świeże dzienniki, czytać było mi niepodobna. Zajrzałem do Lińci.

Siedziała spokojnie przy otwartem oknie. Oczy błądziły znowu w dalekiej przestrzeni, dawny wyraz zmęczenia malował się w nich i bezgraniczny smutek. Była tak podobną do matki, nie tej wesołej, dawnej mojej towarzyszki dzieciństwa, ale tej żałobnej wdowy lat ostatnich — że aż wzdrygnąłem się... Zdawało mi się, że za chwilę usłyszę szept Zosi: „Zygmuncie, weź moją sierotkę, nie opuszczaj i kochaj jak...“

Więc mi nagle żalem dusza wezbrała...

Lińcia nie mówiła nic. Cichy jej smutek przejmował mnie do głębi i czułem, że, jeśli pragnęła postawić na swojem, zatrzymać mnie, najlepszą broń obrała, bo moje „brylantowe serce“ miękło pod wpływem tych tęsknych spojrzeń — Zosi oczu. Nie byłem już pewny: iść — czy nie iść — ani kto w ostatniej chwili zwycięży: Sofizmat et Comp., czy moja księżniczka.

Nagle wesołe głosy i pospieszne kroki dały się słyszeć na ulicy.

Lińcia wychyliła się przez okno — odskoczyła i myślałem, że zemdleje, taka śmiertelna bladość okryła jej twarzyczkę:

— Wujcio — pan Seweryn i... on!... Czy wujcio ich przyjmie?

— No jakże? przecie przyjąć muszę — wiedzą, że jestem w domu.

— Mogą nie wiedzieć — niech się Wujcio schowa, tu, do mego pokoju, za kotarę. O mój złoty, najukochańszy wujcio! jeśli mnie wujcio choć trochę lubi!

I jej drobne rączki z desperacką siłą zaczęły mnie popychać, a ja, stary osioł, i—dyo—ta, pozwoliłem się wyprowadzić, przysłonić kotarę i z ciekawością przyglądałem się, jak to przed chwilą mdlejące dziewczątko, rezolutną przybrawszy minkę, wyszło na spotkanie panów, którzy w czarnych odświętnych ubraniach, z cylindrami w rękach, stali przed nią, niby przed księżniczką.

Ukłoniwszy się poważnie, rzekła:

— Panowie wujcia mego nie zastali w domu.

— Jakto? co? dokąd poszedł?

— Tego nie wiem.

— Ale pewnie zaraz wróci, to poczekamy za nim. Mamy jeszcze dużo czasu — możemy się trochę zabawić z księżniczką. Cóż, panno Lińciu — rzekł Sofizmat — czy nigdy nie wysłużę sobie buziaczka?

Podniósłszy główkę, odsunęła się z nieukrywanym wstrętem.

— Panowie się tu znudzą, czekając, a ja wiem, że jak wujcio wróci, to już nigdzie nie pójdzie.

— Dla czego?

— Bo to są dziś moje urodziny!

— A — urodziny księżniczki! Wielkie święto rodzinne — to rzeczywiście bardzo ważny powód. Niech jednak Lińcia powie wujaszkowi — albo lepiej napiszę parę słów — skoro wróci, proszę mu oddać.

Wyciągnął z notesu kartkę i nakreślił:

„Vieux nigaud, Munio chéri, que fais-tu? Viens absolument à 8 heures précises. Une partie mirobolante — triomphe certain — deux agneaux riches en laine à tondre.

T. à. vs.

Leon.“

Potem nastąpiły ukłony, uśmiechy, trzask zamykanych drzwi i za chwilę Lińcia tuliła się w moich objęciach, obsypując mnie pocałunkami.

— Wujcio jest anioł, złoty, jedyny, — najlepszy pod słońcem. Nigdy wujcio tak nie kochałam, jak dziś! Wszak już wujcie tam — do — nie pójdzie?... Zostanie ze mną, prawda, że zostanie?

Nie było końca uśmiechom, pieszczotom, natarczywym pytaniom, póki solennie nie przyobiecałem, że zostanę. Zepsuty, szkaradny bęben! a taki miły, taki kochany! Sam nie wiem, jak się to dzieje, że mnie zawsze urzeknie swoim urokiem! Ot, prawdę mówiąc, tak dziś, jak wczoraj i zawsze rozbraja mnie jej fizyczna słabość i pieszczoty, któremi mnie obsypuje.

Bo gdyby Lińcia była sobie tęgim, czerstwym, a w dodatku krnąbrnym dzieciakiem, to, przysięgam Bogu, że nawet kochając ją, nie kosztowałoby mnie wykrzyczeć ją, w potrzebie do kąta stawić, bez względu na to, czy się dąsa, lub czy płacze... ale to jest takie wątłe i nikłe, a przytem tak serdeczne i potulne, że wątpię, czy znalazłby się na całej kuli ziemskiej równy mnie, stary, opuszczony samotnik, któryby się oparł jej słodkiemu wdziękowi i potrafił cośkolwiek jej odmówić. Cały wieczór Lińcia se mettait à quatre, aby mnie bawić. Byłem zdumiony, ile pomysłów w tej wrażliwej główce się mieści, jednak zapomnieć nie mogłem o ucztujących kolegach, o zapasach, które się wśród nich toczyły i coraz większa brała ciekawość, co o tej porze robią? kto byli owi „deux agneaux riches en laine à tondre?“ — komu sprzyjało szczęście?

Z dobrego serca, nie chcąc psuć humoru dziecku, udawałem, że się bawię, lecz w duszy wzbierała fala żądzy, myśl mknęła do tej tajemniczej sali Kordyana, wirowała w koło tych stolików okrągłych, rozstawionych, gdzie wśród obłoków szaro-błękitnego dymu na ciemno-zielonym suknie rozpostarte były białe, lśniące karty.

Na pół przytomny przeszedłem się parę razy wzdłuż pokojów, zajrzałem do kuchni, potem przez okno na ulicę pustą, w końcu wróciłem do Lińci, chcąc przy niej wzburzony umysł uspokoić. Ale na próżno!.. Patrząc na jej twarzyczkę ożywioną i dziwnie płonące oczy, myślałem:

— Jesteś dziś śliczna, jak przedświt wiosennego ranka, kocham cię, jak wcielenie moich młodzieńczych i gorących uczuć, po za tobą świat dla mnie się kończy — a jednak, jednak, Lińciu, śliczności ty moje, nie czuję się zdolnym do długotrwałych ofiar... i gdy złotą główkę do snu ułożysz — ja z pewnością tam ucieknę.

Ona zaś, jakby chcąc zdradę moją przeniknąć, zrozumieć coś, co dla jej dziecinnego umysłu było niepojętem, przyglądała mi się z natężoną uwagą, potem z podwojonym zapałem zaczęła mi znosić zabawki i nerwowo śmiała się prawie bez przerwy.

Podczas kolacyi wesołość jej znikła. Zrobiło jej się nagle niedobrze, dreszcze wstrząsały nią raz po raz, skarżyła się na ból serca. Długo zasnąć nie mogła, kazała mnie przywołać do łóżka i z gorączkową egzaltacyą mówiła:

— Jaki Wujcio dobry, że nie poszedł tam i bawił się ze mną. Wujcio jest anioł, złoty, najlepszy. Ja tak Wujcia kocham — tak kocham mocno, mocno. Będę prosiła Matki Boskiej, aby Wujciowi oddała za mnie wszystko! I ten dzień dzisiejszy i wszystko!

Z rozpalonych dłoni nie chciała wypuścić mojej ręki, czułem jak jej pulsa biły i serce tłukło się w niej, niby ptak spłoszony.

Niepokój ogarnął mnie, wzruszenie i... złość. Złość na kogo? Sam nie wiem, ale chwilę potem odszedłszy od Lińci, z gniewem cisnąłem przygotowane do wyjścia palto, kapelusz, rękawiczki i... i... zostałem w domu.

Nazajutrz rano przywołany doktor głową kręcił nad Lińcią.

— Coś tu niedobrego zajść musiało. Czy ona się przelękła, czy przemęczyła, nie wiem, ale serduszko i puls znowu w nieporządku.

— Co zrobić z nią doktorze? Co zrobić? Nie sposób jakie to dziecko wrażliwe, nerwowe.

Ręce rozkrzyżował.

— Ha! dziecko swego stulecia i — córka matki. Jakże pan chce, aby było inaczej. Pana kuzynka była taka sama, a szwagier? Boże, zmiłuj się — całe życie wyglądał jak dezerter katafalku.

— Więc co począć? Doktorze, poradź, zmiłuj się...

— Czy nie mówiłem? dla takiego misternego stworzenia miasto ze swoim brudem. hałasem, ciasnotą jest zabójcze. Na wieś ją wywieźć panie dobrodzieju — na wieś — i nie uczyć, nie męczyć, nie krępować. Niech dzieciak użyje prawdziwej swobody, wolności. To jedno, co ją uratować może: zmiana natychmiastowa powietrza.

A widząc moją zgnębioną twarz:

— Ha, ale trudno, jeśli pan dobrodziej nie może jej gdzie zawieźć, będziemy jeszcze próbowali środków wzmacniających organizm. Zaraz przyślę kropelki z apteki. Do widziska, kochany panie Zygmuncie.

— Doktorze, zmiłuj się, czekaj! Czy sądzi pan doktor, że ona może zaraz jechać? Czy nie za słaba?

— Ależ naturalnie — choćby dziś. Im prędzej tem lepiej. Trzeba korzystać z pogody, patrz pan, jak bosko na świecie.

To mówiąc, otworzył drzwi na oścież i odszedł, a ja wróciłem do siebie.

— Hélas!... Nie ma innej rady, muszę się poddać konieczności. I to zaraz — najlepiej zaraz. Nie zostawię sobie czasu do namysłu. Znam moją przeklętą naturę.

Zadepeszowałem do brata, prosząc o konie na poniedziałek.

Niedziela przeszła nam na pakowaniu.

Lińcia, jakby w nią nagle nowe życie wstąpiło, biegała i śpiewała, co kilka minut ręce moje okrywając pocałunkami.

Nazajutrz mieliśmy wyjechać o 12-tej.

O ósmej z rana, kiedy jeszcze byłem w negliżu, dzwonek się odezwał, ktoś z pospiechem wpadł do mego pokoju:

Sewer! to ty, jak się masz! Jak dobrze, że przyszedłeś mnie pożegnać. Ale co ci jest? co się stało?

Był blady jak chusta, tak zdyszany, iż zrazu słowa wymówić nie mógł, kręcił się po pokoju, kaszlał, przecierał binokle.

— No mów, co się stało? wyglądasz, jakbyś wracał z pogrzebu.

— A, z pogrzebu i na pogrzeb. Lecz widzę kuferki. Czy ty gdzie wyjeżdżasz?

— Tak, na wieś do brata. Lińcia znowu chorowała i doktor kazał ją bez zwłoki wywieźć.

— Sapristi! wyjeżdżasz! I ty w dodatku! Co my poczniemy!

— Ależ powiedz, co się stało?

— Czekaj, zupełnie nie wiem, od czego zacząć, to długa historya.

Wczoraj, ta głupia biba u Kordyana, którą urządzał Leon.

— Wiem, prosił mnie i cóż dalej?

— Otóż doczekaliśmy się awantury. Zaczęło się od tego, że w czasie obiadu Sofizmat, jak zwykle, gadał jak z trójnoga. Wziął sobie tym razem za cel drwinek — kobiety. Twierdził, że wszystkie in gremio nic nie warte, że nie zna żadnej, któraby w danym razie wyszła zwycięsko z pokus życiowych, słowem oczerniał je, kalał, błotem obryzgiwał. Stach, wiesz, ma dwie stryjeczne siostry, starsze od niego, dwa anioły, poświęcające życie i mienie dla bliźnich. Jedna rok temu odmówiła Sofizmata. Nie chcą iść w ogóle za mąż, idealistki — dewotki. — Znasz je przecie.

— Znam bardzo dobrze, ale gadaj dalej, bo cóż to ma do rzeczy.

— Owszem. Stach, choć sam lekkomyślny, te siostry uwielbia. Słuchając bredni Sofizmata, kręcił się jak piskorz. W końcu, spojrzawszy mu w oczy, zawołał:

— Ja znam dwie niepokalane i święte, pan je też znasz doskonale i przyznać musisz, że nie masz reguły bez wyjątku?

Sofizmat, jakby się nie domyślając, kogo Staś ma na myśli, rzekł drwiąco:

11*

— Ba! mon petit. C'est l'occasion, quit fait le larron.

Zapanowała cisza. Stach zaczerwienił się po białku oczu i zrobiwszy z serwetki węzeł, wymierzył ją prosto w twarz Sofizmata.

Ten schwycił w powietrzu pocisk i robiąc alluzyą do młodego wieku Stacha, na co się ten zawsze zżyma, zawołał inoricznie.

— Brawo Bebuś! — w piłkę mogę się z Bebusiem zabawić po obiedzie.

I począł z najzimniejszą krwią wygłaszać dalej swe teorye.

Staraliśmy się obrócić w żart całe zajście, lecz mimo wszelkich usiłowań atmosfera stawała się coraz cięższą. Sofizmat jadł za trzech, sypał złośliwie koncepta o nagiej duszy, nagiem sumieniu itd. Stach niczego nie dotknął, tylko pił zawzięcie.

Po obiedzie rozpoczął się mak. Leon grał, Antoś, Gogo i młody Bruzdowski, który wraz z Stachem się ukazał. Przyjęto go chętnie do kółka, bo wiedziano, że wiózł znaczne pieniądzde z sprzedanej parceli jeśnej. W parę kwadransów Leon odebrał mu dużą sumę. Chłogak, to bladł, to czerwienił się, litość brała, patrząc na jego męki. Mówią, że rodzice jego są na ostatnich nogach, matka przez pół sparaliżowana w dodatku! Chciałem go zastąpić, lecz się zawziął i grał dalej jak desperat. Potem przeszli na whista z kayenną — gdy zabrakło amatorów do maka.

— Z kayenną? po czemu?

— Po talarze punkt. Stach, który owego Bruzdowskiego zapoznał z towarzystwem, nie grał, lecz

raz poraz przystawał za jego krzesłem, a wyglądał jak indyk zaperzony. Nie wiem, czy dojrzał coś nieprawidłowego, czy umyślnie szukał zaczepki, ale w jednej chwili zbliżył się do kolegi i powiedział głośno:

— Przegrać musisz — tam stąd widzą twoje karty.

Sofizmat, siedzący obok, podskoczył, zmarszczył się groźnie, ale jeszcze raz zapanował nad gniewem i walcząc dalej bronią lekceważącej dobroduszności, zawołał:

— Nie gramy w Szwarzepetra Bebusiu i w naszem kółku nikt nie ma zwyczaju zaglądać w cudze karty!

A Stach na to drwiąco:

— Ba! il parait que c'est l'occasion qui fait le larron.

— Łatwo się domyślisz dalszego ciągu. Wczoraj Stach posłał sekundantów Sofizmatowi. W środę mają się spotkać. Jestem w wielkiej obawie o niego. Stach jest tak zawzięty, iż z pewnością straci równowagę i zimną krew. Sofizmat będzie mierzył jak do psa.

— No, skądże znowu jak do psa!

— Trzeba go znać. Co on sobie robi z życia ludzkiego, z łez matki wdowy, która tego jedynego syna posiada. A wiesz, jak ta kanalia umie strzelać.

— Fatalna historya, rzeczywiście fatalna. A cóż Bruzdowski, nie odegrał się?

— E, gdzież tam — wszystko puścił, wszystko! Jest też w desperacyi, nie śmie do ojca wrócić, przewiduje straszne katastrofy. Dziś rano, gdy wy-

trzeźwiał, przypomniał sobie, jaką zgryzotę zgotował ojcu, nad grobem stojącej matce, włosy sobie wyrywał. — Ta suma, przegrana w karty, miała ratować wieś od subhasty. Hakatyści od dawna na nią czyhają, ale stary szlachcic przysiągł, że póki żyw, nie odda jej wrogom.

— Wiesz, że to najfatalniejsze z wszystkiego, i co ten biedak teraz pocznie?

— A co — niezawodnie w łeb sobie palnie. Chce odczekać pojedynku ze Stasiem, a potem zaczepi Woliwodzkiego. Całe miasto będzie oburzone, palcem nas będą pokazywać, w gazetach opiszą... Inia gotowa ze mną zerwać, gdy się dowie, że do tej szajki należałem... Ty, Munio, pokazałeś wielki rozum, żeś nie przyszedł, nie brał udziału w tej arcymiłej historyi. Co ty masz za szczęście!... Można ci powinszować!

— Rzeczywiście i ja sobie winszuję... Co robisz? Sewerynku, dokąd chcesz iść?

— Bo ja wiem? nie mogę na miejscu ustać.

— Ależ czekaj, zastanówmy się — pomówmy, jak działać, jeszcze mam chwilę czasu...

— Co tu kto pomoże. Wiem tylko jedno, że jeśli Sofizmat, ten wcielony szatan, Stacha mi zabije, będzie miał rozprawę ze mną.

— Nie róbcie nowych głupstw, Sewerynie, na miłość Boską. Przecież to można załagodzić, zażegnać jeszcze. Ja dziś wyjechać muszę — niestety! nie mam więc wiele czasu, ale zrobię to dla was chętnie, wpadnę do Sofizmata, przedstawię, zaklnę na wszystkie świętości, aby się z Stachem pogodził.

— Świętości! — Seweryn wzdrygnął ramionami, jak gdyby dla Woliwodzkiego były jakie świętości. — Zresztą on podobno w nocy wyjechał i nie wróci, jak późnym wieczorem. Ale ty naprawdę opuścić nas musisz? Szkoda, że właśnie teraz.

— Tak szkoda — przecie jest na to rada. Jeśli wam będę koniecznie potrzebnym — zadepeszuj, powrócę...

— Dziękuję ci, Munio — tyś zawsze poczciwy. Nie śmiałbym jednak z tak daleka.

— Cóż tam odległość! — Ale ja mam nadzieję, że się porozumieją. Sofizmat, skoro się przekona, że ty i Bruzdowski stoicie za Stachem, nie będzie chciał struny przeciągać.

— Wątpię. Zresztą Stach na żadne ustępstwa nie przystanie.

— To już twoja rzecz nakłonić go do opamiętania.

— Bóg widzi, że pragnę zgody. Ale ja cię przytrzymuję Munio, a tobie pewnie pilno. Żegnam cię. Czy na długo wyjeżdżasz?

— Nie wiem jeszcze, to zależy. — Chciałem powiedzieć:

— Na zawsze! — ale mi żal było Seweryna.

Gdy odszedł, nie wiele czasu zostawało mi do wyjazdu, więc trzeba było uwijać się szybko, aby się nie spóźnić.

Miss Attinson od godziny ubrana do drogi w kapeluszu, który jej się na bok głowy trochę zesuwał, kręciła się, pakując ostatnie drobiazgi. Lińcia, z oczami śmiejącemi, gorączkowo pomagała nakrywać

do śniadania Nastusi, która miała zostać w mieście, pilnować domu, dopóki stanowczej decyzyi nie powezmę. Zawijając skibki chleba, bułki, zimne mięsiwa dla panienki, (można było tem regiment wojska nakarmić) szlochała głośno.

Wyjechaliśmy na kolej. Powietrze było wonne, i czyste — świeże powiewy przepływały przez ulice, niosąc zapach młodej zieleni i wiosny.

Na dworcu nie spotkałem znajomych. Była już ostatnia chwila. Wszyscy troje wsiedliśmy do wagonu: pociąg ruszył. Wychylony przez okno, długo patrzałem na miasto, tonące w sino-błękitnem świetle, gdziem tyle chwil szczęśliwych i smutnych spędził! — Ale nie było mi już żal opuszczać go. — Cała ta przykra historya obiadu na sali Kordyana, ten szereg swarów, kłótni, namiętności, pociągających za sobą smutne następstwa, to niemiłosierne wyzyskiwanie słabszych, które w innych warunkach każdyby z nas potępiał — a tu — rozgrzeszał, — wstrętem mi dusze przejęły. I jakie stąd mogą wyniknąć niemiłe kolizye — ba dramata! bo to są dopiero preludya.

Co za szczęście, że zostałem w domu. — Zawdzięczam to mojej księżniczce... byliby mnie wciągnęli do gry i miałbym może na sumieniu szmat ziemi polskiej i łzy starych rodziców Bruzdowskiego! — Brr!... Okropność!

Obejrzałem się na Lińcię.

Stała cichutko, w błękit nieba zapatrzona, sama tak jasna, jak ten dzień majowy, który nas otaczał.

I pomyślałem:

To niewinne dziecko — Zosi dziecko — ani przeczuwa, z jak mętnej wyrwało mnie toni!

A może właśnie przeczuło?...

I lilia wodna może przeczuć burzę.

Kwiat czuje — ona miała czucie kwiatu......

KONIEC.

Czy znałem jej duszę?

Les âmes soeurs se saluent de loin.

Mieszkała nademną stale od lat dziesięciu, lecz mimo wielu mych grzeczności znaliśmy się bardzo mało, bo pani Elżbieta Winoska unikała ludzi wogóle, a mnie jako sąsiada w szczególe Wiedziałem tylko tyle o niej, że była wdową, że w tragiczny sposób straciła męża, potem dwoje dzieci i pozostałasama na świecie, z niewielkim majątkiem i z najgroźniejszą ze wszystkich chorób — nieuleczalnym smutkiem duszy. Może jaki wielki uczony — kapłan lub profesor, byłby znalazł zbawienny środek, aby w niej wytępić tego upartego mikroba melancholii, lecz pani Elżbieta nie pragnęła się leczyć, przeciwnie, pielęgnowała starannie swój ból i żałość, więdła przedwcześnie, trawiona tęsknotą za tymi — którzy odeszli...

Nigdy nie przypominam sobie, aby ktośkolwiek ze znajomych ją odwiedzał, prócz dwóch biednych staruszków, którzy przychodzili odżywiać się do jej kuchni, — bogatej ciotki-emerytki, spędzającej z nią

rocznie kilka tygodni i kucharki, która jej samotny żywot dzieliła; — żyjącym ludziom wstęp do mieszkania pani Elżbiety był wzbroniony. Podkreślam żyjącym, albowiem duchy zmarłych schodziły się u niej co wieczora. Schodziły się nie wywołane magicznemi sztuczkami spirytystów, obracaniem stolików lub stukaniem, ale, zaklęte czarodziejskimi tonami jej muzyki... W tem obcowaniu z nieboszczykami, pani Elżbieta okazywała smak niepospolity. Haydn, Mozart, Beethowen, Chopin, Schumann zjawiali się na przemian, a ona rozmawiała z nimi do nieskończoności. Co to była za muzyka! ach, któż zdoła opisać!... Jestem poetą — niejedno uczucie przelałem na papier, w niejednej strofie uwięziłem sumę cierpień i rozkoszy doznanych, ale pochwycić czaru tej cudnej gry i oddać jej piórem — nie potrafię.

Głos pani Elżbiety mało był mi znanym: „dzień dobry“ i „dobry wieczór“ — oto wszystko, czem mnie obdarzyć raczyła przy spotkaniu. — Jakie były jej rysy twarzy? nie wiem, bo nie można było zwracać na nie uwagi, skoro się dostrzegło z pod wysuniętego na czoło kapelusza oczy ciemne, duże, siną obwódką okolone, z wyrazem niezmierzonego, jak toń oceanu, głębokiego smutku. Zresztą mało mnie obchodziła powierzchowność pani Elżbiety. Artystka nie potrzebowała opowiadać mi dziejów swego złamanego serca — słowa byłyby tylko zbladły w obec dźwięków, które co wieczór, przez lat dziesięć, śpiewały mi ustępy z jej życia, zrazu jasne, świetlane, przeczyste, potem smutne, burzliwe, tragiczne. Jednego tonu tylko w nich nie było nigdy — rezygnacyi...

Czy znałem jej duszę?... nie zupełnie. Rozumiałem, że była niezwykłą ta dusza kobiety, która nosząc w sercu wierną pozagrobową miłość, zerwała ze światem i cały żar uczuć niewygasłych, ból, tęsknotę, wszystkie ukochania, przelała w sztukę... A jednak, snać to nie wystarczało, by zapełnić straszny wyłom, jaki w jej życiu śmierć uczyniła... skoro w jej cudnej muzyce odzywała się codzień orkiestra przeróżnych tonów, a zawsze brakowało najwznioślejszego — poddania.

Czy miłość sztuki nie może być celem życia? nie wystarcza, by zapełnić pustkę, którą los zgotował? pytałem samego siebie, słysząc grającą panią Elżbietę, a pytałem z tem większą ciekawością, że była pewna analogia między mojem a jej życiem: gdy ona w muzyce szukała ukojenia, jam chciał stargane szczęście powiązać złotemi literami poezyi...

Nie byłem szczęśliwszy od niej. Może o tyle, że podczas gdy ona zasklepiona we własnym smutku, nie chciała z nikim się dzielić urokiem artyzmu, bogactwem darów Bożych, jam rzucał w świat pieśni serdeczne i jeślim nieraz spotkał się z suchą krytyką, lub szyderstwem, to miałem jednak zadowolenie, że do olbrzymiego gmachu narodowej sztuki dorzucam drobną cegiełkę.

A ona, ta niepospolita arystokratka umysłu i ducha, miałażby żyć egoistycznie, dla siebie tylko? Co kryć się mogło pod tą chłodną powłoką, w jaką zakuta, przechodziła koło mnie zawsze równie wyniosła i niedostępna? Mógłbym przysiądz, że „jak kawał lodu skrzepło jej serce“ — że nieszczęście łamiąc tę kobietę, sprawiło, iż odtąd dla niej „nic było

wszystkiem, a wszystko niczem" — gdyby — nie sposób jej grania...

Muzyka wyrażała duszę gorącą, miotaną ciągłą rozterką uczuć — szukającą dróg nowych i niepospolitych. Jak ona grała! jak przedziwnie grała! Kochałem każdy ton, każdą nutę, każde uderzenie jej ręki i zasłuchany w melodye płynące ku mnie z góry, chwytałem gorączkowo pióro, aby pisać — pisać — pisać...

Pieśni moje układały się same w harmonijne strofy. Był w nich rytm, czar melodyi, śpiewność smętna i tyle prawdy uczucia, jak prawdziwym był ból samotnej wdowy i matki osieroconej — łkającej tam na górze...

Muzyka pani Elżbiety stała mi się tak potrzebną do życia, jak powietrze... poezya była mi kwiatem życia, ale ten kwiat nie byłby się rozwinął, raczej zwiądł, gdyby nie spływała nań codzień rosa jej boskich melodyi...

Więc bezwiednie, pani Elżbieta zimna, sztywna, unikająca najlżejszego zbliżenia z ludźmi w ogóle a ze mną w szczególe — była moją muzą, największą dobrodziejką. Niezależnie od jej woli, czerpałem pełnemi dłońmi ze skarbnicy jej talentu, jak złodziej, porywałem perły natchnienia i stroiłem w nie moją ukochaną, lecz jeszcze wątłą i bledziutką — poezyę!

Oprócz mnie było jeszcze jedno małe serduszko, wchłaniające w siebie nektar artyzmu, który spływał jak ożywczy strumień z drugiego piętra. Moryś, dziewięcioletni syn stróżowej, zamieszkałej w suterenach, chłopak sprytny i zdolny, używany

przezemnie do posług nadzwyczajnych, na swój sposób przejmował się muzyką pani Elżbiety.

Bywało, wracam pośpiesznie z miasta, o szarej godzinie, na „koncert“, patrzę — na poręczy schodów drugiego piętra siedzi Moryś, z twarzą wyanieloną zachwytem.

— Co tu robisz, malcze? — pytam zdziwiony.

— Ja ta, prose pana, nic nie robię, jeno słucham.

— I czego tu słuchasz, chciałbym wiedzieć?

— No, cégo? cy pan sam nie wie, ze jak gra wielemozna, wartno posłuchać. Ja ta bym całą noc tu chętnie posiedział.

Śmiech pusty wziął mnie. To mi dopiero audytoryum! Brawo! Czy ona domyśla się, w jakich słuchaczach wskrzesza iskry zapału?

Innym razem spotykam chłopca skaczącego z radości.

— Moryś — wołam, nie dokazuj, lecz pójdź za mną, mam ważny list, zaniesiesz go na pocztę.

Kiedyśmy weszli do przedsionka:

— Coś taki czerwony i zdyszany — pytam. — Matka kupiła nowe buty, czy co?

— Oj, oj, co mi tam po butach! będę się muzyki uczył i tyla!

Wyprostował się jak struna i głowę podniósł hardo.

Spojrzałem na niego zdumiony, a on ciągnąc poufale za surdut:

— Panie, wielemozna będzie mnie uczyła grać!

— Jakto, co?... co ty pleciesz, urwiszu!

— Prawdę mówię. Ot tak było. Wcora, gdy Katarzyna, (kucharka p. Elżbiety) niosła wiaderko z wodą, wlazłem za nią cichutko na górę i przycupnąłem za fieranką. Wielemozna właśnie grała. Oj! oj! co to były za hucne bręki, jakie pysne śpiewy znowu! az mi cosik na sercu kołatało — a potem zaś żałość wzięła, bo mi się tak wydało, że wszystko w pokoju jęcy i płace. Więc siedzę cicho, ani pisnę.

Wielemozna też siedzi przy swym instrumencie, głowę opuści, a ocy pzeciera — pzeciera... i tak mi się w ciemności coś widziało, że dokoła wielemoznej chodziły jakieś cienie... Wtem Katazyna wesła z lampą, jam se porusył za fieranką, a ona w kzyk „duch! duch!“ i ledwie ze lampy nie stzasła. Pani się obrusyła i coś Kasię upominając, po pokoju psesła — raz — dwa. Potem, ojej — az mi się gorąco robi od samego opowiadania — pzystanęła koło fieranki, cosik chcąc poprawić, i — natknęła się na mnie. — Zrobił się hałas w pokoju, Kasia wzescała, a jam tzęsący ode strachu wylazł.

— Moryś — to ty? kto ci pozwolił tu wnijść? co to ma znacyć? cego chces i po coś tu psysedł?

Więcem runął do jej nóg, pocął pseprasać za moją śmiałość i pedział, ze ja nic nie psysedł złego robić, ino kciał słyseć jak pani pieknie gra, bo na schodach mało wiela słysę, a w suterynach u matki wcale nic. — Wielemozna się jakoś zafrasowała — patzy na mnie długo, ale tak jakoś miłosiernie i pyta:

— A lubisz ty muzykę, Moryś?

— Jakoże nie mam lubieć, pedam, kiej mnie zaraz cosik podrywa, jak pani zagra i chciałbym

gdzieś lecieć, fruwać, jako motyl na łące — a zaś jak nocka psyjdzie, to mi systko gra w głowie, gra w usach i jakoweś piosnecki psychodzą do gardła, żebym ino kciał śpiewać a śpiewać. — Pani nic nie zekła, tylko se psesła raz dwa pses stancyę i znów stanie i pyta:

— A może ty kciałbyś się uczyć muzyki — Morysiu? — Ojej — jazbym ino kciał — pedam, jeno to kostuje. Matka ledwie za skolne starcyć moze. — Na gwiazdkę mi chzesna kupiła harmonikę, w niedzielę jak do nas zajdzie, to mi kaze grać i mówi, że to niby mam talant, — ale mnie się na harmonice inacej słysy, jak tu u Wielemoznej.

Pani juz nic nie pedziała, tylko kazała Kasi dać mi placka, jabłusków — a jakem odchodził, pogłaskała mnie po głowie i zekła:

— Będzies się ucył muzyki, Morysiu, pomówię z matką — i jak chcesz, przyjdź tu wieczorem słuchać.

Teraz mnie się gorąco zrobiło i podczas paplaniny chłopca dzikie myśli wirowały w głowie. — Miły Boże! od lat wielu o niczem innem nie marzyłem, tylko o takiem tajemnem wsunięciu się do świątyni pani Elźbiety, o takich cichych wieczorach — en deux — gdzieby ona grała, a ja słuchał — lecz rzeczywistość pozostała zawsze daleką od marzeń, a ten smyk niemądry, zuchwały, jednym śmiałym zamachem zdobywał od razu obronną fortecę, uzyskał wstęp wolny i mógł odtąd napawać się dźwiękami muzyki i widokiem pani Elźbiety!

Nie, doprawdy, to coś nie słychanego! Zazdrosnem okiem patrzałem na smukłe pacholę, w którego

oczach palił się ogień tryumfu i niekłamanego zachwytu, — i zaciskałem pięści, przeklinając świat, konwenanse głupie, bezduszne formy, o które, jak o skały granitu, rozbijały się wszystkie moje dobre chęci, grzeczności, usługi ofiarowywane w przelocie pani Elżbiecie, z celem zdobycia nie jej ręki, ani posagu, ale tej jednej łaski, jakiej dostąpił Moryś.

Byłem zły na chłopca. Ona gotowa się teraz nim zająć, zaniedbać muzykę! Zapomniałem, że niedawno temu, przed godziną może, raził mnie chłód i obojętność pani Elżbiety, — żem jej zarzucał ciasny egoizm, brak serca, mimo, że w około niej tyle biedy moralnej, tyle upośledzonych od losu! Ale ten głównie upośledzony, to byłem ja — ja, i jeszcze raz ja!

Tego wieczoru pani Elżbieta grała cieplej niż kiedykolwiek. Czy żar palący się w oczach Morysia i jej się udzielił? — Czy cichy hołd prostaczka ujął ją za serce i podniecił? Czy i ona potrzebowała uwielbienia, oklasków, może wieńców i laurów? W takim razie byłem największym głupcem, żem się krył z moim zachwytem i nigdy nie wypowiedział, do jakiego stopnia jej genialny talent działał na moją fantazyę, umysł, duszę, serce!... Dziś w muzyce pani Elżbiety była większa słodycz i zadowolenie — a chwilami rzekłbyś brawura, po przez którą wyrywał się i leciał w świat szeroki ton, jasny, dźwięczny, podobny do nadziei!...

I mnie się udzielił zapał — odwaga wstąpiła do serca. Do tomiku poezyi, który leżał przedemną niewykończony, dorzuciłem parę strof płomiennych, w których muzyka z poezyą, jak dwie siostry, ra-

zem idąc przez życie, sypią kwiaty pocieszenia na zbolałe dusze. Wiersz pisany pod wrażeniem był ognisty, a zdobyłem się jeszcze na czyn hardy, zadedykowałem go wraz z całym tomikiem pani Elźbiecie, z nagłówkiem:

„Les âmes soeurs se saluent de loin."

Nazajutrz odniosłem rękopis do redakcyi. Poezye miały ogromne powodzenie; po kilku tygodniach stałem się głośnym. Napływały do mnie listy, karneciki, pamiątki; portret mój ukazał się w najpopularniejszem piśmie, nie mogłem się wymówić od wizyt pań, panów, feministek, redaktorów etc. etc.

Jedna tylko istota nie raczyła spojrzeć na parnas, gdziem się wzbił od razu, — pani Elźbieta. Obca i obojętna temu, co się w mojem mieszkaniu działo, gdyśmy się przypadkiem spotkali na schodach, przechodziła koło mnie jeszcze w głębszej zadumie pogrążona i jeszcze więcej sztywna.

Czy się obraziła? czy zlękła opiewanego przezemnie braterstwa dusz — i, zazdrosna o swą miłość zagrobową, zerwać chciała nawet te idealne węzły, łączące ją z ziemską istotą? — Czy może odnalazła w poezyach moich niebezpieczne ustępy i lękała się tego rozpędu uczucia, z jakiem leciałem ku jej duszy, chcąc ją zbudzić, rozgrzać, nauczyć żyć i kochać! — Ach! byłbym jej przebaczył i chłód i obojętność, do której przywykłem od dawna, ale nie mogłem się pogodzić żadną miarą z tem, że pani Elźbieta od owej chwili, kiedym jej posłał poezye wraz z bukietem konwalii — przestała grać zupełnie.

Sądziłem, że to chwilowy kaprys, zląkłem się, czy nie chora, ale ten urwisz Moryś, wzięty na spytki,

zapewnił, że „wielemozna zdrowiusieńka“, że go uczy grać — a miał taką minę, jak gdyby sam był nie żadnym Jankiem-muzykantem, ale co najmniej — Mozartem.

Redakcya poważnego tygodnika literackiego ogłosiła była właśnie konkurs na napisanie baśni dramatycznej na scenę i wraz z kilku wybitniejszymi poetami byłem zawezwany, aby stanąć do turnieju. Pragnąłem bardzo godnie odpowiedzieć wezwaniu i zdobywszy palmę nagrody, utrwalić sławę autorską. Zabrałem się więc gorączkowo do pracy. Cóż, kiedy moje dobre chęci rozbiły się o jakąś dziwną niemoc duchową, anemię mózgu, która nagle mną zawładnęła. Nie byłem w stanie nic tworzyć, nic pisać; żaden pomysł nie przychodził do głowy. Absolutna pustka, jałowość przerażały mnie!

Można się zmusić do posłuszeństwa, gdy chodzi o naukowy traktat, historyczny zarys, felietonową pogawędkę, — niepodobieństwem przypiąć sobie fałszywych skrzydeł natchnienia — naśladować lot orła, gdy nic nie porywa w błękity... niepodobieństwem rozgrzać słuchaczów, gdy się nie czuje na dnie własnego serca świętego ognia zapału.

A we mnie, od chwili, gdy pani Elźbieta umilkła, pogasły wszystkie płomyki; muzyka jej była jedynem światłem, przy którem wygrzewałem duszę moją. Jak chory, któremu nagle ktoś odbierze narkotyki podniecające tętno życia, słabnie — tak ja, gdy mi zabrakło cudnych dźwięków, byłem zupełnie wyczerpany.

Czekałem gorączkowo zmroku, nasłuchując, czy się tam w górze nie odezwie choć jedna melodya,

jeden ustęp pieśni i czy za tem hasłem nie spłynie ku mnie moja świetlana kochanka, poezya — nie zbudzi drzemiącego w piersi natchnienia.

Napróżno! mijały dni szare, bezbarwne, monotonne — pani Elżbieta nie odzywała się, a jam przeklinał niemoc swoją i pytał: do czego więcej tęsknię? — Czy do tej władzy poetyckiej, wijącej mi laur na czoło — czy do muzyki-czarodziejki, czy do serca kobiety genialnej lecz zimnej, która na wyżynach artyzmu sama królować pragnęła i bratnią duszę strącała niemiłosiernie w przepaść samotności duchowej.

Więc na chwilę rzuciłem się w świat i szał zabawy. Szukając erotycznych wrażeń, chciałem się otrząść z apatyi, podniecić fantazyę — i ziemską owiany atmosferą, opiewać kult ziemskich rozkoszy... Alem się prędko spostrzegł, że kto raz „za myślą duszę utopił w niebie“ — ten nie może jej bez wstrętu ściągać na zbrukane manowce życia.

Cóż tedy począć? Jak długo potrwa ta męka ducha? Czy rzeczywiście twórczość moja była tak zależną od tej jedynej kobiety, iż sama z siebie nic wykrzesać nie potrafiła?

Cóżby powiedział ten tłum, który uznał mnie za poetę z Bożej łaski, gdybym przed nim odsłonił prawdę, iż cała siła mych pieśni, cały polot wyobraźni leżał w oddźwięku genialnej muzyki samotnej, nikomu nie znanej wdowy? że ze źródła jej talentu bił czar tak wielki, iż blaskiem swoim otulał nikłe płody mego pióra i kładł znamię artyzmu na wszystko, co w promieniach jego powstało? Chwilami chwytał mnie gniew na panią Elżbietę, wściekłość

taka, iż chciałem biedz do jej mieszkania, zrobić jej scenę — innym razem coś pchało, by paść przed nią na kolana, wszystkie żale, katusze wyspowiadać i o litość prosić... Lecz nawet, gdyby zmiękła, czy muzyka jej, niechętnie rzucona mi jako jałmużna, miałaby dawniejszą władzę i siłę czarodziejską? — Nie! stokroć nie — jak w poezyi, tak w muzyce, między artystą a słuchaczami musi istnieć ta złota nitka sympatyi, po której słowa i tony lecą z serca do serca. Inaczej jeden drugiego nie zrozumie... Wszak i płomienne strofy, które ofiarowałem pani Elźbiecie, przeszły bez wrażenia, a może zbudziły w niej tylko echa dawnych wielkich ukochań i, pogrążona we wspomnieniach przeszłości, tem szczelniej zamknęła się we własnym bólu. Ha! w takim razie poezye nie wypełniły posłannictwa swego — celem ich było nie zacieśniać ale rozszerzać serca!

. . . .

Smutny, źle usposobiony na świat i ludzi, na kobiety-egoistki zwłaszcza, opuszczałem dnia tego mieszkanie, gdy wpadł na mnie i ledwie nie potrącił Moryś, z włosem rozwianym i rozpiętą kurtką, zanoszący się od płaczu.

— A dokąd to Moryś? co ci jest, czego tak beczysz?

— O jejku, o jejku!

— No, cóż tam takiego?

— Matka taka chora — taka chora! Już ledwie głową rusa, a dzieci wzescą, mleka nie mamy, więc lecę do wielemoznej po ratunek.

— Dzieci — jakie dzieci są u was?

— A no, nase bliźniacki, urodziły się onegdaj?

Winszuję! pomyślałem.

— A doktór był u matki?

— Był wcora nad wiecorem. Z papierka cosik matce w gębę sypnął i zaś była spokojna, a dziś ino jęcy i doprasa się, bym wielemozną sprowadził — ze to pewnikiem jej się na śmierć juz ma.

To mówiąc, chłopczyna buchnął nowym płaczem i popędził na górę, a jam wyszedł na miasto, włóczyłem się po alei i po składach, ale mnie prześladowały jakieś posępne mary, w uszach dźwięczał płacz Morysia, więc za powrotem ciekawość pospołu z litością popchnęła mnie do suteren.

W drzwiach minął mnie proboszcz naszej parafii i szepnął:

— Biedna kobieta przed chwilą skończyła.

Wszedłem. Widok nędzy, jaki się oczom moim przedstawił, był okropny — świeżo zastygły trup Klemensowej — u jej nóg Moryś, wijący się w spazmach żalu, obok ciasna kołyska, a w niej dwie płowe główki dziewczynek, szczęściem w tej chwili uśpionych.

Izdebka czysta, ale zimna, bezświetlna, rzadko promykami słońca rozgrzana — szara, jak szarą była bieda stale tu goszcząca, którą teraz przybyła odwiedzić, a może pocieszyć — śmierć. Przed śmiercią wpadły ostatnie promyki słońca tej biedy — wiara i miłosierdzie. Księdza już nie było, lecz blada, wykwintna postać pani Elżbiety, pochylona nad kolebką, na tle tej izdebki smutku występowała niby kamea, w ciemnej oprawie. Oczy jej od łez wilgotne spotkały się z mojemi. Nie było w nich zimnych, pogardliwych błysków, lecz drżał ból, tkli-

wość i nigdy dotąd nie widziana miękkość. Otoczył ją nowy czar, większy od artyzmu — słodycz niewieścia.

Zbliżyłem się do niej, ofiarując moje usługi; dała mi kilka zleceń, poruczywszy zajęcie się trumną i doniesienie władzy o śmierci stróżowej; mówiła szybko, głosem urywanym, gdyż dławiło ją wzruszenie, a ile razy wzrok jej padał na kolebkę, gdzie dwa życia, spowite w jednej wązkiej kołderce, wychylały się do tego świata nędzy i śmierci, nowa fala smutku zalewała jej oczy.

W dwa dni potem odbył się pogrzeb. Jaki pogrzeb! Nędza odprowadziła swą ofiarę na cmentarz. Szli za nią ksiądz, siwy staruszek — pani Elźbieta, jej kucharka, dwie kumoszki z kwiatami pąsowemi na wypełzniętych kapeluszach, chrzestna kwiląca głośno a przesadnie i schudzony, z bólu nieprzytomny Moryś, w nowym płaszczyku, który mu uszyła matka.

Pani Elźbieta przyjęła z wdzięcznością moje ramię. Ten pogrzeb musiał jej przywołać na pamięć straszne chwile, gdy tak szła raz po razie za trumnami ukochanych, bo kamienna maska smutku, której nie zdejmowała nigdy przed ludźmi, opadła zupełnie z jej twarzy — i ciche łzy spływały po niej bez przerwy.

. . . .

Tydzień minął spokojnie. Właściwie nie spokojnie, bo nad moją głową, w mieszkaniu pani Elźbiety, działy się rzeczy dla mnie nie zupełnie jasne: jakieś przesuwanie mebli, bieganie, dreptanie — nawet kołysanie, ba, i śpiew nieśmiały — ale to już chyba była moja imaginacya!

Tylko fortepian się nie odezwał — lecz dziwna rzecz, jam teraz mniej tęsknił do muzyki. Grały mi w uszach echa dzwonów pogrzebowych, szept pacierzy, krzyk niemowląt — przychodziły jakieś posępne, szare cienie i skarzyły się: „weź nas, przytul do serca, będzie ci z nami dobrze.“

Więc brałem te głosy, te duchy, wcielałem je w pieśni.

Po tygodniu jednak wzięła mnie szalona ochota zajrzeć do mieszkania pani Elżbiety. Kto wie? może nareszcie otworzą się dla mnie podwoje zaklętego przybytku! Artystka spotykana na ulicy, spoglądała jakoś przyjaźniej, łączyło nas wspomnienie pogrzebu, wspólna jałmużna.

Zadzwoniłem. Moryś, zdaje się na dobre tu rozgospodarowany, otworzył mi drzwi i bez pytania wprowadził do mieszkania.

Słońce naprzeciw zaglądające w okna siało złote blaski na pokój widny, błękitny — na ciemną postać pani Elżbiety, która klęcząc przy małem łóżeczku, głowę chowała między poduszki i śmiała się w głos, igrając z różowemi buziami bliźniaczków.

Stanąłem jak wryty. Byłaż to ta sama kobieta ponura i sztywna, którą widywałem od lat dziesięciu? Biło od niej jakieś ciepło, serdeczne a miłe, blask taki, jak gdyby wykąpana w owych promykach słońca, zapożyczyła od niego jasności, dobroci i wdzięku.

Ujrzawszy mnie, drgnęła, widocznie nieprzyjemnie zdziwiona. Uśmiech zamarł na ustach, w oczach zadrżał płomień dumy, lecz ja, nie czekając zanim mnie ostro przywita, począłem ją przepraszać

Ośmieliłem się przerwać jej zajęcie i wtargnąć do mieszkania dla tego tylko, że miałem gorącą chęć przyjścia z pomocą sierotom po Klemensowej i sądziłem, że najlepiej zrobię, gdy się wprost do niej udam.

Pani Elżbieta spojrzała na mnie badawczo; pokorna moja postawa, a zapewne więcej jeszcze intencya wizyty rozbroiła ją. Zostawiła dzieci Katarzynie i zwracając się do mnie:

— Przejdźmy do salonu — tam rozmówimy się swobodniej.

Kiedyśmy się znaleźli w miłym, ciepłym, wonnym saloniku, gdzie z ram dużego obrazu spoglądał ku nam mężczyzna niepospolitej, przedziwnej urody, ona, odezwała się pierwsza:

— Bardzo jestem panu wdzięczną i w imieniu tych sierót dziękuję za wszystko, co pan dla nich zrobił i robić zamierza. Właśnie zastanawiałam się nad tem, co począć z Morysiem. Może pan zechce przyjść z pomocą Morysiowi. Niepodobna go zostawić bez opieki. Maleńkie zabrałam do siebie, ale chłopiec... Mam trochę za mało miejsca, aby całą gromadkę pomieścić. Czyby pan nie mógł wziąć Morysia do siebie? Źle byłoby go zostawić na pastwę ojca, gdy z więzienia powróci.

— Z więzienia? to on nie powrócił jeszcze?

— Pan nie wie? nie było go przecież na pogrzebie.

— A prawda!

(Poeta, nie zauważyłem tak drobnego szczegółu, lecz ona — egoistka!)

— Bardzo to niebezpieczny człowiek, grzechem byłoby Morysia zostawić pod takim wpływem. Zre-

sztą chłopiec do pewnego stopnia może być nawet użytecznym... gdyby więc pan przystał...

Jak wymowne były oczy pani Elżbiety!... Chciałem się im lepiej przypatrzeć — być dłużej proszonym, *faire le précieux* i broniłem się jeszcze.

— Hm... Morysia wziąć do siebie? — cedziłem wolno — to będzie trochę trudno, często wychodzę, wyjeżdżam, gdzież go zostawię.

— Proszę pana, on już duży, nad wiek rozwinięty, da sobie radę. Będę zresztą nad nim czuwała. Moryś jest bardzo pilny, bardzo zdatny, wyrość może na człowieka. Przytem posiada wybitne zamiłowanie do muzyki... powtarzam, szkoda byłaby wielka zostawić go na pastwę smutnego losu.

Świetna myśl strzeliła mi do głowy... ten chłopiec będzie węzłem — *le trait d'union* między mną a panią Elżbietą. Więc wspaniałomyślnie odrzekłem:

— Przyznaję otwarcie, że mnie życzenie pani trochę niespodziewanie zaskoczyło.... ale — nie odmawiam.... Rozpatrzę się, namyślę i zapewniam panią, że uczynię, co tylko w mej mocy, aby ją zadowolić i Morysiowi przyjść w pomoc.

— O, dziękuję panu, dziękuję z całego serca.

Podała mi obie dłonie, które z uszanowaniem do ust przycisnąłem.

— Jaka pani litościwa! Jak bardzo wzięła do serca niedolę tych sierotek!

— Ach, to takie proste. Nieszczęśliwa matka, sponiewierana przez męża, umierając powierzyła mi je i błagała, by ich nie zostawiać ojcu. Każdy, na mojem miejscu, uczyniłby to samo. — A zresztą,

kto sam przecierpiał wiele, ten rozumie dobrze cierpienia bliźnich. Nie mam nikogo na świecie. Te istotki, które Bóg zesłał, zastąpią mi choć w części — utraconych! Będę miała cel w życiu. Patrz pan! zaledwie je mam dni kilka, a już mi weselej na ziemi!

Rzeczywiście cała jej postać była przeistoczoną... tchnęła jakiemś zadowoleniem wewnętrznem, rzekłbyś harmonią i pogodą, tryskającą ze spojrzeń, z ruchów, z melodyjnego głosu....

A mnie nagle żal się zrobiło, że ta kobieta, ukazująca mi się dotąd zdala jak jaka niedostępna bogini dźwięków — Euterpa — chce zejść z tych idealnych wyżyn, podjąć proste, ciężkie obowiązki macierzyńskie, dla niej nie stosowne. Wydało mi się to zbrodnią, świętokradztwem sztuki — a przytem zdjął śmiertelny strach, czy te trzy sieroce główki nie zabiorą dla siebie wszystkich skarbów uczucia i talentu niepospolitej wirtuozki, a ja — z moją poezyą, biednem niemowlęciem, spragnionem także pokarmu, zostanę sam — na zawsze.

— Pani! zawołałem — to, co mówisz, ma wiele słuszności, jest szlachetnem i pięknem, nie przeczę, lecz ty, która masz tak olbrzymi talent, iż przerastasz nim innych, nie powinnaś odrywać się od muzyki — ani dla wychowywania cudzych dzieci zniżać do zajęć powszednich i prostych! To dobre dla zwykłych śmiertelniczek, lecz nie dla ciebie, stworzonej do szczęścia i na to, aby geniuszem zabłysnąć w wielkim świecie i dusze porywać w sfery nieśmiertelnego piękna!

Spojrzała na mnie smutnie zdziwiona:

— Ja stworzona do szczęścia! ja zabłysnąć? porywać dusze? gdy moja własna na strzępy podarta — nie, nigdy o tem nie marzyłam. Powiem panu prawdę. Niedawno jeszcze, aż do pogrzebu Klemensowej, nosiłam się z zamiarem poświęcenia się sztuce. Czuję, że byłoby mi z nią dobrze, gdybym mogła ten skarb zachować dla siebie wyłącznie.

— Ależ to barbarzyństwo i nie po chrześciańsku — zawołałem — to....

— Tak, ma pan słuszność, to nie po chrześciańsku i nie zapełnia życia. Grać dla czterech ścian, choć ogromnie miło, ostatecznie nie ma celu — grać dla tłumu — to nad moje siły! — Za wiele serdecznych a bolesnych wspomnień łączy się dla mnie z muzyką....

Tu głos zniżyła prawie do szeptu:

— Mój mąż towarzyszył mi często na skrzypcach.... jeszcze w dzień śmierci graliśmy razem.... od tej pory zaprzestałam występów w liczniejszem gronie. Zresztą świat inną muzyką zachwycać się lubi — pozostałabym prawdopodobnie niezrozumianą, a miałabym uczucie, że rozdzieram ranę, przecinam węzły, droższe mi nad wszystko. Po co i dla czego?

— Dla czego?... dla tego, że między tłumem znajdzie się zawsze dusza, która duszę pani odczuje, zrozumie i żal jej uszanować potrafi — dla tego, że najwyższem szczęściem artysty nieść pociechę, koić bóle.... Czy pani, tak szlachetnie myśląca i litościwa, w to nie wierzy? Czy nie spostrzegła, że stoi przed nią człowiek, dla którego muzyka pani,

od lat wielu, stała się podnietą, siłą, treścią, osłodą samotnego życia? Czy panią to boli lub obraża, że ją podsłuchuję, jak złodziej kradnę tony, że każdego dnia czekam z utęsknieniem chwili, gdy się tą cudną mową bogów odezwie?... O, powiedz pani prawdę, czy mi zazdrościsz tej odrobiny szczęścia i pociechy?...

Zasłoniła oczy ręką, kryjąc łzy, które po przez palce przeciskać się zaczęły — a jam wzruszony mówił dalej:

— Nie, to niepodobna — poznałem pani duszę. Powiem jej jeszcze, że każdy z nas nosi w sercu taką mogiłę drogich wspomnień, której dotykać nie pozwala nikomu.... a przecież to nie zmienia, że grzechem jest chować światło pod korzec — że nie wolno....

Zrobiła ruch zaprzeczenia.

— Niech pani nie przeczy. Talent prawdziwy, to światło — nie wolno bezkarnie tłumić, ani gasić jego płomieni. Kto, jak pani zaszedł wysoko, nie powinien się cofać, ani cennej perły rzucać w morze niepamięci....

Teraz ona podniosła się; głębokie jej oczy rozgorzały blaskiem, ręce przycisnęła do piersi:

— O nie, nie, ja mojego skarbu ani zaniedbam, ani wrzucę do morza! Nie zrozumiał mnie pan. Wy poeci, nie pojmujecie, że w najpospolitszem zajęciu może się ukryć poezya... że ona się nie lęka iść w parze z obowiązkiem. Nie mogłabym żyć bez muzyki, tylko ona będzie mi tem milszą i droższą, że zostanie jako nagroda — na jasną dnia godzinę!... Będę co dzień grała, dla moich sierotek i... dla pana, skoro ci to do szczęścia potrzebne..

Uśmiechnęła się i dodała:

— *Nos âmes soeurs se salueront de loin.*

Porwałem się, by podziękować jej za te dobre słowa. Czułem, że ręce pani Elźbiety drżały w moim gorącym uścisku, wydała mi się tak piękną, iż długo nie mogłem od niej oderwać oczu.

. . . .

Już jest wieczór. Zmierzch spływa cichy, senny. Konkursowe dzieło, prawie skończone, leży przedemną. W głowie wirują myśli promienne, lecz jeszcze niepochwytne, jeszcze bezładne... Zmęczony jestem pracą, gorączkową a niewdzięczną... czegoś mi braknie, czegoś nie dostaje...

Lecz cóż to? Cicho! sza, tęsknoto, żalu mój, wędrujcie!... Słyszycie? ona gra!...

Chwyciłem się oburącz za głowę i siedzę oniemiały — oczarowany...

Boże! czy ja śnię? ach, tak tylko grać potrafi kobieta, która czuje i kocha, która sercem przemawia do serc bratnich! Pierwszy raz słyszę modlitwę w muzyce. Anioł miłosierdzia, Wielki Artysta-Pocieszyciel, białem skrzydłem musnął struny kobiecego serca i oto, jak u lutni rozdźwięczały się tony pełną, potężną melodyą ukojenia i rezygnacyi. Idą... płyną... lecą ku mnie z góry jasne, świetlane, archanielskie dźwięki... a za nimi szereg niebiańskich wizyi otacza mnie, brylantami natchnienia wieńczy moje czoło.

Poezyo!... jeszcze twej dłoni nie czuję w mej dłoni, ale widzę cię zdala, patrzę, jak po szlakach pieśni spływasz ku mnie i niesiesz mi szczęście... o cudna ty moja!